Dodatek „WIECZORÓW RODZINNYCH”.

Pamiętniki Beniowskiego.

Syberya.—Daleki Wschód.—Madagaskar.

Opracowała

Zofia Bukowiecka.

«Za panowania Króla Stanisława
Żył sobie pewien szlachcic na Podolu,
Wysoko później go wyniosła sława...»

J. Słowacki «Beniowski».

WARSZAWA.
Druk Szyllera
Nowy-Świat 26.

1907.

WSTĘP.

Prawemu polskiemu sercu drogiem jest wszystko, co dotyczy przeszłości jego ojczyzny; dziś, przy swobodniejszych warunkach prasowych, przeszłość tę możemy łatwiej poznawać we wszystkich szczegółach, uważając pilnie na dążenia i porywy, jakie budziły się kiedykolwiek w naszem społeczeństwie.

Jednym z ciekawych objawów życia każdego narodu jest jego pęd do dalekich wypraw, chęć opanowywania, lub, co szlachetniejsze odkrywania nowych ziem i nowych środowisk ludzkich, lecz nie po to tylko, żeby czerpać z nich bogactwa, ale nieść im zdobytą przez Europę cywilizacyę chrześcijańską. Znacie zapewne wszyscy historye wielkich odkrywców i podróżników świata: Krzysztofa Kolumba lub Vasco de Gamy, a w nowszych czasach Liwingstona, Stanleya, Nansena, ale zapewno nie jeden

z was posłucha chętnie o polskich znakomitych żeglarzach.

Pierwszy zasłynął u nas na tym polu Jan z miasta Kolna w Łomżyńskiem, stąd zwykle Janem z Kolna nazywany. Uważają go powszechnie za jednego z poprzedników Kolumba, bo służąc w marynarce duńskiej odkrył 1476 r. cieśninę Aujun w Grenlandyi, a potem amerykańskie brzegi półwyspu Labrador.

W półtora wieku później inny podróżnik polski Krzysztof Arciszewski, urodzony w Wielkopolsce, zasłynął jako dzielny wojownik i znakomity żeglarz. Na żołdzie holenderskim służąc, okrył się sławą w Brazylii, a nagrodzony medalem na jego cześć wybitym i stopniem generała, wrócił jednak 1645 r. do Polski, żeby siły swe i zdolności służbie ojczyzny poświęcić. Jakoż mianowany generałem artyleryi, czyli, jak zwano wówczas, starszym od Armaty, oddał istotnie wielkie usługi swojemu narodowi.

Brak marynarki, która, mimo starań mądrych królów: Batorego i Władysława Wazy, nigdy pomyślnie rozwinąć się nie zdołała, utrudniał polakom branie udziału w dalekich zamorskich podróżach. Za to polem popisu dla natur spragnionych awanturniczych przygód były w

Polsce tak zwane Dzikie pola nad morzem Czarnem.

Grasowali na nich Tatarzy, napadali łotrzyki zbiegli z ojczyzny przed karą za popełnione bezprawia, nikt życia pewny nie był,. a jednak żyzność ziemi, bliskość morza i łagodny klimat zachęcały do osadnictwa na południowych kresach Ukrainy.

Tam więc dążyli spragnieni niezwykłych przygód. Część z nich osiadała na roli orząc pole, ale nie popuszczając z rąk rusznicy, część razem z Zaporożcami płynęła na czajkach aż do Azyi, bogacąc się łupem zdobytym na Turkach, a chociaż wielu z nich ginęło w okrutnej niewoli, lub straszną śmiercią na polu bitew; nie brakło nigdy zuchwalców gotowych zmierzyć się z tureckim smokiem i szukać go na krańcach świata.

W krajach z rozwiniętą żeglugą otwierało się dla takich ludzi szersze daleko pole zdobyczy, odkryć i sławy. U nas po Krzysztofie Arciszewskim pierwszym podróżnikiem i głośnym ze swych przygód żeglarzem, był hr. Maurycy Beniowski, konfederat Barski, który dzięki odwadze i energii zdołał kajdany więźnia przekuć na koronę i z wygnańca zostać królem.

Urodzony na Węgrzech 1741 r. już jako siedemnastoletni młodzieniec przeniósł się do Polski i zamieszkał przy stryju staroście Beniowskim, który go zrobił spadkobiercą znacznego na Litwie majątku. Szczęśliwy dziedzic odziedziczonej fortuny uważa się odtąd sam za Polaka i uczuć swych dla ojczyzny daje niezliczone dowody, biorąc czynny udział w walce jaką konfederaci Barscy prowadzili z Rosyą. Nie ocalili wprawdzie wolności narodu, bo ze zbyt przemożną przyszło im potykać się siłą, ale uratowali honor ojczyzny, zaprotestowali krwią i męką przeciw krzywdzie, jaka spotkała Polskę od sąsiadów.

Oni to, dzielni rycerze Baru, pierwsi uczyli nas swoim przykładem nowej służby dla ojczyzny, już nie na polach chwały ale w ciemnicach więzień, w męce głodu i ran zadanych knutem, w okrutnej tęsknocie wygnania; ich kości pierwsze ubieliły krzyżowe szlaki syberyjskich dróg. Dziesiątki tysięcy najszlachetniejszych synów Polski poszło po upadku konfederacyi w przymusową wędrówkę na północ, a jednym z pierwszych między nimi był hrabia Maurycy Beniowski.

Ranny kilkakrotnie przy oblężeniu

Krakowa, gdzie tytuł generała pozyskał, ściągnął na siebie Beniowski tem większy gniew nieprzyjaciół, im większe dał dowody odwagi i zdolności wojskowych.

Namawiany do przyjęcia służby w szeregach rosyjskich, odrzucił hrabia bez wahania korzystną propozycyę, wolał dzielić losy wziętych do niewoli współrodaków niż podnieść rękę przeciw Polsce, której zaprzysiągł miłość i wierną służbę. Odtąd przykładem wytrwałości w niedoli uczył hrabia wielkiej prawdy słów biskupa Krasickiego „że słodką jest miłość kochanej Ojczyzny, zaszczytnemi blizny i więzy, które znosimy dla Niej“.

Beniowski nie tracił ani na chwilę nadziei zerwania tych więzów, jakoż zdarzyła mu się wkrótce sposobność odzyskania wolności.

Załoga miasta Kazania, gdzie konwój, prowadzący jeńców, stał dwa tygodnie, składała się tylko z 400 ludzi, a wśród ludności miejscowej było wielu bardzo obywateli niezadowolonych z rządów cesarzowej Katarzyny, i gotowych chwycić za broń. Obecność 8000 Polaków więźniów obudziła w mieszkańcach Kazania nadzieję rychłej i skutecznej od nich pomocy, zawiązali więc spisek, do

którego wciągnięty został Beniowski, uważany słusznie za najzdolniejszego i najbardziej przedsiębiorczego między więźniami.

Na nieszczęście kłótnia dwóch Rosyan, należących do spisku, zniweczyła zamiary związkowych. Żeby osłonić współziomków oskarżono polaka Beniowskiego przed gubernatorem kazańskim i zwalono na niego całą winę za odkryte sprzysiężenie.

W nocy 7 listopada 1769 r. usłyszał hrabia kołatanie do bramy domu, w którym mieszkał. Wychodzi w koszuli ze świecą w ręku, a otworzywszy bramę widzi przed sobą oficera na czele kilkudziesięciu żołnierzy. Biorąc Beniowskiego za gospodarza domu pyta, ażali więzień jest w swojej kwaterze.

— Tak, panie—odpowiedział hrabia— znajdziesz go u siebie.

Oficer, zdurzony śmiałą odpowiedzią Beniowskiego, bierze z jego rąk świecę i spiesznie wraz z żołnierzami biegnie do pokoju hrabiego, on zaś, korzystając z nader szczęśliwej dla siebie pomyłki, ucieka co żywo do mieszkania innego konfederata, towarzysza niewoli, majora Windblata i przebiera się w jego suknie, bo uciekł z domu w jednej tylko koszuli.

Nie było czasu do stracenia Windblat, zarówno jak Beniowski, czuli się zgubionymi, uciekli więc piechotą do pobliskiej wioski. Rosyanie, należący do spisku, przerażeni odkryciem poczynionem gubernatorowi, sami ułatwili podróż dwóm polakom, zaopatrzyli ich nawet w paszporty i pieniądze na drogę, byle tem łatwiej zwalić całą winę na nieobecnych. To też, gdy uciekających przyłapano w Petersburgu, gdzie szukali ocalenia, zamknięto ich zaraz w twierdzy Petropawłowskiej, a następnie wysłano na zesłanie aż do Kamczatki.

Jechali tam sami, razem z partyą wygnańców Rosyan, bo towarzysze ich konfederaci oddawna już pognani zostali w głąb Syberyi. Trudno wypowiedzieć, jak okropnem było położenie więźniów, Beniowskiego zwłaszcza, ze względu na jego niezagojone i bardzo dokuczliwe rany. Znosić jednak musiał trudy podróży przez olbrzymie przestrzenie Rosyi, aż do Tobolska, gdzie konwojowi, złożonemu z kilkudziesięciu sani, naznaczono dłuższy odpoczynek.

Dalsze wypadki życia Beniowskiego, pełnego nadzwyczajnych przygód, znajdziemy opisane we własnym jego dzienniku podróży. Przytaczając go tu w ob-

szernem streszczeniu, pragnę gorąco, aby czytelnicy „Wieczorów Rodzinnych“, aby cała młodzież polska nauczyła się od sławnego wojownika i żeglarza, jak wiele zdziałać można niezłomnym hartem, a także tem szlachetnem poczuciem dostojnej duszy, że w każdem położeniu życia zdobywać się trzeba na czyny odwagi i dzielności, bo tylko czyny, tylko wola silna są znamieniem natur podniosłych.

ROZDZIAŁ I.

Hrabia Maurycy Beniowski zaczyna opowiadanie swych przygód od chwili przybycia do Tobolska, gdzie stanął 20 stycznia 1770 roku.

Zdrowie jego ucierpiało bardzo w podróży, otwarły się niezabliznione rany i w takim stanie znosić on musiał trud dalekiej drogi, głód, mróz i kajdany, w które zakuto go jeszcze w Petersburgu.

Jeśli patrzymy z głębokim smutkiem na szczelnie okratowany wagon, w którym dziś przewożą więźniów, to łatwo wyobrazić sobie, o ile sroższym był los wygnańców politycznych pędzonych na Sybir pieszo lub w kibitkach. Setki tysięcy Polaków transportowano tym sposobem na wschód, a ktokolwiek czytał w „Dziadach“ Mickiewicza opis wywożenia studentów i uczniów z Wilna, ten z tego prześlicznego, chociaż nad wszelki wyraz bolesnego obrazu, wyro-

bić sobie może pojęcie o przerażeniu, jakie w sercach matek polskich budziła sama nazwa kibitki i dźwięk charakterystycznego dzwonka przy tym więziennym ekwipażu.

Znałam w młodości mojej osoby, które po powstaniu 1863 roku odbyły kibitką drogę na Sybir. Opowiadały mi one, w jak okropny stan wprowadzało je nieustanne przez wiele dni, tygodni, a nawet miesięcy, trzęsienie bryczki, lub stukot ruskich sanek. Zapobiegano targaniu wnętrzności bandażowaniem ciała szerokiemi płóciennemi pasami, ale niewielu wygnańców mogło zachować tę ostrożność, a znałam i takich, którzy drogę na Sybir odbywali pieszo, idąc przez całe dwa lata przykuci do łańcucha; łączył on w jeden szereg zarówno najszlachetniejsze ofiary powstania, jak i pospolitych zbrodniarzy, skazanych na wygnanie za rozbój lub morderstwo.

Dobrze jest spojrzeć czasem w to niedalekie „wczoraj“ naszej Ojczyzny, dobrze przypomnieć męki, jakie mężnie znosili ojcowie i dziadowie, zwłaszcza przypomnieć wam młodym, którzy narzekacie często na drobne przykrości i niepowodzenia. Nie ma nic szczytniejszego nad przykład obywatelskiej cnoty, to też po

wiek wieków oddawać należy cześć ludziom, „którzy wierzą niezłomnie w tę wielką prawdę moralną, że najpiękniejszem zadaniem i najświętszym obowiązkiem człowieka, tak jak całego narodu, jest walka o ideały, chociażby się one nawet urzeczywistnić na razie nie mogły.“ *)

Maurycy hrabia Beniowski był dzielnym żołnierzem w walce o ideał wolności ludów, bronił tej wolności jako konfederat barski, a potem cierpiał dla niej nietylko rany i więzy ale często także naigrawania i poniewierkę nieprzyjaciół, w których ręce popadł.

Bo człowiek pozbawiony wolności oddany jest na łaskę i niełaskę swoich wrogów; w niewoli dopiero uczymy się cenić najlepiej różnicę postępowania z nami szlachetnych natur od ludzi służalczo i okrutnie wykonywujących prawo. Oficer, który konwojuje więźniów jest nietylko panem ich życia lub śmierci, ale może zarówno złagodzić los nieszczęśliwych jeńców, jak też równie i uczynić go nieznośnym.

---

*) Wypowiedział to piękne zdanie profesor Ignacy Chrzanowski w piśmie «Myśl polska».

Beniowski doznał na sobie prawdy tych słów. Okuty, głodzony, przerzucany z więzienia do więzienia, z kibitki do kibitki, dopiero dzięki ludzkiemu i sprawiedliwemu postępowaniu gubernatora Tobolska odzyskał chociaż względne siły i zdrowie.

Gubernatorem tym był hr. Dyonizy Cieczeryn, kazał on zdjąć więźniom kajdany, i wedle słów samego Beniowskiego stał się prawdziwym ojcem wygnańców.

Oto co nasz podróżnik pisze o hrabiu Cieczerynie:

„Przez cały czas naszej w tym mieście bytności obsypani byliśmy, ja i towarzysz mego nieszczęścia Windblat, względami i grzecznościami zacnego tego i pełnego ludzkości gubernatora. Lecz największą, którą nas mógł obdarzyć łaską, a za którą wdzięczność nigdy w nas nie wygaśnie, było pozwolenie używania pióra, tego drogiego narzędzia, które jedno tylko może osłodzić uciski, a gdy wolność stracona, obraz jej przynajmniej malować.

„Ten tylko prawdziwą dobra tego wartość poznaje, kto przez długi czasu przeciąg onego był pozbawiony. Z tem to ja piórem mam jeszcze nadzieję doświad-

czyć jakowych słodyczy, ono mi pomoże przesłać późnym wiekom aż nadto sprawiedliwe me jęki i nieszczęść mych powieść“.

Tak wrażenia swoje opowiada Beniowski, niesłusznie tylko pisze o *jękach*. Będziecie mieli sposobność przekonać się z dalszego ciągu tego opowiadania, że nie jęczał on nigdy, nie tracił odwagi, a myślał tylko o ratunku swoim i swoich towarzyszy, o skorzystaniu z pierwszej zdarzonej sposobności wydobycia ich i siebie z niewoli.

Oto jak o tem mówi hrabia w dalszym ciągu pamiętników:

„Gdy czwartego lutego nadszedł dzień naszego wyjazdu z Tobolska, wyprawiono nas na opłakane miejsce naszego przeznaczenia pod strażą 24 kozaków, i sotnika, któremu gubernator wyraźnie zalecił, żeby się z nami obchodził z największą ludzkością. Szesnaście nas było sanek po dwóch wygnańców w każdych, wyjąwszy tych, któremi sam sotnik jechał. Gdy na popasie kozacy rozbiegli się szukać po wsiach okolicznych jakiej dla nas żywności, zwierzył się nam sotnik, że jest synem pułkownika szwedzkiego, który został w Rosyi skazany na wieczne więzienie, że urodził się na Sy-

beryi, a nauczony przykładem okropnych nieszczęść ojca, odkąd został sotnikiem stara się najusilniej oto, aby otrzymywać zezwolenie na konwojowanie wygnańców zesłanych w głąb Syberyi i osładzać ich dolę".

Sotnik, o którym wspomina Beniowski, znalazł pewno nie jedną sposobność ulżenia losu więźniów, bo towarzysząc im do Tomska, spędził z nimi przeszło trzy miesiące, tak długiego bowiem czasu trzeba było w 1770 roku na przebycie przestrzeni dzielącej Tomsk od Tobolska.

Ile w tej drodze doznano trudów i niewygód łatwo wyobrazi sobie każdy, kto choć kilkodniową na północy odbywał w zimie podróż. Beniowski ani razu jednak nie narzeka w pamiętnikach na niewygody i umęczenie, a za to z wielkiem zainteresowaniem opowiada o wioskach zamieszkałych przez wygnańców. Pełno było ich już wówczas w Rosyi i nie dziw, że los biedaków budził współczucie w człowieku, który sam skazany został na przymusowe osiedlenie zdala od ojczyzny. Spotkał wśród różnej narodowości jeńców także Węgra, majora z regimentu huzarów Horwatha, został on skazany na wygnanie tylko za

to, że służąc Rosyi śmiał zbyt usilnie domagać się o dymisyę i pozwolenie wrócenia do swojej ojczyzny. Beniowski, ciekawy losów biedaka, wdał się z nim w dłuższą rozmowę, a mógł swobodnie wypytywać go o położenie i zamiary wygnańców, bo wiedział, że nikt z obecnych nie rozumie po węgiersku. Dziwił się też bardzo hrabia, dlaczego więźniowie, przywiedzeni do ostatniej nędzy i w wielkiej zamieszkali liczbie, nie pomyśleli dotąd o wydobyciu się z niewoli, zwłaszcza, że załogi rosyjskie były wszędzie w Syberyi, bardzo nieliczne.

„Znaczna część naszych towarzyszy— odpowiedział Beniowskiemu major węgierski—uskuteczniła już zamiar ucieczki, postanowiwszy dostać się do Europy przez Persyę, lecz napadnięci od Tatarów Nogajskich wszyscy niemal polegli i tem odstraszyli innych od podobnych zamiarów.

„Skończywszy tę ciekawą rozmowę— pisze hrabia — cieszyłem się, że mnie przeznaczono do Kamczatki nad morzem położonej, a zatem obfitszej w środki skruszenia więzów lubo byłem przekonany, że nie masz w świecie zakątka, w którymby nie można odzyskać

swojej wolności sprzysięgłszy się z ludźmi zdeterminowanymi, a zagrzanymi miłością niepodległości".

Beniowski mało w dzienniku swym zajmuje uwagę czytelników mrozami niezwykłymi nawet dla mieszkańca Polski, zwłaszcza zaś dla hrabiego, który dzieciństwo spędził na Węgrzech, a jednak musiały one być bardzo ciężkie do zniesienia w porze zimowej. Wspomina tylko mimochodem o wichrach, które śniegiem zasypywały sanie, tak, że znaczną część drogi trzeba było odbywać konno, konie zaś w braku innej paszy, żywić mchem. Noclegi zwłaszcza były bardzo uciążliwe i przykre, spędzano je wśród zasp śnieżnych, często dla wichru nie mogąc rozpiąć namiotu, a pamiętajmy, że wicher przy mrozie, bywa zwykle nie do zniesienia, tam zaś smagał nie zrośnięte jeszcze blizny biednych konfederatów.

Konwój więźniów spotykał się często z Tatarami, występowali oni niekiedy tak groźnie, że sotnik pozwalał wygnańcom uzbrajać się przeciw nim, nie doszło jednak nigdy do bitwy, wystarczył sam widok wojowniczej postawy jeńców, przedziergniętych na chwilę w obrońców władzy, aby poskromić niesforną

gromadę. Mieć broń w ręku musiało być rozkoszą i pokusą dla wygnańców.

— Ach, gdyby tak udało się odzyskać wolność, pohulać po śniegowych stepach i zawróciwszy konia uciec do Europy!... — myślał pewno niejeden z więźniów, myślał z tem większem uczuciem goryczy, im częściej konwój spotykał na swej drodze koczowiska wygnańców. — Biedacy, niekiedy od wielu już lat osiedli na Syberyi, opowiadali chętnie o swym nieszczęśliwym losie, o nędzy, jaką znoszą, żywiąc się jedynie upolowaną zwierzyną i rybami, a tęskniąc za ojczyzną, za rodziną, której nigdy już widzieć nie mieli.

Po winnicach węgierskich i złotych łanach polskiej pszenicy, jakże okropnym wydawać się musiał Beniowskiemu kraj śniegów i nędzy, gdzie, jak duchy w dantejskiem piekle, przeciągały tłumy biedaków wychudłych od głodu zgorączkowanych tęsknotą. Nigdzie nie wspomina hrabia o tubylcach, to jest, o pierwotnych mieszkańcach Syberyi, za to coraz częściej o Szwedach, Rosyanach, Polakach, słowem o podobnych sobie ofiarach przemocy. To też czytając pamiętniki Beniowskiego, przychodzi mimowoli chęć zrobienia chociaż przy-

puszczalnego obrachunku, ilu nieszczęśliwych wymarło na przeklętej ziemi wygnania, zanim wsiąkła w nią krew tysięcy żołnierzy pognanych na pola Syberyi.

Podróżni nasi zabawili w Tomsku do 10 maja i przebyli tam przykrą porę deszczów, które w Syberyi padają obficie na wiosnę. Miasto Tomsk zamieszkane wtedy było przeważnie przez Tatarów. Tatar—piekielnik, jak nazywano w Polsce dzicz, która przez długie lata była postrachem i biczem Bożym na nasz naród. A jednak los wygnańców nawet w Tatarach wzbudził współczucie. Wiedzieli oni, że konfederatom barskim dopomagała Turcya w walce z Rosyą, sami zatem, jako mahometanie, uczuli się sprzymierzeńcami polaków i postanowili ulżyć ich losowi.

Zwłaszcza bogaty kupiec, handlarz futer, przywiązał się szczególnie do Beniowskiego i radził mu ucieczkę.

— Jestem rodem z hordy tatarskiej obozującej na granicy Chin, znam doskonale wszystkie drogi, dopomogę ci, pójdź ze mną —namawiał kupiec i Beniowski byłby skwapliwie korzystał z dobrej woli tatara, na nieszczęście źle zagojone rany otworzyły się na nowo,

a drogę dla gór przebywać było trzeba pieszo, droga ta zaś to 300 mil wśród śniegów, lub skalistych szczytów!

Zawiódła więc znów hrabiego nadzieja ucieczki, ale i teraz nie stracił on odwagi, tatarzy zaś okazali się istotnie bardzo wspaniałomyślnymi dla więźniów, bo ofiarowali im 900 rb. jako dar od sprzymierzeńców Polski. Rozdzielono pieniądze między wszystkich wygnańców, ci zaś, idąc za radą Beniowskiego, chcieli część tej sumy oddać sotnikowi, w dowód wdzięczności za tyle okazanych względów. Ale szwed nie przyjął daru, mówiąc, iż za przybyciem do Kamczatki, będą jeńcy potrzebowali zasiłku na osiedlenie się i wrócił do Tomska, żegnany ze szczerym żalem przez konfederatów, którzy także w dalszą udali się drogę.

Była ona o wiele uciążliwszą od dotychczas przebytej. Jechano krainą pustą, okrytą lasami lub piętrzącą się grzbietami stromych gór, to też ośmiu ludzi przypłaciło życiem niebezpieczną przeprawą, a padło i dwanaście koni, co utrudniało dalszy pochód konwoju. Tak dojechano do Krasnojarska, miasta zamieszkałego przez samych wygnańców. Zarządzający nim wojewoda po-

zwolił wprawdzie więźniom na wolny przejazd przez terytoryum, zostające pod jego władzą, ale zmusił ich do złożenia sobie okupu w sumie 60 rb. i do nabycia czterogarncowej baryłki wódki także za 60 rb., co było niesłychanem zdzierstwem. Dopiero po złożeniu tego podwójnego haraczu, mogli konfederaci w dalszą ruszyć drogę, a wiodła ona znów przez nieprzejrzane puste przestrzenie, wśród olbrzymich zasp śniegu i deszczów, gorszych jeszcze od dokuczliwego mrozu.

Trudno opisać nędzę i umęczenie, jakie znosić musieli więźniowie a z nimi i ich straż. Przemokli, strudzeni ginęli z głodu, bo od dawna wyczerpały się zapasy żywności a nowej nie było gdzie dostać. Ludzie marli z wycieńczenia, padały konie po drodze, ci którzy wytrzymać zdołali nędzę tego bolesnego pochodu, żywili się korą brzozową rozmoczoną w wodzie. Na szczęście, kiedy niedola dobiegała kresu i mało kto z konfederatów wierzył w ocalenie, spotkał konwój 26 lipca hordę Tatarów tunguskich, którzy, za wódkę przywiezioną z Krasnojarska, oddali zgłodniałym podróżnym upolowane przez siebie łosie i trochę suszonej ryby. Zdzierstwo niepoczciwego wojewody uratowało jeńców

od głodowej śmierci, co jest dowodem, że często złe nawet na dobre obrócić się może, nigdy więc w żadnych, choćby najprzykrzejszych warunkach życia, nie należy tracić odwagi.

Nie brakowało jej naszym wygnańcom, to też przebyli nareszcie najuciążliwszą część podróży, a raz dobiwszy się do rzeki Leny mogli już dalszą drogę odbywać na czółnach z kory brzozowej, bo Lena spławną jest w tej pięknej porze roku. Weseli też i zdrowsi dopłynęli do miasta Jakucka, zamieszkałego wówczas przez samych wygnańców i przez załogę wojskową złożoną z kozaków. Kozacy ci byli to także ofiary przemocy, bo korpus ich składał się z synów zesłańców różnych narodowości, osiadłych przymusowo na Syberyi. Zabierano młodych chłopców do pułku i wyuczywszy służby wojskowej, używano potem do wybierania daniny od plemion tatarskich podległych Rosyi. Danina stanowiła główny dochód, jaki rząd cesarzowej czerpał z olbrzymich swych Azyatyckich posiadłości, niemniejszym źródłem korzyści stał się także handel futrami; hurtownicy, prowadzący wymianę towaru z Europą, opłacali swój przywilej stałym dla rządu podat-

kiem. Jak wielka musiała być za czasów Beniowskiego obfitość zwierzyny na Syberyi, dowodzą ceny futer podane przez niego w pamiętnikach. I tak skóra niedźwiedzia kosztowała półtora rubla, skóra sobola tylko jednego rubla, tyleż pięćdziesiąt skórek popielic i rubla 24 skórek gronostajowych! Beniowski mało jednak zastanawia się nad sprawami, dotyczącemi wewnętrznych urządzeń Syberyi, bo chęć wydobycia się z niewoli całą jego myśl zajmuje i ani na chwilę go nie opuszcza. Już trzeciego dnia po przybyciu do Jakucka zawarł on znajomość z felczerem Hoffmanem i ułożyli razem wspólną ucieczkę morzem do Chin albo do Japonii. Kilka morskich wypraw, jakie odbył Beniowski, dały mu pewne doświadczenie żeglarskie, chodziło więc tylko o opanowanie statku, którymby się w podróż puścić można było.

26 sierpnia zwołał hrabia towarzyszy wygnania na zebranie i obwieścił im radosną wiadomość, że odtąd z pomocą Hoffmana wspólnie pracować mają nad powrotem do Europy. Trudno wyrazić zapał, jaki ogarnął uczestników schadzki. Oprócz majora Windblata oraz kilku innych konfederatów byli tam i ro-

syjscy polityczni przestępcy; do znakomitszych między nimi należeli kapitan Panów, kapitan Stefanow, pułkownik Baturyn i Sofronów, wszystko wojskowi wyższych stopni, przyzwyczajeni rozkazywać, a dziś, dla błahego nieraz powodu, skazani na więzy i okrutną tęsknotę wygnania. Beniowski jednogłośnie wybrany został wodzem spiskowców, nietylko dlatego, że przysługiwał mu dobrze zasłużony tytuł generała, ale dla wielkich swych zdolności, wiary w powodzenia przedsięwzięcia, zwłaszcza zaś dla niezłomnej energii z jaką brał się do zamierzonego dzieła.

Miało ono, niestety zawieść nadzieje wygnańców, ale i w niepowodzeniu wykazał brabia niepospolity rozum oraz przebiegłość, którą ocalił towarzyszy. Oto, co stanęło na przeszkodzie sprzysiężonym.

Wygnańcy, pod pozorem korzystania z pięknej pory roku, a właściwie dla szybszej ucieczki, prosili gubernatora Jakuckiego o natychmiastowe wyespedyowanie ich do Ochocka, skąd do Kamczatki okrętem płynąć mieli, i okręt ten właśnie obiecywali sobie zdobyć, żeby zamiast na wygnanie popłynąć nim do Chin.

Gubernator przychylił się do ich życzenia, niestety jednak Hoffman dla słabego zdrowia towarzyszyć sprzysiężonym nie mógł, ale obiecywał dopędzić ich w drodze. Pojechali więc sami pod strażą 2 sotników i 12 kozaków. Odbywano podróż w sankach zaprzężonych w łosie, których szybkość podziwia Beniowski, jak i to, że garść maku wystarczała im za cały pokarm.

Ożywieni nadzieją ocalenia wygnańcy byli w jak najlepszem usposobieniu i zabawiali się widokiem pijanych kozaków, którzy na grze w karty i na hulance spędzali czas odpoczynku. Kiedy wtem 3 września dogania ich kozak, przysłany z Jakucka i powiada, że p. Hoffman umarł, a po jego śmierci znaleziono między sprzętami mieszkania, jakieś ważne papiery. Z tymi to papierami wyprawiono go do sotników, rozkazując oddać je gubernatorowi w Ochocku i ostrzedz władzę, aby wygnańców nie wysyłano do Kamczatki.

„Na tak niespodziewaną nowinę — mówi w swych pamiętnikach Beniowski—dorozumieliśmy się, że Hoffman zostawił jakoweś ślady naszych zamysłów i że w Ochocku z pewnością będziemy do więzienia wtrąceni. W tak smutnem

położeniu radzić koniecznie o sobie należało, zaproponowałem więc towarzyszom, aby w jakikolwiek sposób opanować papiery nadesłane z Jakucka i ułożyć inny list do gubernatora Ochockiego. Podobała się wszystkim ta moja myśl, a gdy rozważamy jakby ją najlepiej uskutecznić, niespodziewane zdarzenie posłużyło wybornie naszym życzeniom.

„11 września, gdyśmy czółnami przebywali rzekę Aldan, a obok nas płynęły nasze łosie, wywraca się raptem czółno naszych komendantów. Żywo poskoczyłem na ratunek, co mi ich niezmiernie ujęło, a że w tym czasie wypadła rzęsista ulewa, zatrzymuje się cały nasz konwój dla przesuszenia odzieży. Zachęcamy sotników i kozaków do gry, grali póki mogli, a wypiwszy między sobą więcej dziewięciu miar wódki odeszli zupełnie od zmysłów, z czego skorzystaliśmy w tej chwili dla schwycenia depesz. Otworzywszy je przekonaliśmy się, iż nasza trwoga nie była daremną, list bowiem komendanta Jakuckiego do gubernatora Ochockiego brzmiał, jak następuje:

„Dwaj sotnicy Kołosow i Rostarkow prowadzą niewolników stanu posłanych

na wygnanie do Kamczatki, skoro tylko staną oni w gubernii WPana, rozkaż ich natychmiast osadzić w więzieniu i tam strzedz pilnie, aż odbierzesz ode mnie dokładniejsze wiadomości o ich spisku. Osobliwie jeden między nimi, Maurycy Beniowski, tak daleko swoją posunął zuchwałość, że wciągnąć potrafił do swoich zamiarów chirurga Hoffmana, który się z nim sprzysiągł, iż skoro tylko do Kamczatki przybędzie, postara się o okręt, na którym wspólnie ci ichmościowie ułożyli sobie uprowadzić wszystkich tej prowincyi wygnańców.

„Doniósł mi o tym niegodziwym układzie pewien tutejszy niewolnik, któremu się Hoffman zwierzył przed swoją śmiercią. Rozkazałem więc zabrać wszystkie tego chirurga rzeczy, między któremi znalazłem papiery niezrozumiałe dla mnie, bo po niemiecku pisane, przesyłam je WPanu wyśląc, że znajdziesz sposób przetłomaczenia i radząc pilne mieć oko na zuchwalców, a nadewszystko nie wysyłać ich w tym roku do Kamczatki. Sam zaś nie omieszkam w pierwszych moich depeszach dać znać senatowi, a jakie od niego odbiorę rozkazy prześlę je WPanu, lecz dla odległości

nie spodziewam się aby one przed rokiem rąk jego doszły...

„Przejrzeliśmy potem — pisze dalej Beniowski — inne papiery Hoffmana, w których nie znaleźliśmy nic, coby dotyczyło naszego zamiaru. Jeden tylko list gubernatora mógł nas zgubić, napisaliśmy więc na jego miejsce inny w tych wyrazach:

„Dwaj sotnicy Kolosow i Rostarkow prowadzą niewolników stanu skazanych na wygnanie do Kamczatki. Poznawszy ich z bliska mam sobie za powinność interesować się nimi, zwłaszcza zaś dwaj cudzoziemcy, bracia z wojny, warci są względów WPana. Czybyś nie WPan dać im w swem mieście nieco wolności, czembyś ich ustrzegł od szkorbutu, choroby, jak słyszałem, zwykłej i bardzo niebezpiecznej w porcie Ochockim. Papiery, przyłączone do tego listu, należały do chirurga Hoffmana, który przeznaczony był do Kamczatki, ale umarł tutaj, że zaś pisane są po niemiecku, posyłam je —Panu do przetłomaczenia, iżbyś z nich jakowąś mógł powziąć wiadomość o projektach nieboszczyka, z wielu miar bowiem dorozumiewam się iż należał do kompanii myśliwych. Ży-

czę —Panu największych pomyślności itd. itd. itd.“

Zamiana listów uskuteczniona została jaknajszczęśliwiej i wygnańcy widzieli z radością, że sotnik nie domyślał się figla, którego mu spłatano, a figiel nietylko uratował nieszczęśliwych od nowego więzienia, ale za przybyciem do Ochocka zapewnił im względy tamtejszego gubernatora. Pomieszczeni wygodnie u najmajętniejszych mieszkańców mieli swobodę dowolnego krążenia po mieście w towarzystwie jednego tylko kozaka, lubo jednak wesoło spędzali czas na względnej swobodzie, w obawie iżby późniejsze depesze z Ochocka nie popsuły ich sprawy, nalegali na komendanta o jaknajszybsze wysłanie konwoju.

Nadchodziła burzliwa pora roku, która utrudnia żeglugę, należało więc korzystać z czasu i tym sposobem stało się zadość życzeniom wygnańców. Z rozkazu gubernatora przeznaczono dla nich okręt świętego Piotra i Pawła, uzbrojony ośmiu armatami z 43 ludźmi załogi, a obciążony znacznym ładunkiem mąki i wódki.

Morze! Jakież jego widok obudzić musiał uczucia w więźniach! Bezmiar fal otwartych na świat cały dawał im złu-

dzenie, że zostawią poza sobą bolesne wspomnienie kajdan, fortec, poniewierki wygnańczej i równo z ptakami, szybującymi swobodnie w przestworzu, płyną na kraj świata użyć najdostojniejszego przywileju człowieka, wolności!

Ale z rozkosznych i śmiałych marzeń zostali biedacy strąceni nagle w przepaść nowej niedoli. Kapitan okrętu bawił na lądzie a zastępował go typowy głupotą i okrucieństwem podwładny. Kazał on wygnańców przykuć do masztu, zmuszając ich najpodlejsze pełnić usługi. Szczęściem stan ten trwał tylko jeden dzień, zaraz bowiem nazajutrz powrócił kapitan załogi i dowiedziawszy się o samowolnym postępku swego zastępcy, kazał mu za karę wyliczyć pięćdziesiąt knutów, wysłańców zaś natychmiast z więzów uwolnił.

Knut był to rodzaj bata o kilku rzemykach, do których przyczepiano niekiedy żelazne haczyki. Rozdzierały one skórę i sprawiały ból nie do zniesienia. A jednak nie na 50, jak okrutnemu dowódcy z okrętu Piotra i Pawła, ale na kilkaset i kilkatysięcy knutów, skazywały wyroki biednych jeńców zabranych do niewoli, lub ludzi posądzonych o spiski przeciw władzy. Nie zliczy nikt ile

tysięcy ofiar legło w Polsce pod knutem, ja sama znałam takich, którzy, wytrzymawszy straszną karę, mieli plecy zrosłe w jednę bliznę, a znosili mękę pogodnie, bo ją znosili dla Ojczyzny!

Zostawiliśmy naszych przymusowych podróżnych na okręcie, szczęśliwych nadzieją opanowania go i odzyskania wolności. Dzisiaj nadzieja taka nie byłaby możliwą, bo za niebezpiecznymi spiskowcami gubernator z Jakucka posłałby do Ochocka depesze i, zamiast względnej wolności, jakiej tam używali, zakuto by ich na nowo w kajdany, za sfałszowanie listu, i zmawianie się z Hoffmanem. Na szczęście jednak w 1770 roku nie znano jeszcze telegrafu, tem mniej telegrafu bez drutu, dla którego dziś nie istnieje przestrzeń, dzięki więc pierwotności środków komunikacyi mogli nasi wygnańcy łudzić się nadzieją ocalenia.

Sama też natura zdawała się sprzyjać ich zamiarom, ułatwiła je zaś dzikość i pijaństwo załogi. Burza od paru już dni miotała okrętem, a tymczasem kapitan wraz z majtkami. uraczywszy się wódką, leżeli bez zmysłów na pokładzie.

Należało korzystać z tak pomyślnego zbiegu okoliczności, radość przej-

mowała serca wygnańców, widzieli się oni już bliskimi odzyskania swobody, bo znów złudzeni chwilową nadzieją, byliby chętnie oddali życie dla skrócenia męki w jaką wtrącała ich niepewność dalszych losów. O trzeciej godzinie z północy pękł maszt środkowy. Z obawy, aby ten sam los nie spotkał rudlowego, musiano go spuścić, jeden więc już tylko na statku pozostał maszt.

Łoskot padających belek zbudził kapitana. Na czworakach przyczołgał się on z kajuty, ale ugodzony odłamem drzewa padł na pomost. Wytrzeźwiał wprawdzie z bólu, nie czuł się już jednak zdolny do wydawania rozkazów w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa. Majtkowie, chociaż jeszcze pijani, zlękli się także o własne życie i przeklinając oficerów za ich opilstwo równie jak za głupotę, zaczęli błagać Beniowskiego, aby ocalił załogę od śmierci. Nie trzeba było powtarzać tego dwa razy hrabiemu. Szczęśliwy sposobnością opanowania okrętu wziął się natychmiast do ratowania zagrożonego statku, a ranny kapitan, nie widząc innego sposobu ocalenia własnego życia, sam dobrowolnie zdał komendę w ręce dzielnego konfederata.

Tymczasem, na domiar pomyślności, wiatr znowu zmienił kierunek i dął ku wschodowi. Któż opisze radość wygnańców! Los oddał w ich ręce okręt i ten okręt choć bardzo skołatany pędzi ku brzegom japońskim lub chińskim. 26 listopada Beniowski skorzystał z chwilowego uspokojenia burzy i rozpoczął naprawę pogruchotanych masztów, starganych lin, na miejsce których miano zaciągnąć nowe. Ale mimo wytężonej pracy wygnańców taka była niezręczność i takie znużenie załogi, że zdołano rozwinąć jeden tylko żagiel. Pozbawiony masztu głównego okręt nie mógł utrzymać potrzebnego kierunku, tembardziej, że wieczorem tegoż, samego dnia, wiatr wykręcił się po raz trzeci.

Był to prawdziwy cios dla Beniowskiego i jego towarzyszy, postanowili jednak walczyć do ostatniego tchu byle w końcu dopiąć tego, co zamierzyli. 27-go ujrzano na horyzoncie ziemię, ale poznali wprędce, że to także ziemia niewoli, ten sam Sachalin, gdzie potem wywieziono tylu nieszczęśliwych więźniów. Na wschód, na fale oceanu, pragnął dążyć Beniowski, a nie do ruskich zawijać brzegów, że zaś okręt przechylał się coraz więcej na bok, namawiał hrabia

majtków, aby płynąć do Korei niby dla wyrównania ładunku, w rzeczywistości zaś dla wydostania się z okropnego położenia, bo o dalszej wyprawie na skołatanym okręcie nie mogło być mowy. Załoga odmówiła swojej pomocy, utrzymując słusznie, że korzystniejszem jest dla nich płynąć bez zwłoki do Kamczatki. Beniowski jednak i teraz jeszcze nie odstąpił od zamiaru ucieczki, nie miał dość sił, aby opanować przemocą statek, postanowił więc sfałszować kompas z pomocą żelaza i czosnku, aby tym sposobem mimo woli i wiedzy rosyjskich majtków zarzucić kotwicę na brzegach Korei. Podstęp się nie udał, a dalsza żegluga, przy pochyleniu statku i przeciwnym wciąż wietrze, była niemożliwą, zwłaszcza, że chmury zwiastowały nową burzę.

Nie będę opisywała żalu nieszczęśliwych wygnańców, ani rozpaczy Beniowskiego, który, jakby na szyderstwo, musiał sam wieźć siebie i towarzyszy do przygotowanego dla nich miejsca wygnania. Nadzieja ucieczki zgasła na długo z chwilą, kiedy prowadzony pod rozkazami hrabiego okręt obrócił drogę ku Kamczatce. Ziemia niedoli widniała już na horyzoncie, piętrząc się wysokiemi

górami i wulkanami, z których niektóre były jeszcze czynne, a chmury dymu unoszące się nad nimi dodawały ponurych farb krajobrazowi i tak bardzo smutnemu.

Był właśnie pierwszy grudnia, kiedy majtkowie z łatwo zrozumiałą radością, ujrzeli dobrze sobie znaną górę Alaksa i doradzili Beniowskiemu, aby wprowadził statek w ujście rzeki Wielkiej, która przepływa opodal.

Z rozdartem sercem poddał się hrabia losowi; razem z dobiciem do lądu skończyła się jego komenda, objął ją oficer rosyjski, który zajął miejsce rannego kapitana; wygnańców wyprowadzono tymczasem na ląd i pomieszczono w jurcie, to jest w budzie, której dach tylko wznosi się nad ziemią, izba zaś dla ciepła, wykopana jest w głębi gruntu.

Ten pierwszy, najboleśniejszy może, postój na ziemi wygnania, skończył się prędko. Najboleśniejszy, bo jakże ciężko było wygnańcom nawyknąć znowu do losu więźniów, kiedy przez kilka dni oni to dawali rozkazy i od nich zależał los okrętu! Widocznie spostrzeżono już w mieście przybycie statku, gdyż wkrótce ukazały się na rzece Wielkiej

czółna z kozakami. Czółna te zbijają krajowcy z cienkich desek pokrytych wilczemi skórami a spojonych wielorybią ością. Oficer, dowodzący kozakami, wysiadł z czółna, zbliżył się do wygnańców i uderzony wyróżniającą się wśród innych postawą Beniowskiego, powitał go grzecznie, pytając, kimby był?

— Żołnierzem jestem, niegdyś generał, dzisiaj wasz niewolnik — odrzekł krótko hrabia, a tą zwięzłą i pełną godności odpowiedzią pozyskał sobie odrazu szacunek dowódcy eskorty, który zaprosił wszystkich wygnańców na obiad przyrządzony wedle miejscowych zwyczajów.

Wybrzeża Kamczatki obfitują w ryby, łatwo też się dorozumie każdy, że stanowią one główne pożywienie mieszkańców, nikt jednak z Europejczyków nie wyobrażał sobie, jaka szczególna czeka go uczta. Składała się ona z ryby pieczonej, smażonej, gotowanej, z placka przyrządzonego z ryby, tylko ususzonej i utartej na mąkę. Nie dość tego, napój stanowiła także ryba zfermentowana, rodzaj kwasu, który kamczadale przyrządzają bez wielkiego zachodu, poprostu trzymają w wodzie surową rybę dotąd, aż zgniłe jej mięso odpadnie od

ości, a płyn nabierze odpowiedniego smaku no! i zapewne zapachu.

Nawet człowiek morzony głodem przez tydzień niechętnie zabrałby się do takiej uczty, cóż dopiero mówić o ludziach przyzwyczajonych, jak Beniowski do wykwintnego czystością i doborem potraw pożywienia. A przecież należało odpowiedzieć grzecznością za grzeczność oficera i nie okazać wstrętu do podawanych rybich przysmaków. Na szczęście przypadek wybawił tym razem naszych podróżnych z kłopotliwego położenia; właśnie, kiedy obiadować mieli, nadpłynęły Wielką nowe czółna i wysiadło z nich kilkanaście dobrze ubranych osób, pytając niecierpliwie o nowiny z Europy.

Nowoprzybyli byli to wygnańcy, oddawna przebywający w Kamczatce. Spieszyli powitać więźniów i zawrzeć z nimi znajomość.

Beniowski, zajęty wciąż myślą ucieczki i nie zniechęcony świeżym zawodem, ani nieudanymi dawniej zamiarami, skorzystał skwapliwie ze sposobności poznania wygnańców, którzy, jako oddawna osiedli w Kamczatce, mogli mu udzielić cennych wskazówek. Zawiązała się szybko bardzo zajmująca i ożywiona rozmowa i hrabia z łatwością odgadł,

że między nowo przybyłymi są ludzie, oddychający tą samą, co on nadzieją.

Opowiadania o życiu na półwyspie, szczegóły dotyczące miejscowych warunków, stosunek więźniów do władz, słowem, obraz roztoczony przed oczami wygnańców, znękanych odbytą z Europy drogą, był tak okropny, że mógł tylko utwierdzić wszystkich w zamiarze natychmiastowej, gdyby się dało, ucieczki. Roztropność nakazywała jednak rozważyć przedewszystkiem, a także poznać należycie warunki, w jakich Beniowski i jego towarzysze znajdować się odtąd mieli, żeby wyzyskać je przy pierwszej nadarzonej sposobności.

Dowiedziano się więc zaraz tego dnia, że zesłańcy używają w Kamczatce względnej wolności, bo żyją własnym przemysłem, zajmując się głównie rybołówstwem i polowaniem, a rząd dlatego zostawia im tę swobodę, żeby nie troszczyć się o potrzeby biedaków i zaoszczędzić koszta wyżywienia więźniów. Los tych nieszczęśliwych zależał w zupełności od dobrej woli gubernatora, który, jak mniej więcej wszyscy podobni jemu dygnitarze, uważał wygnańców za niewolników, oddanych bez żadnych zastrzeżeń na jego łaskę i niełaskę.

Beniowski odrazu zrozumiał, gdzie dla dopięcia zamierzonego celu pierwszy szturm przypuścić należy, postanowił też dołożyć wszelkich starań, żeby pozyskać względy wielkorządcy Kamczatskiego i marzył już, jak zdobywszy zaufanie gubernatora, otrzyma od niego pozwolenie na wyekwipowanie okrętu, pod pozorem łowienia bobrów, w istocie zaś aby ponowić kilkakrotnie już nieudane próby ucieczki.

Trzeba przyznać, że bohaterowi naszego opowiadania nie zbywało na odwadze i wytrwałości w raz powziętym zamiarze. Beniowski wiedział, co mu grozi, najmniejsza nieostrożność mogła narazić go na gniew wszechwładnego rządcy prowincyi, a gniew ten obudzić, znaczyło zginąć pod knutem lub gnić całe lata w lochach kamczatskich.

Tak silną jednak była w sercach więźniów chęć odzyskania wolności, że nieustraszeni grozą prześladowania, jakie na siebie ściągnąć mogli, zawarli natychmiast ścisłą przyjaźń z wygnańcami osiedlonymi na półwyspie i wyraziwszy im swą radość z możności wspólnej odtąd pracy, postanowili zawrzeć z nimi związek. Umówiono się o schadzkę, na której miały być bliżej określone

cel oraz warunki sprzysiężenia i hrabia wraz z swymi towarzyszami lżejszem już sercem poznawał teraz miejsce wygnania, bo świeciła mu znów nadzieja opuszczenia go wkrótce i na zawsze.

ROZDZIAŁ II.

Gubernatorem Kamczatki był w 1770 roku pan Niłow. Mieszkał on w Petropawłowsku, stolicy prowincyi. Choć miał dobre serce, ale umysł ograniczony i łatwo dający się powodować każdemu, kto w jakikolwiek sposób potrafił zyskać nad nim przewagę, więc często popełniał niesprawiedliwości.

4 grudnia o godzinie 10 rano kazał on przedstawić sobie wygnańców, których przyprowadzono pod strażą, przyjął ich uprzejmie i zaczął od podziękowania Beniowskiemu za trudy poniesione około ocalenia okrętu.

— Wstęp tak łaskawy a niespodziewany wydał mi się dobrę wróżbą — pisze hrabia.—Pytał nas się potem gubernator o nasze urodzenie, stan służby, powody nieszczęścia, rozkazując udać się do sekretarza kancelaryi Sudeykina po obszerniejszą informacyą, ja zaś — dodał

na zakończenie Nilow — przyrzekam z mojej strony osładzać ile możności przykrość waszego losu, byleście tylko byli posłuszni, wykonywali z uniżonością wasze powinności i opłacali regularnie daninę jaka na was zostanie włożona.

Po tak łaskawem oświadczeniu, zaprowadzono nas do sekretarza, który oznajmił:

„1-o Że dnia następnego będziemy wypuszczeni na wolność i opatrzeni w żywność na 3 dni, poczem sami już myśleć mamy o swojem utrzymaniu.

„2-o Że każdy z nas odbierze z kancelaryi muszkiet i dzidę, funt prochu, cztery funty ołowiu, siekierę, kilka nożów i różne narzędzia ciesielskie do zbudowania sobie chałupy, nie bliżej jak o milę od miasta, w nagrodę zaś za otrzymaną broń wypłacić mamy rządowi, zaraz w pierwszym roku, sto rubli w futrach.

„3-o Że każdy z nas jeden dzień w tygodniu ma odbywać służbę przy gubernatorze, żaden zaś bez jego pozwolenia nie waży się oddalać od swego mieszkania na dłużej niż 24 godzin.

„4-o Że wreszcie każdy z wygnańców powinien corocznie oddawać do kance-

laryi 6 skór sobolich, 50 skór królików, 2 skóry lisie i 24 skór gronostajowych.“

Dawszy nam taką instrukcyę, sekretarz kazał wydać nam żywność na trzy dni, która się składała z 9 fun. ryby suszonej na każdą głowę. Z kancelaryi poszliśmy prosto do magazynu wziąć broń i inne narzędzia, a że już nam wiadome były miejscowe zwyczaje, daliśmy słowo strażnikowi magazynowemu, że go udarujemy futrami, pozwolił nam też wybrać ze składu co najlepszy towar. Trudno wypowiedzieć radość nas wszystkich skorośmy broń w rękach naszych postrzegli. Wiedział każdy w duchu jaki z niej zrobi użytek.

„Tylko cośmy z magazynu wyszli zaszło nam drogę 20 wygnańców, którzy przyprowadzili pod nasze sprzęty sanie w psy zaprzężone, ofiarowywując nam nawet swoje chałupy, póki własnych nie pobudujemy. Z wdzięcznością przyjęliśmy to oświadczenie, a że głód nam dokuczał, pośpieszyliśmy do ich wioski, która składała się z 8 chałup i tyluż bałaganów, czyli magazynów. W środku wsi wznosił się długi budynek, który służył mieszkańcom za świątynię i salę publicznych zgromadzeń. Ugoszczeni obiadem, złożonym z samych ryb, na de-

ser obdarzeni zostaliśmy kawiorem i orzechami cedrowemi. Gospodarzem przyjęcia był Krustjew, powszechnie szanowany człowiek.

„Zrazu panowało u stołu ogólne milczenie, lecz skoro tylko posiłek nas orzeźwił natychmiast rozpoczęła się obszerna rozmowa. Niech każdy osądzi, cośmy uczuć musieli, gdy nam powiedziano jakie, co do wygnańców obowiązujące tu ukazy. Brzmiały one, jak następuje:

„1-o Wygnańcy nie mogą nigdy żadnej posiadać własności.

„2-o Gdyby wygnaniec, chociażby i zaczepiony, posunął swoje zuchwalstwo do uderzenia obywatela, lub żołnierza, ma za to przestępstwo głodem być zamorzony.

„3-o Niewolno żadnemu rosyjskiemu poddanemu przyjmować w domu swoim wygnańca, albowiem jest on wykluczony ze społeczeństwa.

„4-o Wygnańcy do najpodlejszych robót używani być powinni i tym sposobem na utrzymanie swoje zarabiać, gdyż zostawiono im życie na to tylko aby błagali Boga o odpuszczenie swych grzechów.

„5-o Wygnaniec odzyskuje wolność,

jeśli wyjawi przed gubernatorem spisek uknuty przeciwko władzy lub spokojności publicznej".

Trudno wyobrazić sobie oburzenie Beniowskiego i jego towarzyszy po przeczytaniu tak srogich praw, wydanych przez sławionego w całej Europie cesarza Piotra Wielkiego. Oburzenie to wzrosło jeszcze, gdy im powiedziano, że żołnierze garnizonowi wpadają często do mieszkań wygnańców i zabierają wszystko co się im podoba, a wygnańcom niewolno się użalić na samowolę ani zanieść skargi, gdyż według przepisów nie mają prawa do jakiejkolwiek własności.

— Świadomość jak strasznie krępują mnie kajdany, podwoiła jeszcze żądzę skruszenia ich—woła z oburzeniem Beniowski. Towarzysz jego, Panów, chciał zaraz rozpocząć narady jakby więzy te zerwać; ale sprzeciwił się temu roztropny gospodarz domu Krustjew i uczęstowawszy gości herbatą, wniósł, aby każdy z dawniejszych wygnańców, przyjął do siebie nowego, dzieląc się z nim żywnością, dopokąd piękniejsza pora roku nie pozwoli im własnych wybudować mieszkań. Zgromadzenie przystało z radością na wniosek Krustjewa; ciągnięto losy, kto kogo ma dostać za do-

mownika, a wszyscy weselili się z wzajemnego wyboru, bo nic tak nie brata ludzi jak wspólnie znoszona niedola.

Beniowski pozostał w mieszkaniu Krustjewa i długo w noc przeciągnęła się tego wieczora rozmowa dwóch dzielnych ludzi, aż nakoniec, uniesieni jednakim porywem serca, zwierzyli się sobie wzajemnie z tajonych w głębi duszy zamiarów ucieczki. Krustjew posiadał małą biblioteczkę, w doskonałym utrzymaną porządku i zbiór kart geograficznych, radzono więc wspólnie nad kierunkiem, jaki zbiegowie powinni byli obrać dla swej wyprawy, zgodzili się jednak obaj na to, że zanim plan ten ostatecznie ułożonym zostanie, należy przedewszystkiem porozumieć się z ludźmi zaufania i przypuścić ich do tajemnicy.

Wychowani w czasach największego ucisku myśli, czytelnicy moi mało zapewne są obznajmieni z opisami spisków i schadzek. Same już te wyrazy mają w swem brzmieniu coś tajemniczego, złowrogiego, a jednak porywającego duszę. Przypominają nam straszne szczegóły sprawy Konarskiego i tylu innych bohaterów narodowych. Męczarnie wytrzymane przez nich, z uwielbienia godną stałością, przekonywają, jak silną

jest w sercach Polaków miłość ojczyzny, skoro cierpienia znoszone dla niej nie odstraszają nikogo od ofiar, przeciwnie, niezgasłą chwałą i urokiem opromienieją postacie ludzi poświęcających się za wolność ogółu.

Beniowski i Krustjew zaczęli układać plan działania. Pierwszym warunkiem jego powodzenia była zupełna pewność, że nikt z wtajemniczonych nie zdradzi spisku. Wedle przepisów, przytoczonych powyżej, rząd nagradzał wolnością donosiciela spisku, niebezpieczeństwo więc, grożące spiskowcom, zwiększało się jeszcze o tę pokusę, chociaż biada temu, kto za cenę zdrady hańby zapragnąłby uzyskać swobodę.

Krótki grudniowy dzień, krótki zwłaszcza na dalekiej północy, miał się już ku końcowi, kiedy do mieszkania Krustjewa zaczęli nadchodzić jego i Beniowskiego towarzysze. W obszernej izbie chałupy stawali szeregiem, jeden obok drugiego, ludzie różnych narodowości, mało, albo wcale sobie nie znani, a jednak bliscy wspólnością cierpień i silną wolą zerwania kajdan.

Obok Beniowskiego i znanego nam już majora Windblata, towarzyszy barskich, ze znakomitszych polaków był

tu Kazimierz Bielski, starosta, od lat 15 więziony na Syberyi; a z rosyan: gospodarz domu Krustjew, Panow gwałtowny, ale szlachetny; siostrzeniec jego Stefanow, młodzieniec zdolny choć zuchwały. Oni to, wraz z kilku jeszcze innymi, stanowili Radę związku, za nimi dopiero stała gromadka wygnańców, spragnionych usłyszeć po co wezwani zostali na naradę, a przeczuwających, że losy ich przyszłości zależą od słowa, które za chwilę padnie wśród zgromadzenia.

Słowo to, wezwanie do walki za wolność, wypowiedział Beniowski. Obdarzony wielkiemi zdolnościami i piękną wymową, umiał trafiać do serca słuchaczy siłą własnych przekonań. Był zaś szczerze przeświadczony, że lepiej jest stokroć umrzeć niż znosić niewolę.

— Przyjaciele i towarzysze — powiedział do zgromadzonych wygnańców im sroższą jest nasza niedola, tem usilniej wszystkim pracować należy nad odzyskaniem wolności. Równość nieszczęścia porównała stany nasze, jakiekolwiek zaszczyty posiedli niektórzy z nas przez urodzenie lub własną zasługę, wszystkie one zmazane zostały powszechną niedolą, wszyscy dziś równi sobie

jesteśmy. Wnoszę zatem, abyśmy sami sobie przepisali ustawę, potrzebną dla stałego i jednostajnego działania, które niechybnie doprowadzi nas do wolności. Doświadczenie uczy, iż żadne towarzystwo obyć się nie może bez dowódcy i nad wyborem tego naczelnika najpierw nam się zastanowić należy. Obowiązkiem jego będzie służyć wszelkiemi siłami interesom związku, za to wszyscy inni spiskowi muszą przyrzec mu posłuszeństwo. Wybrany naczelnik przysięgnie Radzie i towarzyszom, że:

1-o. Niezwłocznie ułoży plan działania w celu przywrócenia wszystkim wolności, chociażby przyszło narazić przytem własne życie.

2-o. Nie będzie miał nigdy wyłącznych względów dla nikogo z pomiędzy towarzyszy i całej bez wyjątku Radzie doniesie wszystko, co tylko osądzi być potrzebnem do pomyślnego uskutecznienia ogólnych zamiarów.

3-o. Nie jest w mocy naczelnika cofnąć kiedykolwiek raz dane zgromadzeniu słowo, gdyby więc chciał zaniechać swego przedsiewzięcia, za takowy występek bez żadnego pobłażania ma być śmiercią karany, który to wyrok wykona Rada według swego uznania.

Naczelnik odbierze od każdego związkowego z osobna przysięgę następującej treści:

1-o. Iż: każdy z nich dołoży wszystkich starań, chociażby z niebezpieczeństwem życia, aby dopomódz do uskutecznienia planu, przyjętego w celu odzyskania wolności.

2-o. Iż: uznawszy władzę i zwierzchność naczelnika, zaręcza mu ślepe posłuszeństwo we wszystkiem, co się interesów związku dotyczy.

3-o. Iż: gdyby który z członków związku zdradził położone w sobie pod przysięgą zaufanie, odkrył komukolwiek obcemu najdrobniejszy szczegół, w takim razie uznaje się być winnym śmierci i Rada niezwłocznie wyrok ten przeciwko przestępcy ogłosi, a każdy ze związkowych uroczyście obowiązuje się wykonać wyrok na przeniewiercy, bez względu na wszelkie związki przyjaźni.

Po odebraniu zobopólnej przysięgi, naczelnik, na równi ze wszystkimi związkowymi, wykona jeszcze następującą przysięgę:

Iż: w przypadku zdrady, gdyby naczelnik lub inny członek towarzystwa, dostał się w ręce władz, pochwycony zachowa jaknajściślejszą tajemnicę wzgle-

dem spisku. Wszyscy uczestnicy związku użyją wtedy wszelkich, chociażby z niebezpieczeństwem życia sposobów, aby uwolnić go z więzienia. Gdyby zaś ani podstępem, ani siłą uczynić tego się nie dało, należy podać mu truciznę, lub oręż, iżby udręczony jeniec wyznaniem swojem nie skompromitował wspólników.

Przemówienie Beniowskiego przyjęte zostało przez wygnańców z najwyższemi oznakami uznania. Przystąpiono natychmiast do wyboru naczelnika, każdy ze związkowych wziął papier i napisał na nim nazwisko najgodniejszego wedle siebie kandydata na to ważne stanowisko. Po sprawdzeniu głosowania okazało się, że Beniowski wybrany został jednogłośnie przez wszystkich obecnych; brakowało mu tylko jednego głosu, tego. który on sam dał Krustjewowi, Krustjewa też mianował zaraz swoim zastępcą, poczem przystąpiono do wykonania przysięgi.

Zapanowało w izbie uroczyste milczenie. Zgromadzeni rozumieli ważność chwili, jeżeli bowiem dane słowo wiąże uczciwego człowieka i jest dla niego święte, to jakże wielkie wrażenie czynić powinna przysięga wykonana dobro-

wolnie z całą świadomością tego, do czego się zobowiązujemy. Spiskowi wiedzieli dobrze, że najmniejsza nieostrożność narazi ich na okrutną śmierć, że zwyciężyć mogą tylko wtedy, jeśli pozostaną wierni szlachetnemu hasłu „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“, choćby przyszło zginąć w obronie ostatniego z towarzyszy.

Mieliż wyrwać siebie i braci z toni nieszczęścia, czy pogrążyć wszystkich w stokroć większą jeszcze niedolę? pytała przyszłości garstka biedaków, która wiązała się przysięgą na walkę z przemocą. Obrządek tej przysięgi, poważny z samej swej natury, miał, wedle słów naszego podróżnika, coś w sobie tak wyjątkowo wspaniałego i poruszającego, że najobojętniejszy świadek cześć by mu swoją oddał. Zebranie zakończono wyznaczeniem następnej sesji na dzień 10 grudnia.

Zaczęło się odtąd dla Beniowskiego życie nieustannych wrażeń, życie, którego jedna część upływała na schadzkach tajemnych z towarzyszami i przygotowywaniu powstania, drugą zaś poświęcił dla zjednania sobie względów gubernatora, co mu ze szczególną przyszło łatwością, dzięki rzeczywistym swoim

zdolnościom oraz umiejętności ujmowania sobie ludzi. Zaraz w pierwszym tygodniu pobytu na Kamczatce mianował pan Niłow Beniowskiego nauczycielem swych dzieci; miał odtąd udzielać lekcyi języka francuskiego i niemieckiego synowi gubernatora i trzem jego córkom, a został za to uwolniony od danin i pracy, ciążących na wygnańcach i otrzymywał też tę samą żywność, którą dostawali żołnierze garnizonu.

Niemniej szczęśliwie powiodła się Beniowskiemu znajomość z najwyższymi dygnitarzami prowincyi, z zastępcą gubernatora, który nosił tytuł kanclerza i z atamanem czyli pułkownikiem, dowodzącym kozakami. Zastał tych panów przy partyi szachów, a że sam znał tę grę doskonale, przypatrywał się też posunięciom z zainteresowaniem. Spostrzegł to kanclerz i uważając partyę swoją za przegraną, zaproponował Beniowskiemu aby ją za niego skończył, obiecując w razie wygrania nagrodzić go datkiem pieniężnym. Propozycya ta oburzyła atamana, który oświadczył, że grać z wygnańcem nie będzie, gdyż sprzeciwia się to prawu, ale kanclerz zbył go żartem.

— Prawo zakazuje tylko obcować

z wygnańcami, lecz grać z nimi w szachy nie zabrania wcale, bo przecież szachy nie wymagają rozmowy — odpodział ze śmiechem i Beniowski partyę wygrał, czem ogólny poklask pozyskał. Że zaś stawka, o którą grano, była bardzo wysoka, wdzięczny kanclerz sporą jej część wręczył hrabiemu, zatrzymał go u siebie na cały wieczór i korzystał z dobrych rad przy następnych partyach.

Grze w szachy oddawało się wówczas dużo osób na Kamczatce, przegrywano i wygrywano wielkie nieraz sumy, bogaci kupcy miejscowi, zarówno jak i dygnitarze rządowi próbowali szczęścia, dając lub odbierając maty, to też talent Beniowskiego stał się dla niego wkrótce źródłem bardzo znacznego dochodu.

Wracał właśnie od kanclerza, kiedy dogonił go ataman i zaproponował mu zawarcie spółki w celu odegrania strat, jakie poniósł od kupców.

— Każda piąta część wygranej będzie twoją własnością — powiedział ataman i tego jeszcze wieczoru przekonał się, jak korzystny zawarł układ, bo Beniowski wygrał dla niego pięć partyi, sam zaś czuł się także bardzo szczęśli-

wym, mogąc nazajutrz wręczyć pieniądze wygnańcom. Witali go oni okrzykami radości, widząc w nim prawdziwą opatrzność związku, który bez pieniędzy nie byłby mógł się należycie rozwijać, a tymczasem spółka szachowa z atamanem zapewniała spiskowcom gotowy grosz na broń i amunicyę, co zaś ważniejsza może jeszcze, zasłaniała ich przed prześladowaniem miejscowych władz i samowolą żołnierzy. Któż bowiem ośmieliłby się niepokoić tych, co zasłużyć sobie umieli na względy pierwszych w prowincji urzędników. Żeby zaś te względy utrwalić, postanowił Beniowski oddać się z zapałem nauczaniu dzieci gubernatora i w tym celu przygotował dla nich pięknie wykaligrafowane wzory alfabetu francuskiego i niemieckiego.

Jakież było zdziwienie wygnańców, kiedy zaraz po pierwszej lekcyi wrócił do nich Beniowski saniami, zaprzężonemi w parę psów i powożonemi przez kamczadala, który uważał się za niewolnika hrabiego. Była to istotnie prawdziwa niespodzianka, dowodząca, jak dalece prawa w Rosyi są dowolnie tłomaczone przez ich wykonawców. Gubernator zachwycony lekcyą, którą Beniow-

ski umiał urozmaicić barwnemi opowiadaniami, ofiarował mu zaprzęg, zaręczając przytem, że senat nie weźmie mu za złe wspaniałomyślnego postępowania z wygnańcem, przez wzgląd na usługi, jakie oddał on państwu, ratując okręt od rozbicia. Sława nauczycielska Beniowskiego zjednała mu wkrótce nową jeszcze, a bardzo korzystną propozycyę ze strony mieszkańców Petropawłowska. Przysłali oni deputacją w imieniu całego grona kupców, żądając aby Beniowski otworzył w mieście szkołę i ofiarowywując się wystawić na nią dom, płacić pięć rb. od każdego dziecka i utrzymać kucharza, któremu dostarczaliby żywności na potrzeby nauczyciela. Korzystna ta ze wszech miar propozycya, zapewniała naszemu bohaterowi dochód dość znaczny, co zaś ważniejsze, dawała mu zupełną swobodę. Pod pozorem spraw i zajęć w szkole mógł łatwiej oddawać się przygotowaniom do ucieczki. Bo pomimo tak pomyślnego wstępu do życia na Kamczatce, życie to, zależne od fantazyi władz, które każdej chwili mogły zmienić swoje postępowanie względem więźniów, ciężyło Beniowskiemu, nie przestał więc ani na chwilę dążyć do odzyskania swobody.

Tymczasem jednak miał wiele do zwalczenia trudności i tylko dzięki niezwykłym zdolnościom potrafił wyjść z nich zwycięsko. Nic bowiem nie jest trudniejszem do zniesienia, jak fałszywe położenie, a w takim właśnie znajdował się wciąż nasz bohater. Musiał, jako naczelnik spisku, dążyć do bezgranicznego zaufania związkowych, tymczasem względy, jakimi obsypywał go gubernator, podkopywały w niektórych, mniej go znających, wiarę w szczerość jego uczuć i zamiarów.

— Spędza czas na grze o grubą stawkę, jest ulubieńcem nietylko wszystkich rządowych figur, ale najbogatszych kupców w mieście, używa zupełnej swobody, miałby więc poświęcić tak korzystne dla siebie stanowisko na ryzyko wydobycia nas z niewoli? — szemrali wygnańcy i mieli pozornie słuszność, gdyż Beniowski, właśnie dla dopięcia tajemnych swych celów, większą część wolnego od zajęć szkolnych czasu spędzał na grze w szachy i na przebywaniu wśród rodziny gubernatora.

Składała się ona z syna i trzech córek, z których najmłodsza, szesnastoletnia Afanazya, okazywała wiele współczucia nauczycielowi, wiedząc, jakie nie-

szczęścia sprowadziły go do Kamczatki. Była to niezwykle szlachetna i prosta natura, wychowana przez matkę szwedkę, córkę także zesłanych na Sybir wygnańców. Wzięła po niej zamiłowanie do nauki i talentów, a widok hulanek, jakim oddawał się jej ojciec i szwagrowie, przejmował wstrętem biedną Afanazyę.

Stała się też wkrótce doskonałą uczenicą. Na szczęście znalazł Beniowski między książkami Krustjewa gramatykę niemiecką i francuską, odtąd sylabizowanie w tych dwóch językach stanowiło główną część lekcyi, reszta schodziła na opowiadaniach o Polsce i panujących w niej zwyczajach, opowiadaniach, których słuchała z największem zajęciem i sama pani Niłow. Przychodziła ona często na lekcye, patrzyła ciekawie, kiedy Beniowski dla ułatwienia nauki kreślił zdania francuskie rosyjskiemi literami, zadawała mu pytania, aż powoli, ulegając urokowi, jaki ma zawsze człowiek rozumny, a przytem dzielny i gotowy poświęcić się dla drugich, polubiła szczerze nauczyciela swych dzieci i zaczęła okazywać mu coraz większe zaufanie.

Los tej nieszczęśliwej kobiety był

prawdziwie pożałowania godnym, wydana wcześnie zamąż przez matkę, która zmieniła religję, miała przywiązanie dla pana Niłowa i ceniła jego dobre serce, z boleścią jednak widziała, że oddaje się pijaństwu, a nałóg ten czynił gubernatora częstokroć bardzo porywczym. Co zaś najgorsze, musiała biedna pani Niłowa patrzeć na podobny do swego los dwóch starszych córek, które, mimo jej woli, wydano za obrzydliwych pijaków. Teraz zaś najmłodszej, ukochanej przez matkę Afanazyi, groziło to samo nieszczęście, bo mimo zaklęć i próśb uparł się gubernator wydać ją za niejakiegoś Kuźmę, najobrzydliwszego w świecie człowieka.

Nie dziw więc, że nieszczęśliwa matka drżała o los ukochanego dziecka i że, szukając dla niego ratunku, zwierzyła się ze swych obaw Beniowskiemu, widząc wzrastający jego wpływ na męża i pragnąc użyć tego wpływu dla wyperswadowania gubernatorowi tego małżeństwa córki. Zdawać się mogło istotnie niezrozumiałem, jakim sposobem potrafił nasz bohater zjednać sobie do tego stopnia względy wszechwładcy prowincyi, zaś względy te w części przynajmniej spływały i na całą osadę wy-

gnańców. Najniespodziewaniej zjechał do niej pewnego wieczoru gubernator wraz z całą swoją rodziną, kanclerzem, atamanem i przedniejszymi obywatelami miasta, zaszczycając jeńców swą wizytą. Epokowe to w ich życiu zdarzenie zakończyło się pijatyką, podchmielony Niłow poprzysiągł, że od tej chwili uznaje hrabiego szefem wygnańców, a kanclerzowi rozkazał niespodziewaną tę nominację urzędownie wnieść do ksiąg kancelaryi, przyrzekając uczynić w rządzie starania o wyjednanie dla Beniowskiego jakiego znacznego urzędu w służbie państwowej. Natychmiastowem rezultatem tak szczęśliwie obudzonej sympatyi władz dla wygnańców, było danie im pozwolenia na czterodniowe oddalanie się od osady dla polowania na niedźwiedzie, które, sądząc z opisu Beniowskiego, odbywały się w bardzo oryginalny sposób i narażały nieraz myśliwych na wielkie niebezpieczeństwo.

Wedle zwyczajów miejscowych, dojrzawszy niedźwiedzia, jeden z uczestników polowania powinien był posuwać się ku niemu i drażnić, nadstawiając lewą rękę pod paszczę zwierza. Ręka naturalnie była należycie zabezpieczona drewnianemi deseczkami, tak, aby niedź-

wiedź łapą skruszyć ich nie mógł. W chwili, kiedy zwierz chwytał za rękę, strzelec dzidą starał się go ugodzić w lewą łopatkę, a gdy mu się udało raz ten zadać, przyskakiwali inni myśliwi i dobijali zwierza.

Zdarzało się jednak często, że niedźwiedź kruszył dzidę, a w takim razie niebezpieczeństwo dla polującego było wielkie, bo rozjuszony zwierz obalał go na ziemię, dusił, conajmniej gruchotał mu kości.

Pierwsze polowanie powiodło się wygnańcom szczęśliwie, ubili osiem niedźwiedzi, a między nimi jednego nadzwyczajnej wielkości z białą jak śnieg skórą. Skórę tę przeznaczyli na prezent dla gubernatora, inne zaś, podlejsze miały im służyć za materace. Naładowawszy ubitą zwierzynę na sanie, ruszyli wygnańcy z powrotem do swojej wioski, gdzie skóry z niedźwiedzi zdjęto, a mięso zasolono, poczem Beniowski imieniem wszystkich towarzyszy ofiarował prezent gubernatorowi, który wielkie z daru okazał zadowolenie.

Polowanie oderwało na chwilę myśl spiskowców od głównego celu ich usiłowań, ale zaraz po powrocie z myśliwskiej wyprawy zaszedł wypadek, który

mógł wywrzeć decydujący wpływ na losy całego przedsiewzięcia. Zdarzyło się właśnie, że jeden z najbogatszych kupców miejscowych uzbroił był własnym kosztem okręt i wysłał go na wyspy Aleutskie dla połowu bobrów. Załoga. nieoswojona z morzem i przerażona burzą, zmusiła sternika do powrotu na Kamczatkę. Rozgniewany kupiec wyjednał sobie pomoc władz i pod grozą kar znaglił majtków do ponowienia wyprawy. Oburzeni tem, postanowili jednomyślnie natychmiast, jak tylko wyjdą pod żagle, opanować okręt i użyć go dla odzyskania wolności. Szukali tylko jeszcze zdeterminowanego i obznajmionego z morzem wodza.

— Nikt nie byłby zdolniejszym do tego przedsiewzięcia, jak Beniowski — powiedział majtkom jeden ze sprzysiężonych, do którego właśnie udali się oni o pomoc.

Zwołano natychmiast radę związkową i postanowiono na niej, że Beniowski da pewne obietnice zbuntowanej załodze, pod warunkiem, że wszyscy majtkowie złożą mu uroczystą przysięgę na wierność i zupełne oddanie się jego osobie.

Trudno opisać zapał, jaki ożywił wy-

gnańców na wieść o zbliżającej się chwili opuszczenia Kamczatki, rozpoczęto gorączkowe przygotowania do wyprawy. Robiono ładunki, solono mięso i rybę na drogę. Każdy ze sprzysiężonych miał mieć w pogotowiu muszkiet, szablę, włócznię i sześćdziesiąt ładunków zapasu. Wszystko zdawało się sprzyjać śmiałemu przedsięwzięciu, ułatwiała je nawet mimowiednie władza, bo kanclerz polecił Beniowskiemu wygotowanie mapy wybrzeży Kamczatskich, oraz przyległych wysp Kurylskich i Aleutskich, a w tym celu kazał mu wydać z kancelarji wszystkie papiery, potrzebne do odrysowania żądanej karty. Nie potrzebuję chyba dodawać, że hrabia zabrał się z zapałem do pracy, która miała spiskowcom dostarczyć wskazówek dla własnej ich wyprawy, spędzał też całe wieczory nad obliczeniami i rysunkiem, kiedy wtem, na żądanie pani Niłow, musiał od geografii przerzucić się do sztuk pięknych, jak prawdziwy Robinson, coraz w nowym zawodzie próbował swoich zdolności.

Żona gubernatora oświadczyła Beniowskiemu gorące pragnienie, żeby najmłodsza jej córka mogła uczyć się muzyki. Na nieszczęście grywał on tylko

na harfie, a instrumentu takiego z pewnością nie widział nikt z mieszkańców Kamczatki. Z tem wszystkiem, dla przypodobania się pani Niłow, postanowił Beniowski zrobić harfę własnym przemysłem, chociaż nigdy w życiu nie zajmował się ani stolarką, ani snycerstwem. Dopomogli mu w kłopocie towarzysze, wyrysował tylko model harfy, a Panow podjął się wykonać części z drzewa, Krustjew miał przyrządzić struny z kiszek psów i reniferów, a Stefanow zaś obiecał dostarczyć potrzebnych okuć.

Wśród tych artystycznych zajęć, tak mało stosownych dla naczelników spisku, jak grom z jasnego nieba, wpadł na Beniowskiego kupiec, właściciel zbuntowanego okrętu, oświadczając z gniewem, że jeżeli hrabia nie wymieni mu natychmiast przywódców rokoszu na statku, pójdzie do gubernatora i żądać będzie aby Beniowskiego okuto w kajdany za podniecanie załogi do buntu.

— Zląkłem się zrazu, pisze Beniowski, czy nas nie zdradzono, lecz wnet przypomniałem sobie, że w takich zdarzeniach nie należy tracić głowy, owszem nadrabiać śmiałością.

— Szalony jesteś, mości panie — rze-

kłem spokojnie do kupca — posądzając mnie o tak głupi zamiar. Ludzie z twego statku przychodzili wprawdzie prosząc, abym im dał pierwszeństwo przy budowie mojej chałupy, zrobiłem nawet z nimi układ. Nie sądź jednak, zuchwalcze, abym się miał usprawiedliwiać przed tobą, a zamiast mi grozić, drżyj raczej sam o siebie. Idę zaraz do gubernatora i powiem mu, jak nieludzkim jesteś dla załogi, ile popełniasz okrucieństw. Kupiec, znając mój wpływ na p. Niłowa, struchlał o swą wolność, przeprosił mnie pokornie i oddalił się zaraz do miasta...“

Ale krótkim był tryumf Beniowskiego. Nie przytaczam dalej jego opowiadania, przechodzę natomiast do następstw, jakie wywołała sprzeczka z kupcem.

Było to dnia 1 stycznia 1771 r. po złożeniu życzeń gubernatorowi zebrali się wygnańcy do mieszkania Krustjewa i tam częstowali się herbatą i cukrem, które im znajomi kupcy przysłali jako podarek noworoczny. Drogo jednak mieli zapłacić za ten podarek, gdyż w kwadrans po śniadaniu wszyscy gwałtownych dostali boleści i wymiotów.

— Jesteśmy otruci — zawołał Panow

— otruci cukrem, czułem w nim smak soli!

Ratując się od niechybnej śmierci, wypili wygnańcy po dużej szklance wielorybiego tłuszczu, Beniowski na szczęście mniej był chory od innych, gdyż jedną tylko wypił filiżankę herbaty, zajął się też zaraz ratowaniem towarzyszy, drżał jednak cały z osłabienia po boleściach, a tu ratować należało energicznie, gdyż niektórym z czternastu otrutych krew już ustami płynąć zaczynała.

Znalazła się jednak pomoc w chwili największego niebezpieczeństwa, dali ją chorym towarzysze, wygnańcy, którzy właśnie nadeszli do Krustjewa, a widząc rozpaczliwy stan kolegów, skoczyli coprędzej po mleko reniferów i uratowali niem życie trzynastu otrutych, jednego tylko ocalić już nie zdołano, jakoż umarł nadedniem. Lękano się także długo o Panowa, ale ten przyszedł nareszcie do siebie, wtedy wygnańcy, odzyskawszy siły i trochę zimnej krwi, zaczęli radzić nad przyczyną nadzwyczajnego zdarzenia i przedewszystkiem zabrali się do obejrzenia cukru. Beniowski zawinął dwa kawałki w rybę, dał jeden psu, a drugi kotowi, oba te zwie-

rzęta zdechły zaraz w okropnych konwulsyach, przekonano się więc, że cukier, przysłany przez kupców, był zatruty.

Chcąc jawnie dowieść im zbrodni postanowili wygnańcy zachować ścisłą tajemnicę. Pochowano otrutego biedaka, przeniesiono cichaczem chorego Panowa do jego mieszkania, a dopiero nazajutrz, to jest 2-go stycznia udał się Beniowski do gubernatora i opowiedział mu całe zdarzenie, przypisując je nienawiści, jaką kupiec Kazarynów żywił do niego za mniemane buntowanie załogi.

Pan Niłow nie chciał dać wiary tak okrutnej zbrodni.

— Rozkaż więc, wielmożny panie, przywołać kupca — rzekł Beniowski — i poczęstuj go herbatą, uprzedziwszy wprzód, że w upominku ode mnie dostałeś cukier, przez kupców wygnańcom dostarczony.

Wahał się jeszcze p. Niłow, uległ jednak namowom żony, której trafiła do przekonania rada Beniowskiego, przywołał więc gubernator do siebie atamana z kanclerzem, poczem wezwano kupca Kazarynowa i dwóch jeszcze świadków, Beniowskiego zaś ukryto w przyległym pokoju. Ataman i kanclerz

byli zdania, iż kupiec mścił się na naszym bohaterze za przegrane w szachy pieniądze, że zaś nadszedł właśnie, zaczęli obaj uprzejmą z nim rozmowę, proponując gościowi herbatę, na co on przystał chętnie.

Tymczasem zastawiono stolik i gubernator, spostrzegłszy stojącą na nim głowę cukru.

— Patrz — powiedział, zwracając się do kupca — jakie wygnańcy tutejsi mają dobre serce. Przysłali mi wczoraj w prezencie głowę cukru, którą od was otrzymali, dzisiaj razem ją napoczniemy.

Kazarynow zbladł na te słowa, a gubernator, zauważywszy jego zmieszanie, zapytał uprzejmie, czy czasem nie czuje się słaby, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, namawiał nieszczęśliwego do wypicia kilku dobrze osłodzonych szklanek herbaty.

Wypraszał się kupiec, jak mógł od zdradzieckiego traktamentu, widząc jednak, że zbrodnia jego została odkryta, nie zapierał się jej wcale, padł do nóg gubernatorowi i sam wyznał, że zatruł cukier, żeby uwolnić Kamczatkę od łotra Beniowskiego, który, jak on to wie napewno z doniesienia niejakiego Piatsinina, ma zamiar uzbroić wszystkich

wygnańców, opanować z nimi okręt i uciec do Chin lub Japonii.

Zadrżał Beniowski w swej kryjówce widząc, że został nikczemnie zdradzony. Na szczęście gubernator, doprowadzony do wściekłości zuchwalstwem kupca, nie wiele zwracał uwagi na jego słowa, rozkazał owszem odprowadzić natychmiast do więzienia, a kanclerzowi dał polecenie skonfiskowania jego majątku. Mógł więc Beniowski bezpiecznie udać się do domu pod pozorem zjedzenia obiadu, ale jakże w rzeczywistości dalekiemi były jego myśli od spożywania posiłku!

Wprawdzie, z rozkazu gubernatora, zakuwano w tej chwili Kazarynowa w kajdany, niemniej należało ukarać Piatsinina, inaczej mógł on nowe na spiskowców ściągnąć niebezpieczeństwo. Zwołał więc Beniowski natychmiast radę i doniósłszy zgromadzeniu o zdradzie, zażądał kary na obecnego tam winowajcę. Zebrani zadrżeli z oburzenia i jednogłośnie potępili Piatsinina, zostawiając mu tylko trzy godziny czasu dla przygotowania się na śmierć, poczem wyprowadzony o kilka wiorst za wieś został na rozkaz Beniowskiego rozstrzelany.

Śmierć zdrajcy nie zażegnała jednak niebezpieczeństwa, bo gubernator zarówno jak ataman i kanclerz, ochłonąwszy z pasyi przypomnieli sobie oskarżenie Kazarynowa, kazali więc szukać Piatsinina, którego jednak nie odnaleziono. Przypadek zdarzył, że znalazł się między kozakami żołnierz tego samego nazwiska, schwytano go, przyprowadzono do kanclerza i poddano ścisłemu badaniu. Biedny człowiek oświadczył pod przysięgą, że nie znał ani nie widział nigdy Beniowskiego. Osądził więc kanclerz, że zbyteczne jest konfrontowanie ich z sobą i napisał w wyroku na kupca, jako wszystkie jego zarzuty, czynione hrabiemu są wierutnem kłamstwem.

Takim to sposobem, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a także dzięki energii Beniowskiego, uniknęli wygnańcy niebezpieczeństwa, które strącić ich mogło na dno niedoli i pogrzebać na zawsze projekty ucieczki, miało zaś jeszcze ten dobry skutek, że pobudziło spiskowców do szybszego działania. Należało się istotnie śpieszyć, gdyż wcześniej czy później mogli paść ofiarą nowej zdrady. Zwołał więc Beniowski wszystkich, należących do związku towarzyszy i po wspólnej naradzie

postanowiono, dla zapobieżenia podejrzeniom, przesiedlić większą część wygnańców dalej na południe, aby z daleka od władz, oddać się mogli swobodnie przygotowaniom do ucieczki. Beniowski miał wyrobić dla nich od gubernarora urlop pod pozorem polowania na obfitą w tamtych stronach zwierzynę, a na wiosnę, jak tylko lody puszczą, złączą się znów wszyscy towarzysze, aby wspólnemi siłami opanować pierwszy, do wypłynięcia gotowy okręt. Krustjew ze Stefanowem mieli upatrzyć odpowiedni statek i zjednać sobie jego załogę, Beniowski wziął na siebie ułagodzenie podejrzeń, jakie, bądź co bądź, powstać mogły w umyśle gubernatora i jego pomocników.

Doskonała ku temu nadarzała się sposobność. Pan Niłow wybierał się z całą rodzirą w podróż po Kamczatce i okazał gotowość zabrania z sobą Beniowskiego. Okrzyknęli się przeciw temu ataman z kanclerzem, wymawiając Beniowskiemu, że odstępuje ich partyę szachów, ale ponieważ wycieczka tydzień tylko trwać miała, postanowili zabrać z sobą szachownicę i towarzyszyć gubernatorowi.

— Powiedzcie szczerze, ile też zysku

przyniosła wam spółka z Beniowskim, bo wiem, że on gra szczęśliwie — zapytał p. Niłow.

Po obliczeniu naprędce, suma zarobiona w szachy okazała się bardzo znaczną. Kanclerz, znając gubernatora, zadrżał z obawy, czy zysk tak wielki nie obudzi jego chciwości i nie ściągnie gniewu wszechwładcy, oświadcza więc natychmiast, że pragnieniem jego, jak i atamana było ofiarować w upominku rodzinie gubernatora dziesiątą część całej wygranej. Rozrzewniony pan Niłow woła swoje córki i donosi im o hojnym podarunku, a przypisując Beniowskiemu całą tego zasługę, oświadcza, że gotów jest udarować go wolnością, a nawet oddać mu Afanazyę za żonę.

— Żądam w tem i waszej pomocy — mówił, zwracając się do kanclerza i atamana — pragnę bowiem ustalić los Beniowskiego, a w tym celu zastosować sławny ukaz imperatora Piotra Wielkiego, który wyraźnie mieć chce, iżby każdy wygnaniec, odkrywający spisek przeciw rządowi lub jego namiestnikom, odzyskał wolność. Beniowski, którego tu przed sobą widzicie, ma prawo do tego dobrodziejstwa, odkrył nam bowiem spisek uknuty przez kupca na otrucie nas

wszystkich. Wiecie dobrze, że gdyby nie ostrzeżenie Beniowskiego, ani wy, ani ja nie zostalibyśmy przy życiu. Jestem więc pewien, iż mi nie odmówicie waszych podpisów na deklaracyi, którą w sprawie zasług Beniowskiego złożę senatowi, aczkolwiek formalność ta zda mi się być zbyteczną, gdyż ukaz imperatora Piotra mówi wyraźnie, że każdy gubernator, ataman lub kanclerz, za zgodą swoich doradców, ma w podobnym razie prawo wygnańca udarować wolnością.

Niespodziewane to oświadczenie gubernatora zdziwiło zapewne najwięcej samego Beniowskiego. Nie rozumiał wcale jakim sposobem został nagle uznany za wybawiciela tylu dostojnych osób. Wiemy dobrze, że nikt na ich życie nie godził, kupiec nie myślał truć żadnego z dygnitarzy rządowych, a opisana tu sprawa jest tylko dowodem samowoli gubernatora.

Położenie Beniowskiego nie było wcale zazdrości godne; mógłże odtrącić ofiarowywaną sobie rękę młodej panienki, córki człowieka, od którego zależało życie i los jego i jego towarzyszy niedoli! Przytem Afanazya okazywała swemu nauczycielowi szczere przywiązanie. Wy-

różniał się Beniowski tylu przymiotami umysłu, był tak dalece wyższy towarzyską ogładą od znanej jej młodzieży, że wykwintna natura dziewczęcia musiała upodobać go sobie, a do tych uczuć łączyła się i szczera litość nad losem wygnańca, oddalonego od rodzinnego kraju.

A jednak Beniowski, chociaż wdzięczny za okazywaną sympatyę, nie mógł wiązać losu swego z Afanazyą. Życie jego, jak i każdego ze spiskowców, należało wyłącznie do towarzyszy spisku, im przedewszystkiem oddać się był powinien. Dziś używał względnej swobody, jutro, gdyby rząd odkrył sprzysiężenie, czekałaby go śmierć lub walka o wolność, walka, w której dobyćby musiał oręża przeciw ojcu dziewczęcia.

Biedny bohater tych, tak sprzecznych zdarzeń stał więc niemy wobec rodziny p. Niłowa i uczuł się szczęśliwym, kiedy udało mu się nareszcie wyrwać z domu gubernatora pod pozorem przygotowań do zamierzonej podróży. Pilno mu było opowiedzieć towarzyszom, jak niespodziewanie zaskoczony został zapowiedzią wolności i w jak kłopotliwem położeniu stawia go propozycya Niłowa, który upatrzył sobie w nim zięcia.

Zaledwie jednak stanął na progu mieszkania Krustjewa, spostrzegł odrazu, że zdarzyło się tu coś niespodziewanego a groźnego. Zastał zebraną całą Radę, na środku izby stał stół czarnem nakryty suknem i kubek z przygotowaną już trucizną. Jeszcze nie przestąpił progu, kiedy dwóch zbrojnych ludzi zamknęło mu odwrót, pilnując drzwi.

Daremnie zdumiony Beniowski rozglądał się po towarzyszach, szukając w ich twarzach zaprzeczenia strasznej myśli, jaka uderzyła go nagle. Nikt nie przerwał głuchego milczenia, nie wyciągnął ręki do wchodzącego.

Dopiero Panow, niepohamowany w wybuchach uczuć zarówno przyjaźni, jak nienawiści, zerwał się pierwszy z miejsca.

— Zdrajco — zawołał do Beniowskiego — nie tajne nam są twoje postępki, wiemy, że gubernator na mocy ukazu imperatora Piotra nagrodził cię wolnością, że za cenę odkrycia spisku uzyskałeś prawo powrotu do Europy. Na mocy praw, jakie sam wydałeś i zaprzysiągłeś, jesteś skazany na śmierć, nie odeprzesz uczynionych ci zarzutów, zatem...

Chciał mówić dalej ale przerwał mu Beniowski.

— Zatem odbierzcie mi życie, czci jednak odebrać nie jest w waszej mocy. Gubernator obdarzył mnie wolnością, gdyż spodobało mu się uznać Kazarynowa za złoczyńcę, czyhającego na życie całej jego rodziny i wszystkich urzędników, a mnie uznać za zbawcę i przeznaczyć mi rękę swej córki. Oto cała prawda, osądźcie sami, jak dalece niesprawiedliwem i krzywdzącem było wasze posądzenie. W tej sprawie właśnie przyszedłem naradzić się z wami.

Rumieniec wstydu, ale i radości okrył twarze wygnańców. Łzami zalany Panow pierwszy skoczył do Beniowskiego i, ująwszy go za szyję, prosił o przebaczenie winy, przyznając, że on to był autorem całej tej okropnej sceny.

Za całą odpowiedź uściskał Beniowski wspaniałomyślnie żarliwego kolegę, który zgrzeszył wprawdzie ciężko przeciw niemu, ale zgrzeszył powodowany żarliwością o dobro powszechne, należało mu się więc przebaczenie, chociażby ze względu na nieustanne podniecenie, w jakie wprowadzała wszystkich spiskowców ciągła obawa zdrady i prze-

widywanie niebezpieczeństwa, mogącego stąd wyniknąć.

Rozmawiano potem długo o projektowanem małżeństwie Beniowskiego. Niektórzy z wygnańców namawiali gorliwie aby dla powszechnego dobra, skłonił się natychmiast do życzeń gubernatora i poślubił Afanazyę.

– Małżeństwo takie, jako przymuszone, nie będzie miało znaczenia w Europie, a odmawiając rękę panny, zniweczysz cały twój wpływ na rodzinę p. Niłowa i pozbawisz nas tyle pożądanych jego względów — mówił jeden z najgorliwszych spiskowców, ale uwagi te nie przekonały Beniowskiego.

Oświadczył zatem towarzyszom, że dbały o swój honor, nie może zaślubić panienki, knując spisek przeciw jej ojcu, że więc jedynie, dla nie zrażenia sobie pana Niłowa, postara się odwlec projekt małżeństwa do maja. W duszy zaś obiecywał sobie wynaleźć dla Afanazyi innego męża, któryby ją istotnie szczęśliwą uczynił i skarżył się na los, który użył go za narzędzie udręczenia dla dobrego i prostego dziewczęcia.

Dzień następny naznaczony był przez p. Niłowa na uroczyste ogłoszenie aktu uwalniającego Beniowskiego. To też wie-

czór po pamiętnem zajściu ze spiskowcami zeszedł naszemu bohaterowi na przygotowaniach jak najokazalszego wystąpienia w kancelaryi gubernatora oraz na oddanie dziękczynnych wizyt atamanowi i kanclerzowi za ich łaskawe przyczynienie się do jego ułaskawienia. Obaj ci dygnitarze bardzo uprzejmie przyjęli Beniowskiego. Kanclerz udarował go pięknie złoconemi saniami z wielorybiej ości i czterema białemi psami do zaprzęgu, ataman zaś wręczył mu bobrową delię, suto obłożoną czarnemi lisami i pokrytą szafirowym aksamitem.

Dnia 8 stycznia o świcie izba, którą Beniowski zajmował w domu Krustjewa, zapełniła się wygnańcami; towarzyszyli koledze aż do kanclerza i zostali pomieszczeni w osobnym pokoju, bohatera zaś naszego wprowadzono uroczyście do sali narad. Siedział tam gubernator, jako prezydujący na pierwszem miejscu, otoczony osiemnast : asesorami, w których liczbie znajdowali się także ataman i kanclerz. Ceremonia zaczęła się od długiej mowy gubernatora, w której usiłował dowieść, jakiem szczęściem jest mieć do czynienia z rządem i urzędnikami sprawiedliwymi i światłymi, co się odnosiło do zasiada-

jącego w sali zgromadzenia. Rozwodził się potem obszernie p. Niłow nad łaskawoscią rządu rosyjskiego i nad dobrocią jego praw, skończył zaś pochwałami dla cesarzowej Katarzyny, wynosił pod niebiosy przymioty jej i cnoty.

Poczem rozkazał gubernator sekretarzowi odczytać akt wyzwolenia Beniowskiego, akt ten brzmiał jak następuje:

„Powodowany mojem niezmiernem do sprawiedliwości przywiązaniem, dojrzale i z rozwagą, uważając godne i chwalebne sprawy Maurycego Samuelowicza, wygnańca, ogłaszam go wolnym, a to stosownie do myśli prawa, wyłuszczonego w 5 artykule przepisów, tyczących się wygnańców. Maurycy Samuelowicz Beniowski odkrył spisek uknuty przez kupca Kazarynowa, na zadanie śmierci gubernatorowi i przedniejszym urzędnikom gubernialnym, a to zapewne w celu zbrodniczego opanowania tej prowincyi i wyrwania jej z pod Władzy Najwyższej; nadto zważywszy, iż wspomniany Maurycy Samuelowicz, dla dowiedzenia sromotnego zamiaru przestępcy, naraził nietylko życie swoich towarzyszy, ale i swoje własne, doświadczeniem mocy trucizny na własnej swej osobie, a tym sposobem z niebez-

pieczeństwem dni swoich i życia swoich przyjaciół, przekonał dostatecznie o występku w wyżej wyrażonym, co świeżo potwierdził sam Kazarynow, dobrowolnie wyznając swą zbrodnię, zatem w nagrodę tej usługi wyrokiem jest moim, stosownie do ukazu w Bogu spoczywającego imperatora Piotra, iżby wspomniany Maurycy Samuelowicz Beniowski uznany był wolnym od kary wygnania, jakoż niniejszym aktem wolnym jest deklarowany".

Po przeczytaniu aktu wyzwolenia (opartego, jak widzimy na fałszywych danych, bo kupiec Kazarynow nie myślał nigdy truć gubernatora, o czem ten ostatni najzupełniej był przeświadczony), prezes i wszyscy członkowie rady uściskali kolejno Beniowskiego. Sekretarz wraz z 6 żołnierzami i doboszem poszedł tymczasem opublikować po całym mieście wyzwolenie naszego bohatera, który, otrzymawszy z kolei głos, oświadczył swą wdzięczność gubernatorowi i zaręczył, że aby mu dano na to pozwolenie, obowiązuje się założyć w południowej Kamczatce pastwiska, zaprowadzić uprawę roli, słowem podnieść dobrobyt prowincyi przez chów bydła i uprawę zboża.

Wniosek Beniowskiego został przyjęty powszechnymi oklaskami, poczem całe towarzystwo zasiadło do obiadu. Brało w nim udział i wielu najznakomitszych mieszkańców miasta, którzy wyrazili chęć obdarowania hrabiego funduszem, wystarczającym na przyzwoite zagospodarowanie, a to dla zobowiązania sobie gubernatora, który tym sposobem mógł być spokojnym o los córki. Całe towarzystwo pochwaliło zamiar wyposażenia młodej pary, Afanazya promieniała radością, jeden tylko Beniowski próżno starał się ukryć swój smutek. Sprawiała mu go myśl, że, zmuszony okolicznościami, uwodzi młodą i dobrą dziewczyną obietnicą, której nie mógł dotrzymać. Smutne to było istotnie.

Rozważając cały bieg wypadków, tak dziwnie plotących się w życiu naszego bohatera, przychodzi powiedzieć razem z niemieckim poetą: „w tem właśnie leży przekleństwo złego czynu, że rodzi on wciąż nowe złe postępki". Złym czynem było porwanie Beniowskiego i prześladowanie go za święte uczucie miłości ojczyzny, a krzywda szlachetnego konfederata barskiego stała się, jak zobaczymy później, nieszczęściem nietyl-

ko biednej Afanazyi ale całej jej rodziny.

ROZDZIAŁ III.

Szlachetne postępowanie Beniowskiego zjednało mu bezgraniczne przywiązanie i wiarę wszystkich wygnańców. Widzieli, że mógł korzystać z uzyskanej wolności, a tymczasem z tem samem co dawniej oddaniem poświęcał każdą wolną chwilę przygotowaniom do ucieczki. Postanowili wywdzięczyć mu się za to i na zebraniu Rady oświadczyli, że zwalniają Beniowskiego z przysięgi, upoważniając do zaniechania wszelkich dalszych kroków, któreby miały na celu ocalenie towarzyszy z niewoli, a narazić mogły jego osobę na niebezpieczeństwo.

Rozczulony Beniowski rzadkim dowodem przyjaźni, zaręczył kolegom, że było i jest stałym jego zamiarem skruszyć więzy niewoli, w dowód czego zaproponował natychmiastowe odnowienie związkowej przysięgi, co też uczyniono na stwierdzenie ogólnego poświęcenia się sprawie wolności, poczem spi-

skowcy, pokrzepieni na duchu, wrócili do dawnych zatrudnień, Beniowski zaś poszedł wręczyć kanclerzowi wykonane przez siebie mapy Kamczackich wybrzeży.

Uznano je za doskonałe i postanowiono przesłać do admiralicyi w Petersburgu, nagradzając zaś pracę geografa, pozwolono Beniowskiemu na założenie osady rolniczej w miejscowości, zwanej Łopatka, przyrzekając wszelką pomoc rządową w tem przedsiewzięciu i obiecując wolność wygnańcom, którzy osiądą na roli razem z nim.

Tak to zachwyt dla Beniowskiego wpływał szczęśliwie na biegłość urzędników w tłomaczeniu ukazów; teraz prawo według nich wyraźnie mieć chciało, aby każdy wygnaniec, który odda prawdziwe państwu usługi, obdarzony był wolnością. *Prawdziwe* jest wyrażeniem nie ścisłem, łatwo zastosować je według swego widzimisię w wielu wątpliwych razach i na tej zasadzie mógł szczęśliwy Beniowski obwieścić towarzyszom decyzyę gubernatora. Oczywiście wszyscy wygnańcy postanowili przenieść się do Łopatki, to też nazajutrz z rozkazu gubernatora ogłoszono dla nich amnestyę.

Po tem zdarzeniu uwierzyli mieszkańcy Petropawłowska w wszechmocny wpływ Beniowskiego i choć może zazdrościli mu po cichu, okazywali naszemu bohaterowi bezgraniczne uwielbienie, a rodzina uwięzionego kupca w nim jednym pokładała nadzieję uratowania nieszczęśliwego. I nie zawiodła się na szlachetności uczuć Beniowskiego; przebaczył on dawno Kazarynowi jego zatruty cukier i myślał szczerze, jakby ocalić więźnia, skazanego wyrokiem gubernatora na ciężkie roboty w kopalniach.

Sprawa nie była jednak łatwą, bo skonfiskowany majątek kupca wynosił przeszło 60.000 rb. Wrócić mu wolność, uznać niewinnym, znaczyło zwrócić i pieniądze, a dokazać takiej sztuki nie podjąłby się i Beniowski, bo ruble kupca utonęły już po większej części w kieszeniach dygnitarzy kamczackich.

Żona Kazarynowa znalazła jednak sposób ratowania, padła Beniowskiemu do nóg i zobowiązała się nie upominać straconych pieniądzy, byle gubernator mianował Kazarynowa poborcą daniny na wyspach Kurylskich.

Zmarszczył się pan Niłow na wspomnienie kupca i prośbę Beniowskiego

uwolnienia więźnia, ale rozpogodził czoło, jak tylko dowiedział się, że nie będzie musiał oddać skonfiskowanych pieniędzy. Po naradzie z kanclerzem, wydał rozkaz natychmiastowego wysłania Kazarynowa na lat dwa na wyspy Kurylskie, upoważniając, aby odbierał tam podatki od miejscowej ludności.

— Wystarczy mu aż nadto czasu, żeby przez te dwa lata nagrodzić sobie stracony tutaj majątek — powiedział kanclerz; skąd łatwo wnieść, do jakich zdzierstw nad biednymi mieszkańcami upoważniała władza urzędników i jaką nędzną komedyę odgrywali między sobą kamczaccy dygnitarze.

Ale sprawa uwolnienia kupca przyczyniła jeszcze sławy Beniowskiemu. Chwalono jego wspaniałomyślność w darowaniu winy i gubernator polecił, aby on sam obwieścił więźniowi radosną nowinę. Udał się więc nasz bohater do lochu, w którym kupiec odsiadywał karę, i wzruszony jego losem powiedział mu, że jest wolny, pod warunkiem zrzeczenia się majątku i wyjazdu na wyspy, gdzie mianowany zostanie egzekutorem danin. Kazarynow na tę wieść mało nie oszalał z radości.

— Ależ rok pobytu na Kurylach wy-

starczy mi dla odzyskania straconego majątku! — zawołał i z całą naiwnością przyznał się, że oszukiwać będzie wyspiarzy, nakładając na nich samowolnie podatki. Potem padł do nóg Beniowskiemu, ten zaś wprost z więzienia pośpieszył do żony Kazarynowa, żeby uspokoić ją o los męża, czem wywołał nowe objawy gorącej wdzięczności od całej rodziny kupca.

Szczęśliwi zmianą losu, zebrali się wygnańcy 10 stycznia na naradę, w jaki sposób względną swą swobodę wyzyskać mogą i po długich rozprawach postanowiono czynić pozorne przygotowania do przesiedlenia się na Łopatkę, aby utwierdzić władzę w mniemaniu, że mają istotnie stały zamiar założenia tam osady rolniczej. Gdy zaś nadejdzie marzec i żegluga stanie się możliwą, zażąda Beniowski od gubernatora okrętu pod pozorem przewiezienia sprzętów, narzędzi i zapasów żywności na Łopatkę, a raz uzyskawszy statek, użyją wygnańcy jego zbawczych żagli dla opuszczenia na zawsze Kamczatki. Postawiono na tej samej sesyi dwa jeszcze wnioski, pierwszy zaopatrzenia się w żywność tak, aby ta wystarczyć mogła na trzy miesiące żeglugi, drugi—wyprawienia uczty

dla gubernatora, dygnitarzy i przedniejszych mieszkańców miasta w dowód wdzięczności za okazaną sobie względność. Ten ostatni projekt podał Beniowski, przyjęto go zaś z tym większym zapałem, że właśnie odebrali wygnańcy nowy dowód przychylności od miejscowych kupców, którzy dla powstać mającej osady przysłali zapas narzędzi, towarów, a nawet gotówki, co wszystko stanowiło bardzo cenny dar.

Bal odbyć się miał w ratuszu, Beniowski łatwo otrzymał na to pozwolenie p. Niłowa, a żona jego oświadczyła, że gospodynią urządzanej przez wygnańców uroczystości będzie Afanazya, godność ta bowiem słusznie się należy narzeczonej głównego organizatora uroczystości.

— Szkoda tylko, że hrabia stokroć więcej czasu spędza ze swymi towarzyszami, niż ze mną — poskarżyła się przy tej sposobności biedna Afanazya, bo odczuwała brak przywiązania w mniemanym narzeczonym i dręczyła się tem skrycie.

Postępowanie Beniowskiego względem panny martwiło i panią Niłow, jeden tylko gubernator nie miał nic do zarzucenia przyszłemu zięciowi, obdarzał

go owszem coraz większem zaufaniem. Siedzieli właśnie przy partyi szachów, rozczulony wygraną wielkorządca zwierzył się z tego, że zyskał na sprawie Kazarynowa 18.000 rubli i że ma nadzieję otrzymania zarządu wiele korzystniejszej niż Kamczatka guberni Ochockiej. Potrzebował jednak dać dowód niezaprzeczonych zdolności przez złożenie władzy uczonego opisu Kamczatki, którą to pracę wyda pod swojem imieniem, wykonanie jej polecając Beniowskiemu, był bowiem pewny, że mu tej usługi nie odmówi. Miał też odtąd hrabia spędzać kilka godzin dziennie w kancelaryi gubernatora, czytać raporty i listy, wyciągać z nich treść, aby, jak mówił p. Niłow, wprawić się do roboty ważnej dla człowieka, który niechybnie w krótkim czasie korzystną w rządzie dostanie posadę.

Jeszcze gubernator nie skończył zwierzeń, kiedy z kolei zaczął ataman robić swoje propozycje. Pragnął, aby Beniowski poparł go u Niłowa w sprawie wyjazdu do Petersburga dla wręczenia imperatorowej tego memoryału. Nieograniczony w swojej ambicyi, projektował on założenie osady na wyspach Aleutskich i otrzymanie tytułu gubernatora tych wysp.

Bawiły Beniowskiego złudzenia atamana, bo znał nieuctwo przyszłego rządcy prowincji. Chcąc jednak zachować wygnańcom jego względy, obiecał nietylko wstawić się do gubernatora, ale wygotować raport władz kamczatskich dla poparcia memoryału. Wielkorządca Aleutów projektował, co nic nie kosztuje, przez wdzięczność wyrobić w Petersburgu gubernatorstwo Kamczatki dla Beniowskiego, licząc na to, że jego teść gubernię Ochocką otrzyma.

— Zapominasz, w. panie, o kanclerzu — zawołał, tłumiąc wesołość, Beniowski — oddajmy kanclerzowi Kamczatkę, dla mnie dość będzie namiestnictwo na Aleutach, gdzie mogę być bardzo użytecznym przy zawojowaniu Kalifornii.

Beniowski wiedział, że projekt zdobycia Kalifornii tkwił oddawna w szalonej wyobraźni kozaka, mówił zaś z przeświadczeniem i powagą, to też ataman dał się wziąść na wędkę pochlebstwa i coraz ambitniejsze roił zamiary. Że zaś nadszedł właśnie gubernator z kanclerzem, przedstawił im swoje plany, Niłow ujęty nadzieją pozyskania wielkorządztwa Ochocka, a kanclerz ułakomiony Kamczatką, przystali chętnie na

propozycyę ataman zawarli między sobą ścisły sojusz i polecili Beniowskiemu ułożenie na piśmie całego, tak mądrze obmyślanego planu.

Znał on dobrze jego niedorzeczność i żartował w duchu z zarozumiałości zdobywców Kalifornii, niemniej postanowił podtrzymywać ich złudzenia i wygotowywać w danym przedmiocie coraz nowe referaty, stawał się bowiem tym sposobem nieodzownie potrzebny trzem przyszłym dygnitarzom, a pozyskany na nich wpływ dawał mu możność doprowadzenia do skutku ucieczki swojej i swoich towarzyszy.

Należało tymczasem porozumieć się z nimi w kwestyi zamierzonego balu, o którym Beniowski zapomniał prawie w ostatnich dniach, tak był zajęty nieustannemi sesyami z gubernatorem. Szczęściem zastąpili go wygnańcy w staraniach około uroczystości, a dumni ze swego wodza, przygotowali mu niespodziankę, ofiarowywując przepyszną szatę z różowego atłasu, suto haftowaną złotem i takież buty, obramowane kosztownym futrem. Miał on w tym stroju wystąpić na balu obok Afanazyi, że zaś zaraz nazajutrz wyruszył z rodziną gubernatora w podróż po Kamczatce,

uradzono, aby dla bezpieczeństwa zabrał, niby do swej posługi, dwóch oddanych sobie towarzyszy. Dziesięciu innych wygnańców miało nająć się za woźniców do orszaku gubernatora, aby w razie zdrady lub przypadkowego odkrycia spisku było komu zasłonić wodza od natychmiastowego niebezpieczeństwa. Bal udał się świetnie, poprzedziła go uczta, do której zasiadło 67 osób. Rozpoczęta o drugiej po południu, przerwana została dopiero o piątej przez ochoczą młodzież. Z niecierpliwością, właściwą wiekowi, oczekiwała ona tańców, które trwały do trzeciej po północy wśród licznych toastów, wychylanych przy huku armat, których udzielił Beniowskiemu ataman.

Hrabia był prawdziwym bohaterem balu, podziwiany przez wszystkich, najszczerzej zaś przez biedną Afanazyę, budził zazdrość w wielu młodych oficerach i synach kupców. Chętnie byliby się znaleźli na jego miejscu obok ślicznej panny. On zaś myślał tymczasem tylko, jakimby sposobem wyrwać się z dręczącego położenia, a czekała go jeszcze wspólna z rodziną gubernatora podróż, nowa więc konieczność udawania uczuć i zwodzenia szlachetnego dziew-

częcia, dla którego szczery czuł szacunek.

Jakoż 17 stycznia wyruszono o 10-ej godz. rano z Petropawłowska do pierwszej większej osady. Taju czyli naczelnik wsi, uprzedzony o przyjeździe gubernatora, obdarował go kosztownemi futrami i uczęstował podróżnych kawiorem. Takiż sam podarunek spotkał p. Niłowa na noclegu w Baniowce i danina ta powtarzała się regularnie każdego dnia, było to też jedynem urozmaiceniem dość nudnej, a bardzo męczącej dla wielkich śniegów podróży.

Dłuższy odpoczynek wypadł rodzinie p. Niłowa w miejscowości zwanej Tahałka, kanclerz i ataman dogonili tam konwój gubernatora. Wpłynęło to na ożywienie towarzystwa, a miejscowy Taju, jeden z najznakomitszych w całej prowincyi, przyjmował gości z prawdziwym, jak na tamtejsze strony przepychem. Zato jedynemi wrażeniami dalszej podróży były znów tylko podarki, składane gubernatorowi od jego podwładnych. Po obliczeniu przez Beniowskiego wyniosły te daniny około 7.000 rb., okupywano niemi względy wszechwładnego rządcy prowincyi.

Dopiero w powrotnej drodze spotkała

naszego bohatera niespodzianka, która okropne mogła mieć następstwa dla wszystkich wygnańców. Nocowano właśnie w miejscowości odległej o dwa dni podróży od Petropawłowska. Beniowski wyszedł z mieszkania, bo chciał wysłać naprzód jednego z towarzyszy, żeby uwiadomić Krustjewa o rychłym swoim powrocie. Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, spotyka go tubylec kamczadal i prosi o zaprowadzenie do gubernatora dla oddania ważnego listu od wygnańca, który nagle zachorował. Beniowski, tknięty przeczuciem, otwiera list i omal nie pada z przerażenia, wyczytał w nim bowiem opis całego spisku, podany tak dokładnie, że nawet w życzliwym umyśle gubernatora byłby musiał obudzić największe wątpliwości.

Zdradził wygnańców niejaki Leontjew, należący do związku, a dla odwrócenia od siebie podejrzeń, umyślnie nie w Petropawłowsku, tylko na odludnym postoju denuncyacyę swoją chciał podać. Szczęściem dostał nagłych boleści i, nie mogąc ruszyć się z posłania, przez kamczadala list doręczył.

Zrządzeniem Opatrzności list ten, jak wiemy, przejął Beniowski. Wysłał on natychmiast dwóch swoich towarzyszy,

żeby wykonali wyrok śmierci nad zdrajcą, a chcąc doczekać się ich powrotu, namówił gubernatora do zwiedzenia pobliskiego wulkanu w Krasnej.

Wyprawa ta jednak omal nie stała się dla Beniowskiego przyczyną okropnej śmierci. Odurzony buchającymi z krateru wyziewami stracił zmysły i upadł w żar, który mu spiekł całą twarz, szczęściem dwaj krajowcy kamczadale w mgnieniu oka wyciągnęli biedaka z zarzewia i nasmarowali spaleniznę tłuszczem wielorybim. Długo jednak nie mógł Beniowski odzyskać przytomności, wróciła mu ona dopiero w mieszkaniu, gdzie go odniesiono i gdzie zastał już pomyślny raport od ludzi, wysłanych do Leontjewa. Krewny, któremu zdrajca powierzył tajemnicę posłanego listu, należał także do spisku i chcąc zapobiedz nieszczęściu, podał mu truciznę w kieliszku wódki.

Zażegnane więc zostało na razie niebezpieczeństwo, grożące spisowcom, ale możliwość odkrycia sprzysiężenia dodała im jeszcze bodźca do tem śpieszniejszej ucieczki z Kamczatki. Przekonali się oni właśnie, że całe życie w niewoli tu zejść może, poznał bowiem Beniowski w powrotnej drodze wygnańca szwe-

da, który dziewięćdziesiąt lat liczył, a z tych czterdzieści dziewięć na wygnaniu spędził.

Przykład takiej niedoli pobudził młodego wodza do szybkiego działania, zaraz też po przybyciu do Petropawłowska zwołał Radę związkową, zdał na niej sprawę ze zdrady i śmierci Leontjewa i z przebiegu swej podróży, a potem zażądał od Krustjewa raportu, jak dalece postąpiły przygotowania do ucieczki.

Raport zawierał pocieszające szczegóły, Krustjew oświadczył bowiem, że miano już gotowych sto puszek z ładunkami, a każda zamykała w sobie 50 ostrych nabojów, do drugich zaś 50 przygotowane były wszystkie materjały. Kupił także 60 dużych nożów, które za szable służyć mogły, każdy bowiem z nich miał 18 cali długości, a 3 szerokości, w magazynie znajdowało się 16 par pistoletów i 36 siekier, a sto dzid wykończyć miano za kilka dni.

Liczba spiskowców wynosiła wówczas pięćdziesiąt dziewięć osób, każdy zaś ze związkowych był zdecydowany do ostatniej kropli krwi bronić wspólnej sprawy. Wobec zapału, jaki ożywiał wszystkich wygnańców, jak również wobec wielkiej ilości przygotowanych za-

pasów, postanowił Beniowski nie zwlekać dłużej, tylko wystosować do gubernatora prośbę o wyznaczenie okrętu dla przewiezienia wychodźców do Łopatki. Wiemy dobrze, jaki z tego okrętu chciał zrobić użytek.

Wyczerpano wszystkie kwestye, dotyczące ucieczki i zgromadzenie miało się już ku końcowi, kiedy niespodziewanie zabrał głos Panow, oświadczając z widoczną boleścią, że uważa krewnego swego Stefanowa za niegodnego zaufania.

— Nie wolno mi — mówił — taić dłużej przed wami poważnych przyczyn, dla których podejrzewam krewnego o złe zamiary, przebaczcie mi, jeżelim dotąd tego nie uczynił, chciałem oszczędzić honor i życie młodego chłopca, lecz poprzysięgam, jeśli Stefanow nie zmieni swego postępowania, jeżeli nie stanie się bezwzględnie posłusznym rozkazom wodza, wtedy dołożę wszelkich starań, aby odkryć występne jego zamiary i pierwszy ostrzegę o nich zgromadzenie.

Zdumiał Beniowski, zdumieli wszyscy radni na to oświadczenie Panowa. Stefanow stał z początku ponury i milczący, ale nagle wybuchnął szalonym

gniewem. Świadczył się swym krewnym, jako nigdy nie miał zamiaru zdradzać sprawy związku, a nienawidzi tylko Beniowskiego i przysięga mu zemstę, uważając za niegodnego zaufania, jakiem obdarzają go wygnańcy.

— Uwiedzeni jesteście — krzyczał Stefanow — ilu tu nas jest, wszyscy bylibyśmy zdolniejsi do wykonania lepiej od Maurycego trudnych obowiązków wodza. Kazał zabić Leontjewa, a wiecie jaka tego prawdziwa przyczyna? Oto chiał zagarnął jego majątek — wołał wzburzony gniewem młodzieniec, ale na taką obrazę honoru wodza, poskoczył ku niemu jeden ze sprzysiężonych i zmusił zuchwalca do odczytania listu Leontjewa, którego treść usprawiedliwiała w zupełności wyrok śmierci wydany na zdrajcę.

Nie uznał jednak swej winy Stefanow, owszem, zacięty w gniewie, powołał Beniowskiego na Sąd Boży. Zwyczaj Sądów Bożych, wprowadzony do Kamczatki przez kozaków, polega na tem, że przeciwnicy pojedynkują się wobec świadków i, że pokonany w walce uznany zostaje za winnego.

Beniowski przyjął nierozsądne wyzwanie i spotkanie nastąpiło zaraz na-

zajutrz 2-ga marca o godzinie 9 rano. Wszyscy związkowi udali się pod pozorem polowania do lasu, gdzie przybył też wkrótce Beniowski z Krustjewem i Stefanow z Panowem. Oddano przeciwnikom szpady, Stefanow ledwie swoją poczuł w ręku, rzucił się zapalczywie na Beniowskiego, ale ten doświadczony szermierz jednem cięciem złamał mu oręż i cofnął się potem dla pokazania, że nie chce korzystać z rozbrojenia przeciwnika. Omal jednak nie przypłacił życiem swej wspaniałomyślności, bo doprowadzony do szaleństwa Stefanow wyrwał z za pasa pistolet i wypalił, szczęściem jednak kula drasnęła tylko ramię wodza.

Wyczerpała się cierpliwość Beniowskiego na ten podstępny napad, chwycił szaleńca za ramiona, powalił go na ziemię, a potem oddał w ręce sekundantów, którzy obezwładnili Stefanowa i odwieźli do mieszkania. Złożono natychmiast Radę i oddano w ręce Beniowskiego nieograniczoną władzę nad wszystkimi wygnańcami, chcąc tym dowodem zaufania nagrodzić mu krzywdę, uczynioną przez porywczego młodzika.

Przyprowadzony przed oblicze wodza Stefanow nie miał wcale skruszonej mi-

ny i na pytanie Krustjewa, dlaczego czuje do Beniowskiego urazę, odpowiedział hardo:

— Od pierwszej chwili poznania naszego nie było w mej mocy darować Maurycemu przewagi, jaką nad nami osiągnął. Zazdrościłem mu szczęścia i szukałem tylko sposobności, aby go skrzywdzić. Zaufanie, jakie we mnie pokładał, dręczyło mnie, wyrzucałem sobie mściwe zamiary i zdawało mi się czasem, że nic już nie zdoła naruszyć przywiązania, które przymusem na sobie wymogłem dla niego, ale w tem nowa zawiść obudziła we mnie nieprzytłumioną nigdy złość. Ujrzałem i pokochałem córkę gubernatora, a właśnie w tej samej chwili dowiedziałem się o bliskiem jej z Beniowskim małżeństwie. Zaprzysiągłem mu więc zgubę, reszta już wam wiadoma. Lubo wódz darował mi wspaniałomyślnie życie, oświadczam, iż trwam w mojem przedsiewzięciu, z tej ręki musi on zginąć. Jeśli więc życie jego potrzebne wam i miłe, zaklinam was nie oszczędzajcie mojego.

Szczerość szaleńca wzruszyła Beniowskiego. Oświadczył, że nie ma najmniejszej do Stefanowa urazy, że niech on sam siebie obwinia za brak zaufania do

wodza, gdyby mu był powierzył swoje uczucia, nie splamiłby się zbrodnią, która nie przystoi uczciwemu młodzieńcowi, że bierze na świadków obecnych tu swoich towarzyszy, jako nie miał nigdy zamiaru poślubić p. Afanazyę, a tylko dla dobra związku utrzymuje przyjaźne stosunki z rodziną gubernatora.

Wyznanie wodza pobudziło Stefanowa do skruchy. Wołał o przebaczenie i zaklinał się, że życiem całem nagrodzi popełnioną krzywdę. Błagał Beniowskiego, aby, jeśli istotnie nie ma żenić się z Afanazyą, dopomógł mu do pozyskania ręki panny, na co otrzymał obietnicę i uszczęśliwiony nią, w najczulszych wyrazach objawiał swą wdzięczność. Podzielał ją i Panow, wzruszony dobrocią Beniowskiego dla siostrzeńca, a w tem niespodziewana okoliczność nastręczyła hrabiemu wyborną sposobność uszczęśliwienia szalonego chłopca.

Niewyczerpany w pomysłach Niłow dał znać Krustjewowi, że przybywa z całą rodziną w gościnę do domu, w którym bawi Beniowski. Wiadomość poruszyła kolonię wygnańczą, przygotowano na prędce zarówno izbę, jak i odpowiedni poczęstunek. Stefanow miał szczęście spędzić wieczór w towarzystwie

pięknej Afanazyi, a Beniowski, widząc wesołość chłopca i okazywaną sobie wdzięczność, z trudnością poznawał przeciwnika, który przed kilku godzinami chciał mu dwukrotnie odebrać życie.

Już to trzeba przyznać, że plotło się ono barwnie naszemu bohaterowi, wśród różnorodnych wrażeń, następujących jedne po drugich, wśród złudzeń nadziei odzyskania wolności z każdym cieplejszym dniem, to znów w rozterce duszy na myśl, że lada nieostrożność lub zła wola może zburzyć cały plan ucieczki i narazić związkowych na dożywotnie katusze więzienia. Jakoż omal nie popadli oni w nieszczęście, a to z następującej przyczyny:

Ukaz cara Piotra, obdarzający wolnością za zdradę, niejednemu już nikczemnikowi nasunął myśl wydobycia się z biedy kosztem towarzyszy, taki właśnie zamiar powzięli trzej wygnańcy, osiedli zdala od Petropawłowska, a którym, jak się zdaje, Leontjew zwierzył część tajemnicy spisku. Chcieli oni przyjechać do Beniowskiego prosić o przypuszczenie do związku, a potem, za cenę zdrady, uzyskać od gubernatora nietylko wolność, ale znaczną nagrodę,

i słusznie spodziewać się jej mogli oddając w ręce rządu kilkudziesięciu spiskowców.

Niebezpieczeństwo było bardzo groźne, bo razem ze zbliżającą się wiosną należało rozpoczynać stanowcze kroki w celu opanowania okrętu, jeśliby wygnańcom nie udało się dostać go od rządu dla przewiezienia swoich ruchomości na osadę w Łopatce. Opanowanie statku wymagało znacznych sił, pomoc zatem trzech zdeterminowanych na wszystko ludzi pewnie korzystną wydałaby się wodzowi. Ale szczęście sprzyjało Beniowskiemu, sto razy mógł był już popaść w niebezpieczeństwo i sto razy uratował go niespodziewanie pomyślny zbieg okoliczności. Jakoż zdarzyło się i teraz, że jeden z towarzyszy wodza, wierny, a bardzo zręczny Łoginow, odkrył podłe zamiary trzech wygnańców i uprzedził sprzysiężonych o pułapce, jaką na nich zastawiono.

Była to już połowa marca, mróz zelżał, słońce wzbijało się wyżej na horyzoncie, tajały miejscami śniegi, a razem z cieplejszym powiewem i serca wygnańców biły raźniej oczekiwaniem walki o wolność. W taki to właśnie pogodny dzień stawili się przed Beniowskim

trzej panowie z odległej części półwyspu i oświadczyli mu, że są wygnańcami, pragną zrzucić jarzmo niewoli, w tym celu też przybyli ofiarować życie swoje, oraz wszystko co posiadają do dyspozycyi hrabiego. Wiedzą, że przewyższa on zdolnościami, męstwem i nauką wszystkich na Kamczatce, że więc przeznaczonym jest od Opatrzności na wydobycie nieszczęśliwych z niewoli, o tych jego zamiarach zresztą dokładnie i oddawna są powiadomieni.

Beniowski wysłuchał spokojnie pochlebstw, a oddając grzeczność za grzeczność oświadczył podłym Judaszom chęć dopomożenia im w niedoli i powiedział:

— Zarówno z wami będąc nieszczęśliwy, nie widzę innego sposobu poprawienia waszego losu, jak pozwalając wam na osiedlenie się w osadzie, którą ja i moi towarzysze zakładamy w Łopatce, a wtedy chętnie dzielić będziemy z wami wszelką korzyść, jaką nam wspólna praca przyniesie.

Zmieniły się twarze zdrajców na te słowa, nie dając jednak za wygraną, starali się jeszcze wydobyć z Beniowskiego przyznanię, iż zamiarem jego i jego towarzyszy jest opanować okręt i

uciec z Kamczatki, ale hrabia nie dał się złapać, udał dobrodusznego i zaczął opowiadać gościom, jako istotnie w początkach swego pobytu na wygnaniu, widok niedoli towarzyszy nasuwał mu myśl wspólnej z nimi ucieczki, odkąd jednak doznali wszyscy dobrodziejstw gubernatora, zaniechali wszelkich zamiarów uwolnienia się z niewoli, a postanowili, zgodnie do życzeń rządu, założyć osadę rolniczą w Łopatce i oddać się gospodarstwu.

— Towarzysze — mówił dalej Beniowski — usłuchali mojej rady, ja to bowiem głównie namawiałem ich do poddania się losowi i jedynem ogniwem, jakie nas teraz łączy, jest wzajemna pomoc w trudach, wzajemny udział w korzyściach, których śmiało możemy się spodziewać, pracując na roli!

Przerwało rozmowę wejście kilku związkowych, zrozumieli oni manewr Beniowskiego i, chcąc mu w nim dopomódz, zaczęli się rozwodzić nad środkami, przedsięwziętemi dla doprowadzenia osady do kwitnącego stanu. To zupełnie już zbiło z tropu szpiegów, co widząc Beniowski, zapytał ich, czy nie chcieliby także przesiedlić się do Łopatki?

Zrobiona propozycya wywołała nieoczekiwany skutek. Dwaj z pomiędzy przybyłych poczęli złorzeczyć towarzyszowi i oświadczyli, że przeniosą się najchętniej do zakładanej kolonii, ale chwilowo ulegli tylko namowom zdrajcy, który dlatego chciał pozyskać zaufanie Beniowskiego, żeby oskarżyć go przed władzą i za cenę tej denuncyacyi otrzymać wolność.

Zbrodniarz nie mógł ani jednem słowem zaprzeczyć tak jawnemu oskarżeniu, uderzył więc w pokorę i żebrał miłosierdzia.

— Niegodziwcze — zawołał Beniowski — pomyśl, jak czarną masz duszę, chciałeś zgubić tylu niewinnych ludzi, których nie znałeś nawet i nie mogłeś mieć do nich najmniejszej urazy? Powinienem cię ukarać, ale gardzę nikczemnym nieprzyjacielem. Niegodny jesteś oddychać jednem powietrzem z zacnymi ludźmi, ustąp więc stąd, oszuście, i nie waż mi się więcej na oczy pokazywać.

— Niegodziwiec poszedł — pisze dalej Beniowski — ale niedowierzając tak przewrotnemu człowiekowi, udałem się natychmiast do kanclerza i doniosłem o haniebnym postępku wygnańca. Obu-

rzony kanclerz wpada w niepohamowany gniew, biegnie do gubernatora i wyrabia u niego rozkaz odstawienia zdrajcy pod strażą do jego siedziby z zakazem, aby nigdy jego noga nie postała w Petropawłowsku.

Taki był koniec zdradzieckiego zamachu na związek spiskowców. Ocaleni od niechybnej zguby, postanowili wznowić starania, aby uzyskać okręt od władz. W tym celu udał się Beniowski wraz z kilku przedniejszymi towarzyszami do kancelaryi gubernialnej i złożył memoryał, wyłuszczający żądania wygnańców. Memoryał wzięto natychmiast pod rozwagę, ale jakże bolesnego doznali zawodu, gdy zakomunikowano im decyzyę władzy, że w braku gotowego i próżnego okrętu w porcie, departament morski otrzyma polecenie wydania na potrzeby osadników sześciu *bajdar*, to jest szerokich czółen.

Jakoż wysłano natychmiast odpowiedni rozkaz do komendanta portu, kanclerz zaś wygotował urzędowe nadanie Beniowskiemu zarządu całym powiatem Łopatkińskim, z wyraźnem nadmienieniem, że ma moc czynienia w nim wszelkich zmian i urządzeń.

Ale nie Łopatka zajmowała myśl stę-

sknionych za ojczyzną biedaków, tylko nadzieja pozyskania okrętu, którym wypłynąćby mogli na szerokie fale oceanu, a w tem właśnie doznali zawodu.

Zrozumieli spiskowcy, że raz nareszcie trzeba się im zrzec wszelkich rachub na dobrowolne uzyskanie statku, że statek ten tylko siłą opanować mogą. Należało więc działać stanowczo, ale z największą rozwagą. Beniowski nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za przedsiewzięcie, które narażało kilkudziesięciu ludzi, gotując im los stokroć gorszy od śmierci. Chociaż więc przysługiwało mu prawo wydania rozkazów bez odwołania się do kogokolwiek, zwołał Radę.

Znów więc, jak w samym zawiązku spisku, zebrali się najprzedniejsi między sprzysiężonymi do mieszkania Krustjewa i znów w pierwszej chwili zapanowało w zgromadzeniu głuche milczenie.

Na Beniowskiego jako na wodza, zwrócone były oczy wszystkich spiskowców. Czuli, że z jego ust padnie znów słowo stanowcze o przyszłości, jakoż tylko tak zdeterminowany i wierzący w swą gwiazdę człowiek mógł bez wahania powiedzieć, że co bądź się stanie, on rozpoczyna walkę, walkę nierówną, walkę

kilkudziesięciu ludzi z całą załogą Kamczacką, z miastem, które zapewne pośpieszy na pomoc władzy, gdyby ta pomoc okazała się potrzebną.

Postanowiono zatem na Radzie upozorować przed władzami niemożność bezzwłocznego popłynięcia do Łopatki i powierzono wodzowi otumanienie gubernatora wymyślonym powodem zwłoki, a przystąpiono do narad nad ułożeniem porządku wojennej służby, rozdzieliwszy w tym celu siły na trzy oddziały.

Lewym skrzydłem miał dowodzić major Windblat, któremu Beniowski oddał pod komendę Bielskiego, Stefanowa i szesnastu towarzyszy, sam zaś przewodził głównemu korpusowi, złożonemu z dziewiętnastu związkowych, na czele prawego skrzydła postawił Krustjewa, a składało się ono, jak i lewe, z osiemnastu szeregowców. Zdecydowano także na tej sesyi, aby wygnańcy znieśli wszystką, posiadaną przez siebie broń do mieszkania Krustjewa. W tym celu kazał Beniowski zrobić w mieszkaniu tem tajemną alkowę, wykonaną tak zręcznie, że niewtajemniczony z trudnością mógł wpaść na ślad kryjówki. Po tych przedwstępnych naradach przy-

stąpiono do dyskusyi nad sposobem opanowania okrętu. Pierwszy zabrał głos Windblat, radził on napaść na statek w chwili, kiedy będzie miał już ruszać pod żaglami. Uzasadnił swoje zdanie tem, że kapitan okrętu wyprawia zazwyczaj ochoczą pijatykę dla majtków w przeddzień opuszczenia lądu i zaprasza na nią gości, mogliby więc niektórzy z wygnańców łatwo wziąć udział w hulance, spoić załogę trunkiem odpowiednio zaprawnym, a potem, około północy, skorzystać z pierwszego snu uczęstowanych i dać umówiony sygnał towarzyszom z lądu.

— Wszyscy wtedy, jak jeden, przypadniemy na bajdarach do statku — mówił Windblat — i bez żadnego oporu opanowawszy załogę, ruszymy natychmiast pod żaglami.

Rada była bardzo dowcipna, odrzucono ją jednak, jako nie dającą zupełnej pewności pomyślnego skutku, zbyt bowiem skomplikowany i zależny od trudnych do przewidzenia okoliczności wydał się spiskowym projekt Windblata. Z kolei mówił potem każdy członek zebrania. Zdaniem pierwszego było: uciec bajdarami z Kamczatki, a raz przybywszy do wysp Kurylskich,

stamtąd dostać, się do Japonii, gdzie nie trudno spotkać holenderski okręt, któryby chętnie przewiózł wygnańców do Europy.

Znalazły się jednak głosy przeciwne i temu zamiarowi, mówiono mianowicie, że kierowanie bajdarami na pełnem morzu jest bardzo trudne, a tem trudniejsze utrzymania flotylli w takiem skupieniu, aby wygnańcy komunikować się z sobą mogli. Przytem okrętu holenderskiego należy się spodziewać dopiero w mieście Nagasaki, które jest holenderską osadą, ale żeby tam się dostać trzeba opłynąć dokoło całą Japonię.

Trzeci mówca daleko zuchwalszy przedłożył zebraniu projekt: Radził, aby pod pozorem przenosin do Łopatki wydać w Petropawłowsku bal, zaprosić na niego gubernatora, wszystkich jego urzędników, oficerów załogi, oraz co przedniejszych mieszkańców miasta i spojonych winem gości schwytać, jako zakładników z tem zastrzeżeniem, że pozostaną w więzieniu, pokąd rząd nie odstąpi dobrowolnie okrętu wygnańcom. Lecz i ten wniosek nie został przyjęty przez zgromadzenie, a to dla bardzo słusznych powodów.

Garnizon Petropawłowska, złożony z 240 żołnierzy, a więc pięć razy przewyższający liczbę spiskowców, mógł łatwo przymusić ich do wydania zakładników, a gdyby nawet, co było bardzo wątpliwe, udało się wygnańcom pokonać nieprzyjaciela, to walczyćby oni jeszcze musieli z kozakami, rozkwaterowanymi w mieście, a było ich około 700, nie pozostaliby zaś pewnie obojętnymi widzami walki, której ich zwierzchnik, ataman, mógł pierwszy paść ofiarą.

Przeciwko rezykownemu temu projektowi orzekli się wszyscy prawie członkowie Rady, słusznie twierdząc, że kiedy w porcie stoi jedenaście uzbrojonych okrętów, to niepodobna przypuszczać, aby oficerowie i marynarze patrzyli spokojnie na odjazd zdobytego statku. Wszystkie pozostałe złączą się owszem i wspólnemi siłami nie pozwolą spiskowcom wypłynąć z portu, choćby nawet udało się, co trudno przypuszczać, jaknajpomyślniej wybrnąć ze wszystkich przewidzianych niebezpieczeństw.

Żaden z projektów nie trafił do przekonania wygnańców, wątpiono już, czy warto słuchać następnych, kiedy Panow i Krustjew nalegać zaczęli na Beniow-

skiego, aby on z kolei zabrał głos i wyraził swoje zdanie w tej tak ważnej sprawie.

— Zacząłem – pisze nasz bohater w swoich pamiętnikach — od przedstawienia Radzie, jak wątpliwymi i niebezpiecznymi w wykonaniu były projekty, które słyszeliśmy przed chwilą. Mówiłem potem, iż wszelki gwałtowny napad wydaje mi się niemożliwy przy tak małej jak nasza garstce sił, rozpaczliwego zatem czynu chwytać się należy tylko w ostatecznej potrzebie, kiedy nas do tego konieczność zmusi. Poprzysiągłszy dalej towarzyszom, iż zawsze trwam w postanowieniu oddania życia dla dobra ogólnego, zwróciłem ich uwagę na to, że położenie nasze nie jest jeszcze tak krytyczne, aby chwytać się rozpaczliwych środków i na niechybną zgubę oddawać nasze nadzieje. Mojem zdaniem należy korzystać z odjazdu okrętu św. Piotra i Pawła, który 15 maja ma być gotowy do drogi. Załoga statku składa się tylko z 22 majtków i kilku pasażerów, nic łatwiejszego, jak kilkunastu naszym towarzyszom zaciągnąć się w służbę okrętową, co gdy pomyślnie uskutecznią, zawrze Kuzniecow, jako kupiec z powołania, ugodę z kapi-

tanem. Ugoda ta polegać będzie na pozwoleniu, danem Kuzniecowowi, przeniesienia się na statek, gdy zaś raz tam zamieszka, powinien użyć wszelkich możliwych sposobów dla pozyskania względów kapitana, przekupić go pieniędzmi i obietnicą, iżby potajemnie nocną porą zabrał na statek kilka pak z futrami. Jeśli szczęściem kapitan zgodzi się na to, będzie musiał wyruszyć pod żaglami z portu przed świtem. Korzystając z ciemności, dopadniemy bajdarami do okrętu i, jak mam nadzieję, opanujemy go bez rozlania kropli krwi, a to dzięki przeważającej naszej liczbie: czterech przeciw jednemu. Tak wykonawszy zamiar, odesłalibyśmy bajdarami na ląd oficerów i majtków z załogi okrętu, sami zaś przedzierżgniemy się w marynarzy i ruszymy bez przeszkód na pełne morze.

Zdanie wodza, zdanie wytrawne i nacechowane zwykłą u Beniowskiego przenikliwością i trafnością, zjednało uznanie wszystkich spiskowców. Rostrząsano jeszcze projekt, ale w końcu zgodzono się na niego bez zastrzeżeń, poczem Rada dała jednemu ze swoich członków, wspomnianemu już wyżej Kuzniecowowi zlecenie, aby wybrał 12 towarzy-

szy i rozkazał im zaciągnąć się jako majtkowie na statek Św. Piotra i Pawła. Tego samego jeszcze wieczora doniósł on Beniowskiemu, że udało mu się potrzebnych i obeznanych z żeglugą znaleźć między uczestnikami sprzysiężenia.

Tak więc nieokreślone dotąd projekty wygnańców nabrały wyraźnych rysów, wiedziano już czego się trzymać, czekano naznaczonego na 15 maja terminu, a wiara w rozum i dzielność wodza napełniała ufnością serca wszystkich związkowców.

Ze wszystkich zaś Beniowski jeden był prawdziwie pożałowania godzien, podczas, gdy towarzysze jego, jako jedyne zadanie mieli wykonywać rozkazy naczelnika, na nim ciążyła cała odpowiedzialność za pomyślne doprowadzenie do skutku raz powziętych postanowień.

Co zaś stokroć gorzej i co krzyżowało na każdym kroku jego plany, była dwuznaczna rola, jaką z konieczności odgrywać musiał. Spragniony powrotu do ojczyzny, stroskany nieustannem czuwaniem nad szczegółami, splatającymi się w jedną nić spisku, musiał wobec rodziny gubernatora udawać szczęśliwe-

go narzeczonego, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń pani Niłow. Ta troskliwa i pełna miłości matka widziała w małżeństwie Afanazyi spełnienie swych najgorętszych pragnień dla córki.

Niema większej boleści, dla szlachetnie czujących rodziców, jak widzieć, że ich dzieci, zamiast rozwijać się moralnie i umysłowo w miarę wieku, tracą owszem najwykwintniejsze cechy obejścia i charakteru pod wpływem osób, z którymi żyć muszą.

Zupełne nieuctwo, przekupstwo, porywczość, pijaństwo połączone z grą w karty, oto czem odznaczali się wszyscy mniej więcej dygnitarze kamczaccy, nie innymi byli i zięciowie biednej pani Niłow, a obcowanie z takimi mężami musiało albo unieszczęśliwiać, albo popsuć ich żony.

Jakże niepodobnym do tych gruboskórnych mamutów był Beniowski! Obyty z najwykwintniejszem towarzystwem, miał ten wdzięk obejścia, który, o ile łączą się z nim przymioty umysłu i serca, jest niezmiernie miłym w codziennem pożyciu. Do wdzięku zaś i pięknej powierzchowności, jaką go obdarzyła natura, własną już zasługą posiadł rozum niepospolity i biegłość w

naukach. Energiczny, waleczny wspaniałomyślny, był co się zowie, w całem najlepszem znaczeniu tego wyrazu, rycerzem, nie dziw też, że Afanazya pokochała królewicza z bajki, bo na Kamczatce, i w owych czasach, mógł nasz bohater istotnie za bajeczne uchodzić zjawisko.

Nie dziw! Toż urokowi jego ulegli nieokrzesani urzędnicy półwyspu, ulegli kupcy petropawłowscy, czego mu wielokrotnie dawali dowody. Można śmiało powiedzieć, że powodzenie przedsiewzięcia, jeśli udać się miało, zależne było w wielkiej części od czaru, jaki dokoła siebie roztaczał Beniowski. Niejednokrotne podejrzenia o knowaniu spisku upadały same przez się i nie nabierały mocy jedynie pod wpływem jego uroku i odwagi, z jaką umiał spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu.

Ale właśnie to nieustanne czuwanie, zażegnywanie przytomnością umysłu coraz nowych pułapek, w które popaść mogli związkowi, wyczerpywały siły hrabiego, najwięcej jednak męczył go fałsz w postępowaniu z mniemaną narzeczoną. Próżno starał się on unikać Afanazyi, próżno, pod pozorem przygotowań do nowego osiedlenia, nie chciał opusz-

czać mieszkania, musiał śpieszyć na wezwanie gubernatora, który obejść się już bez niego nie mógł, i takie właśnie wezwania narażały najczęściej Beniowskiego na konieczność złożenia wizyty pani Niłow i jej córce.

Matka zajęta myślą przyszłości Afanazyi, troskała się o jej wygody, jak wszystkie dobre matki, przygotowywała wyprawę, a każdy szczegół, dotyczący przyszłego życia młodej pary, sprowadzał rozmowę na niebezpieczne tory.

Stawiano często kwestyę terminu ślubu, Beniowski starał się odsuwać go w miarę możności, aby zyskać na czasie i jako powód zwłoki, podawał konieczność urządzenia domu w Łopatce, pani Niłow potrafiła zwalczyć i tę trudność.

Bohater nasz zapóźnił się właśnie na konferencyi z gubernatorem, trwały one zawsze długo, zwłaszcza odkąd układano na nich coraz nowe sposoby urzeczywistnienia śmiałych nadziei, jakie żywili trzej dygnitarze kamczaccy.

Memoryał, wygotowany w tej kwestyi przez Beniowskiego, zachwycił pana Niłowa, pozyskanie wielkorządztwa Ochocka wydawało mu się coraz możliwszem, tak jak kanclerzowi objęcie po

przyjacielu Kamczatki, a atamanowi szalone jego plany opanowania kraju złota, Kalifornii.

Nie dziw więc, że ukołysani różowemi nadziejami, zapominali o upływających niepostrzeżenie godzinach i Beniowski, zatrzymany do późna, musiał zostać na wspólnym z rodziną gubernatora obiedzie. Zaledwie jednak wstał od stołu, zbliżyła się do niego dobra pani Niłow i oświadczyła młodej parze, że rozkazała wygotować dla nich dom obszerny ze wszystkiemi wygodami i że dom ten przeniesiony będzie do Łopatki na miejsce, które Beniowski wybierze dla swej osady.

— Nie kłopocz się — powiedziała troskliwa matka — o nowe swe gospodarstwo, ja pomyślę o tem, żeby wam na niczem nie zbywało, co zaś do dnia ślubu, to dłużej niż do maja czekać na niego nie będziecie.

Odetchnął Beniowski słysząc, że sama pani Niłow proponuje tak pożądaną dla niego zwłokę, po uzyskaniu bowiem domu i obietnicy zaprowadzenia w nim potrzebnych urządzeń, nie miałby już żadnej wymówki, gdyby naglono na niego o przyśpieszenie ślubu. Ucałował też że szczerą wdzięcznością ręce pani

Niłow, bo czuł istotne przywiązanie dla zacnej a nieszczęśliwej kobiety, która, przez wzgląd na trudne położenie wygnańca, brała na siebie usunięcie od przyszłego zięcia materjalnych kłopotów, nieuniknionych w tym razie.

Pobyt w Łopatce, upozorowany koniecznością czuwania nad budową domu wydał się Beniowskiemu, po dłuższym namyśle, najodpowiedniejszym dla odwrócenie podejrzeń, które od pewnego czasu coraz częściej żywić zaczynano w mieście co do wygnańców i ich zamiarów.

Niełatwo też było wytłomaczyć władzom dla czego wprzód tak uporczywie żądano statków na przejazd do kolonii, teraz, mając bajdary, nikt z nich korzystać nie myśli.

Dwa te względy, chęć utwierdzenia wszystkich w przekonaniu, że Beniowski i jego towarzysze biorą się seryo, do pracy w kolonii, przeważyły ostatecznie nad trudnością oddalenia się wodza od głównego punktu działania.

Postanowił zatem naczelnik zdać na zastępcę swego, Krustjewa, obowiązek znoszenia się ze spiskowymi, mieszkającymi bliżej Petropawłowska i czuwania nad bezpieczeństwem zapasów nagro-

madzonych w jego domu, co zaś ważniejsza prawie, obowiązek donoszenia Beniowskiemu o wszystkich wypadkach, jakie pod jego nieobecność zajść mogły, aby, wezwany przez przyjaciela, pospieszył dzielnością i przytomnością umysłu zapobiedz skutkom zdrady, lub co także stać się mogło, nieostrożności.

Raz upewniony o postanowieniu zmiany miejsca zamieszkania nie wahał się już Beniowski przedstawić związkowym swoich zamiarów i wyłuszczyć powodów jakie go do powzięcia tej decyzyi skłoniły.

Propozycya wodza znalazła jednomyślne uznanie towarzyszy. Uradzono na tej samej sesyi, że Panow, Windblat, Stefanów i sześciu innych związkowych wyjadą razem z Beniowskim. Doniósł on gubernatorowi o swem postanowieniu, decyzya przyszłego zięcia bardzo podobała się p. Niłow, kazał też zaraz wysłać ukazy do wszystkich Tajów, czyli zwierzchników wiosek kamczackich, aby dali Beniowskiemu takie wygody i pomoc w potrzebie, do jakich sam miał prawo.

W tych warunkach odbywana podróż nie przedstawiała naturalnie żadnych trudności. Pożegnany czule przez wy-

gnańców i rodzinę państwa Niłow, a odprowadzony do pierwszego popasu przez Afanazyę, której towarzyszył brat, dojechał Beniowski na noc do najbliżej mieszkającego Taja. Bawił tam właśnie Szaman, co w języku miejscowym oznacza czarnoksiężnika, spotkanie z tym wróżbitą zapisało się na długo w pamięci naszego bohatera.

„Starzec ten — pisze Beniowski — używał wielkiej sławy wśród ludności kamczackiej i uchodził za człowieka mającego przymierze z djabłami. Ciekawy kuglarstw omaniacza, prosiłem Taja, aby mi go kazał sprowadzić. Przywołano go, ale wszystkie namowy i prośby Taja nie zdołały skłonić Szamana, do wróżenia mi przyszłości, dopiero widok kilku rubli, które wydobyłem z kieszeni, przełamały jego opór.

Zaczął swe ceremonie i gusła od wypędzenia wszystkich kobiet z domostwa, potem rozebrał się do naga i obmył całe ciało. Po dopełnieniu tego wstępnego obrządku, przywdział długą suknię z psiej skóry, włożył na głowę kaptur z dwoma rogami a do pasa przywiązał bęben. W takim dopiero stroju stanął na środku izby, obrócił się raz w kółko wołając: *Kutti-Kuttui-Kutachta!* i wy-

dobywszy z zanadrza flaszkę wypił część znajdującego się w niej napoju, a potem padł jak długi na ziemię i nie dając, żadnych oznak życia, pozostał tak leżąc przez pół godziny.

Dopiero po upływie tego czasu zrywa się nagle mój Szaman i wśród wrzasku, pisku i wycia wali w bęben co sił. Wrzeszczał i wył tak przeraźliwie, że wreszcie najokropniejsze porwały go konwulsye, drgały mu oczy i usta, trzęsły się wszystkie członki, co trwało znów przeszło godzinę, poczem usiadł na ziemi i cichym a chrapliwym głosem wróżyć zaczął:

— Przyszedłeś szukać rady mego ducha względem dalszego twego przeznaczenia, wiedz więc, że znajdziesz w nim pomoc w twoich zamiarach zemsty, za śmierć duchów ojców naszych, których wygubili Rosyanie. Sam Katuchta wesprze twoje siły. Ujrzysz lejącą się krew twoich nieprzyjaciół i podróż twoja będzie szczęśliwa. A potem kiedy krew przelejesz, kiedy twoja płynąć zacznie, staniesz się miłym duchom ojców naszych.

Tak opowiada Beniowski spotkanie swoje z kamczackim czarnoksiężnikiem, który, dokończywszy dziwnego proro-

roctwa padł znów na ziemię bez zmysłów i z rozkazu Taja wyniesiony został do pobliskiego domostwa.

Pytał potem Beniowski, z czego składa się napój, który Szamana z nóg zwalił, objaśniono go, że był on przyrządzony z grzyba zwanego muchomorem, a ma mieć własność upajającą, i jak zapewniał Tajo, przez trzy, a niekiedy cztery doby, pogrążał czarnoksiężnika w stan zupełnego uśpienia.

Nie będę powtarzała za Beniowskim dalszych szczegółów podróży, gdyż nie zawierają w sobie nic ważnego. Po kilkodniowej wędrówce przybył nareszcie do tej części kraju, którą mu przeznaczono na założenie osady, i grając dalej komedyę, wybrał pod nią miejsce nad brzegiem małej rzeczki wpadającej do jeziora.

Obszerna równina nadawała się istotnie do założenia kolonii, ale pokrywał ją jeszcze śnieg, trudno więc było wnosić cokolwiek o urodzajności gruntu. Żyzność ziemi zajmowała zresztą bardzo mało Beniowskiego, towarzyszył mu Tajo, udawał więc przed nim wielkie zainteresowanie się zakładanem gospodarstwem i zachwyt nad pięknością okolicy. Rozkazał też zaraz przygotować

kilka kop kijów, a nakreśliwszy plan całej osady wytknął tykami ważniejsze miejsca, szło mu bowiem o przekonanie gubernatora i wszystkich jego doradców, że najgorętszem życzeniem wygnańców było rychłe rozpoczęcie prac około roli. Pracom tym stała na przeszkodzie zbyt wczesna pora, pole pokryte śniegiem nie nadawało się do uprawy, natomiast dla złudzenia władz, należało robić przygotowania, pod mające powstać budowle i pracę tę wyznaczywszy zrobił jeszcze Beniowski kilka wycieczek w okolicę, nie mając zaś po co zostawać dłużej w pustej a zaśnieżonej przestrzeni, przyjął na jakiś czas gościnę u Taja, który czuł się szczęśliwym, mogąc oddać usługę człowiekowi uważanemu za szczególnie miłego gubernatorowi.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsze promienie kwietniowego słońca, choć w Kamczatce nie zwiastują jeszcze wiosny, obudziły jednak u wygnańców zwiększoną tęsknotę za dniem wyzwolenia, jednocześnie zaś dreszcz niepokoju o skutek zamierzonej ucieczki.

Morze zaczynało oczyszczać z lodów brzegi lądu, bajdary pływały swobodnie między bryłami kry nagromadzonej w cienistych zakątkach wybrzeża, żegluga na tych lekkich a jednak trwałych łodziach, stawała się coraz bezpieczniejszą. Ten i ów z należących do spisku byłby może chętnie wyzyskał pierwszą dobrą sposobność, pierwszy pomyślny wiatr i uciekł na morze, taka niecierpliwość zrywała się w sercach wygnańców.

I bywa tak, że człowiek póty znosi okrutną dolę z rezygnacyą póki nie zazaświta mu nadzieja ocalenia, a raz upojony tą nadzieją traci miarę czasu, i choć wytrwał lata w męce, gotów jest narazić się na niechybną prawie zgubę, byle chwil kilka chociaż przyspieszyć godzinę ocalenia.

Między wygnańcami na Kamczatce było wielu takich, którzy od dziesiątek lat cierpieli ucisk niewoli, ale wystarczył promień nadziei rozniecony energią Beniowskiego, aby zgnuśniałych w niedoli powołać do czynu, i obudzić w nich gorączkowe tego czynu pragnienie. On, wódz, mógł mieć chwile wątpliwości w skuteczność przedsięwziętych środków, mógł drżeć przed odpowiedzialnością jaką ściągał na siebie za powo-

dzenie rozpaczliwego kroku, który kilkudziesięciu ludzi przypłaci zapewne życiem, oni jednak, doprowadzeni do rozpaczy, pamiętali, że z przybyciem Beniowskiego do Kamczatki błysnął im pierwszy promyk, pierwsza sposobność ratunku. Promyk ten oświecał przepaść niedoli, w którą wrośli niewolnicy, jak wrasta w bagno krzemień choć w jego wnętrzu kryją się iskry zdolne wybuchnąć przy lada sposobności.

Sprzykrzyła się Beniowskiemu komedya jaką odgrywał w Łopatce, sprzykrzył pobyt u gościnnego Taja, bo pilno mu było wrócić do towarzyszy i przekonać się, o ile postąpiły ich przygotowania do ucieczki.

Śnieg wciąż jeszcze pokrywał ziemię, nie można było rozpoczynać uprawy roli w nowej osadzie, dał więc nasz bohater rozkazy co do obróbki drzewa na budowlę i pośpieszył sam do Petropawłowska, pod pozorem przedstawienia gubernatorowi planów kolonii wygotowanych na miejscu.

Sierżant, trzymający zwykłą wartę przed zamkiem, poznał Beniowskiego z daleka i skoczył donieść państwu Niłowom o niespodziewanem przybyciu ich zięcia. Cała rodzina gubernatora wybiegła przed dom dla powitania upra-

gnionego gościa, a gubernator, rozczulony do łez, zabrał natychmiast Beniowskiego do swego gabinetu dla wysłuchania raportu o stanie przyszłej kolonii. I raport ten i mapy bardzo pochlebne dla Kamczackiego pustkowia, wprowadziły p. Niłowa w prawdziwy zachwyt.

Starał się najróżnorodniejszymi sposobami okazać swoje zadowolenie, twierdził, że zasługi Beniowskiego na cały obecny zarząd Kamczatki ściągną łaskę Imperatorowej, posłał wreszcie po atamana i kanclerza, ażeby pokazać im plany Łopatki.

Beniowski witał się tymczasem z panią Niłow i Afanazyą, a chociaż udawał wesołość z powrotu, pilno mu było uciec od obiadu, na który go zaproszono, nietylko dlatego, żeby powitać towarzyszy, ale i żeby opanować wyrzuty sumienia, które silniej niż kiedykolwiek obudziły się w jego sercu na widok radości, z jaką przyjmowany był przez całą rodzinę gubernatora.

Tysiące smutnych obrazów stawało mu przed oczami, wyrzucał sobie niewdzięczność za odebrane dowody przyjaźni, to też spieszył do mieszkania, ażeby zasięgnąć rady Krustjewa w rozterce, która szarpała mu duszę.

Zataić bowiem tego przed sobą nie mógł, że tłumna ucieczka wygnańców z Kamczatki będzie przyczyną zguby gubernatora, jemu bowiem niezawodnie przypisze rząd winę lekkomyślnego postępowania z więźniami. Co zaś większy jeszcze sprawiało Beniowskiemu niepokój to myśl, że w razie gdyby się nie udało zająć okrętu, spiskowcy będą musieli bronić życia w otwartym boju, podnieść ogólny bunt, opanować fortecę, a zatem nie obejdzie się bez rozlewu krwi, może tych osób, od których doznał tyle dowodów życzliwości.

Wszystkie te uwagi szarpały sercem Beniowskiego, ale nie mogły już zachwiać jego postanowieniem. Jeśli bowiem z jednej strony miał słuszną wdzięczność dla rodziny państwa Niłowów to z drugiej, jako dowódca partyi, stałby się krzywoprzysiężcą i człowiekiem niegodnym życia, gdyby wystawił towarzyszy na niebezipeczeństwo, lub zdradził położone w nim zaufanie.

— Od pierwszej chwili jak poznałem twój prawy charakter lękałem się dla ciebie rozterki wewnętrznej, jaka się teraz toczy w twej duszy – powiedział Beniowskiemu Krustjew i uściskawszy czule przyjaciela, mówił dalej:

— Nic pewniejszego zaiste, jak, że rząd przypisałby naszą ucieczkę gubernatowi, gdyby wiadomem było wszystko co, on dla ciebie, a przez ciebie dla nas uczynił, ale na szczęście karę za winę musiałby też ponieść ataman i kanclerz, jako wplątani w to samo przestępstwo, potrafią więc oni sprawę tak przedstawić Petersburgowi, że i siebie obronią i Niłowa z całą rodziną ocalą.

Jeżeli zaś przymuszeni będziemy do użycia otwartej siły, to dwojaki nas los czeka; albo zginiemy wszyscy, co do jednego, albo weźmiemy górę. W pierwszym przypadku spotka Niłowa nagroda od rządu, w drugim twoją będzie rzeczą uprowadzić z sobą całą rodzinę gubernatora, chociażby przyszło do tego użyć przemocy, a za naszem do Europy powrotem znajdziesz tysiączne sposoby okazania im twojej wdzięczności.

Nie miałem dotąd czasu na zdanie ci sprawy z tego co uczyniliśmy w czasie twojej nieobecności, przestań więc kochany Maurycy, dręczyć się smutnemi myślami i wiedz, że udało się Kuzniecowowi umieścić na okręcie „św. Piotra i Pawła“ dwunastu oddanych nam ludzi, a nadto, że ułożył się on już z kapitanem statku o zabranie go

i zabranie towarów, które tajemnie przyjęte będą na okręt. Zapasy broni i żywności są już także prawie gotowe, przekonasz się o tem.

Tak pomyślny raport Krustjewa ucieszył niezmiernie Beniowskiego i odwrócił na chwilę jego myśli od dręczących wyrzutów sumienia. Niestety tylko na chwilę, bo niespodziewane zajście miało w straszniejszą jeszcze rozterkę pogrążyć umysł naszego bohatera, stało się to z następujących powodów:

Zaraz nazajutrz po powrocie swym do Petropawłowska otrzymał Beniowski zaproszenie od pani Niłow, aby wraz z towarzyszami wziął udział w urządzanej przez nią wycieczce.

Sanna była wyborna, lekkie z ości wielorybiej sanki mknęły jak strzała po równinie. Ujechano tak dwie mile aż w tem ukazało się obecnym kilka nowo zbudowanych domostw, z których zwłaszcza jeden wyróżniał się rozmiarami i kształtem, a pani Niłow oświadczyła Beniowskiemu, że dwór ten i otaczające go chaty, zbudować kazała dla młodej pary narzeczonych, którzy ją przeniosą następnie do Łopatki.

— Ojciec wasz—powiedziała p. Niłow — nadał wam grunta, do matki nale-

żało opatrzyć was w mieszkanie i potrzebne do niego sprzęty.

Łatwo zrozumieć, jaką burzę uczuć wywołał w Beniowskim ten nowy dowód nieocenionej dobroci wyświadczony przez kobietę, której serce przyjdzie mu zapewne niedługo boleśnie zakrwawić. Na szczęście, czy na nieszczęście nie miał on jednak czasu zastanawiać się długo nad dziwną plątaniną uczuć, które zmuszały go do niewdzięczności, gdyż nowe powikłania sprawiły, że musiał zająć się natychmiast niepoprawnym szaleńcem Stefanowem.

Stefanow należał także do zaproszonych przez panią Niłow i cieszył się towarzystwem Afanazyi, kiedy jednak usłyszał o ofiarowaniu młodej parze dworu, porwał go niepohamowany gniew na wodza, którego posądzał o zdradę, jak szalony skoczył do sanek i pognał z powrotem w stronę Petropawłowska.

Całe to zajście uszło uwagi Beniowskiego. Wrócił spokojnie do miasta i siedział właśnie przy obiedzie, wraz z całą rodziną gubernatora, kiedy ostrzeżono go aby, natychmiast spieszył do Krustjewa gdyż Stefanów dopuścił się czynu, który nieobliczone może sprowadzić nieszczęścia na spiskowców.

Od przytomności i energii wodza za-

leżało teraz, jak już wielekroć razy, ocalenie wygnańców. Hrabia znał dobrze Stefanowa, zrozumiał też od razu całą doniosłość sprawy, zamiast więc spieszyć natychmiast do domu wyrobił sobie przedewszystkiem rozkaz gubernatora, zdający tegoż Stefanowa na jego łaskę lub niełaskę.

Dopiero opatrzony takim dokumentem pośpieszył Beniowski zażegnać burzę wywołaną zazdrością szaleńca.

Skłócił się on z Krustjewem o Beniowskiego, a widząc, że go nie przekona wyskoczył na podwórze i krzyknął do przechodzącego żołnierza, aby dał mu pomoc:

— Inaczej Beniowski każe mnie zamordować za to, że chcę wyjawić kancelaryi tajemnicę, od której bezpieczeństwo rządu zależy — wołał Stefanow — żołnierz uwierzył jego słowom zawołał kilku kozaków i chcieli już gwałtem odbić szaleńca kiedy przestraszeni o skutki zajścia wygnańcy, chwycili go i unieśli z sobą do mieszkania. To jednak nie uspokoiło wrzawy, żołnierze wyłamali już drzwi domostwa, w którym ukryto Stefanowa, a związkowi, dla odparcia gwałtu, rzucili się do broni.

— Czy jest kto między wami aby czytać umiał? — zawołał Beniowski —

oddając sierżantowi rozkaz, którym gubernator wyłączył Stefanowa z pod władz miejscowych.

Sierżant, na widok urzędowego papieru, stracił od razu zwykłą takim figurom butę, błagał Beniowskiego o przebaczenie mimowolnej winy, usunął się też zaraz od dalszej interwencji. Stefanow, który zdążył tymczasem powalić dwóch wygnańców i chciał znów wyskoczyć na ulicę, został nareszcie skrępowany przez spiskowców.

Gdy zaś więzy nie przeszkadzały mu krzyczéć i bezcześcić Beniowskiego, musiano szaleńcowi zakneblować usta i przenieść do piwnicy.

Beniowski zwołał tymczasem radę, należało postępować z wielką ostrożnością, gdyż wieść o zajściu rozeszła się lotem błyskawicy po mieście i wywołać mogła podejrzenia, które dodane do wielu innych obudzą niezawodnie czujność władz. Wszyscy spiskowcy przekonani byli o zdradzie Stefanowa i o tem, że należało odebrać mu możność szkodzenia sprawie.

— Zasłużył na śmierć — powiedział pierwszy Krustjew.

— Śmierć zdrajcy — powtórzył za nim drugi z kolei wygnaniec.

Echa izby piętnaście razy odbiły jeszcze ten sam ponury wyrok i nie znalazł on w nikim zaprzeczenia, bo serca wszystkich drżały oburzeniem, drętwiały obawą czy nie jest już za późno!

Jeden tylko Beniowski pragnął ocalić winowajcę, wódz tylko zwlekał z potwierdzeniem wyroku śmierci, który jego słowo uczyniłoby prawomocnym. Próbował nawet bronić szaleńca, ale całe zgromadzenie powstało przeciwko niemu, żądając natychmiastowego skazania zdrajcy. Już śmierć jego zdawała się nieuniknioną, kiedy Beniowski na nowy wpadł pomysł, pragnął temwięcej uratować Stefanowa, że jego krewny Panow wyjechał był właśnie z Petropawłowska.

— Sprobujmy przekonać się jakie ten nieszczęśliwy żywi w sercu uczucia — zawołał Beniowski — w obliczu niechybnej śmierci dusza człowieka staje się zwierciadłem i każdy czytać w niej może. Chwila ta niech decyduje o losie Stefanowa. Wnoszę, aby stawiono zdrajcę przed sądem, a wyrzuciwszy na oczy całą ohydę popełnionego czynu ogłosić mu karę śmierci i podać kubek z trucizną, lecz zamiast prawdziwej, nalać do kubka sporą dozę emetyku. Jeżeli

winny upamięta się i żałować będzie przestępstwa, darujemy mu życie, lecz jeżeli trwać zechce w zbrodniczych swych zamiarach pierwszy zawołam:

— Niech zginie!

Zdanie Beniowskiego przeważyło w zgromadzeniu. Czterech dobrze uzbrojonych towarzyszy poszło po winowajcę, tymczasem zaś postawiono kubek z emetykiem na stole. Widok fatalnego napoju uderzył wchodzącego we drzwi więźnia, zbladł i zadrżał a pomieszanie jego stało się jeszcze wyraźniejszem, kiedy wysłuchał rozkazu danego przez gubernatora. Rozkaz ten odczytał mu Krustjew, poczem Beniowski zabrał głos i wystawił winowajcy całą ohydę jego postępku, oraz, że nawet on, wódz, nie jest mocen uchronić go od śmierci, gdyż sprzeciwiają się temu zasadnicze ustawy spiskowców, po Beniowskim przemawiali kolejno wszyscy uczestnicy zebrania i wszyscy bez wyjątku uznali Stefanowa niegodnym łaski.

Zalał się on gorzkiemi łzami i sam przyznał, że wart jest najsroższych męczarni, doznawał ich też, bo widok przygotowanej trucizny wywierał tak przygnębiające wrażenie na winnego, że om-

dlał z przestrachu i padł bez zmysłów na ziemię.

Smutny był to obraz. Gromada nieszczęśliwych wygnańców nękała cierpieniem jednego z pomiędzy siebie, dla uchronienia wszystkich od zguby. Ileż bólów, ileż rozgoryczenia składało się na tę okrutną komedyę otrucia, grano ją dla dobra ofiary, którą trzeźwili towarzysze na nową mękę, bo właśnie Krustjew napisał tymczasem wyrok i odczytano go Stefanowowi jak tylko wrócił do przytomności. Słuchał z poddaniem winowajca okrutnych słów dekretu, kiedy jednak doszedł Krustjew do tych wyrazów: „dla takich to powodów wspomniany Stefanow skazany jest na wypicie trucizny“ zemdlał powtórnie.

Tym razem z trudnością otrzeźwiono go, podniósł się jednak z ziemi i żądał aby mu dano mówić, a gdy otrzymał zezwolenie — począł błagać Beniowskiego, błagać wszystkich spiskowców o darowanie życia. Przyrzekał odtąd poświęcić krew swoją za całość i dobro związku, widząc jednak, że wszyscy jego towarzysze surowo nań patrzą i nalegają o wypicie trucizny, wziął drżącą ręką fatalny kubek ze stołu i niósł

go już do ust, kiedy nagle utracił resztę sił i po raz trzeci padł bez zmysłów, więcej do umarłego niż do żywego podobny.

Zadrżał Beniowski, sądził bowiem, że emetyk przy takiem starganiu ciała i duszy może stać się dla winowajcy prawdziwą trucizną. Postanowiono więc na wniosek wodza odnieść Stefanowa do więzienia, gdzie miał pozostać do czasu ucieczki z Kamczatki.

Beniowski, szczęśliwy, że udało mu się ocalić człowieka, który nastawał na jego zgubę, powitał Panowa, bo wrócił on właśnie z kilkodniowej wycieczki i od wodza dowiedział się dopiero o wypadkach zaszłych pod jego nieobecność. Panow znał wady szalonego młodzika, kochał go jednak, a co za tem idzie, wierzył w poprawę, to też błogosławił Beniowskiego i razem z nim udał się do celi, w której Stefanów odsiadywał karę. Rumieniec wstydu oblał twarz winowajcy na widok wchodzących. Panow po ojcowsku napominał grzesznika a Beniowski cieszył się z jego poprawy.

Wprost z celi udali się obaj związkowi na naradę zwołaną dla wysłuchania sprawozdań Kuzniecowa. Wedle słów

kupca, kapitan okrętu „ś-go Piotra i Pawła“, którego spodziewał się pozyskać dla zamiarów spiskowców, odmówił nagle wszelkiego współdziałania z wygnańcami.

— Kapitan boi się narazić władzy— mówił Kuzniecow — bo wplątany jest w brzydki proces i ma długi, a szkoda, gdyż nikt lepiej od niego nie mógłby usłużyć naszym planom i żaden inny okręt nie wypłynie w maju z Kamczatki.

— Brzydki długi proces, — toż to właśnie najpewniej da mi sposobność zjednania go dla naszych zamiarów — pomyślał Beniowski — i polecił Kuźniecowowi sprowadzenia kapitana dla osobistego porozumienia się z nim. Zwykła bystrość i energia nie zawiodły naszego bohatera i w tej tak ważnej sprawie. Chodziło o nakłonienie marynarza, aby pod pozorem zabrania skrzyń ze sprzętami przeznaczonymi do Łopatki, zaraz po wypłynięciu z portu, dobił do lasu, w miejscu oznaczonem przez wygnańców.

Opanowanie okrętu w porcie, w którym stało dziesięć innych uzbrojonych statków, przedstawiało wielkie trudności, kiedy przeciwnie ten sam okręt,

mógł o parę mil dalej być łatwo zdobyty przez spiskowców, weszliby na pokład pod pozorem umieszczenia pak, wiemy zaś już, że paki te zawierały zapasy żywności potrzebnej w podróży, a co ważniejsze jeszcze, broń.

Wydobyć ją z ukrycia, rozdać pomiędzy wygnańców i zmienić ich w żołnierzy, walczących za wolność, będzie dziełem jednej chwili. Mogło się to tem łatwiej udać, że jak wyżej już wspomniano, kupiec Kuznieców potrafił skłonić kapitana do zaciągnięcia w poczet załogi ludzi zaufanych a obznajmionych z obsługą statku.

Ci wierni spiskowcy odbierali rozkazy od Beniowskiego i gotowi na każde skinienie wodza mieli pierwsi rozpocząć walkę. Cała pomyślność przedsięwzięcia zdawała się zależeć od dobrej woli kapitana, to też Beniowski powitał go bardzo uprzejmie, podziękował za chętne odwiedzenie wygnańca i zaczął rozmowę od uwag nad trudnościami, z jakiemi walczyć musi każdy marynarz.

— Znam z własnego doświadczenia, że ciężką jest dola nasza, toż sam byłem niegdyś marynarzem i wiem jak często, dla utrzymania kredytu, wikła

się człowiek w najtrudniejsze interesy, byłbym prawdziwie szczęśliwy mogąc stać się panu użytecznym, powierzyć mu naprzykład chociażby znaczniejszą sumkę pieniędzy dla wspólnego prowadzenia handlu, któryby nam obu korzyść przyniósł.

Rozmowa tak rozpoczęta stawała się coraz serdeczniejszą; przyniesiono herbatę; gorący trunek i argumenty Beniowskiego usposobiły dobrze kapitana. Ujęty życzliwem obejściem gospodarza domu zwierzył mu się z dręczącej troski. Był obwiniony o udział w buncie, jaki przed czterma laty podniosła załoga okrętu „św. Katarzyna". Śledztwo prowadzone w tej sprawie nie dowiodło wprawdzie na razie winy kapitana, wikłało go jednak w coraz nowe trudności, zwłaszcza, że przez zemstę świadczyło przeciw niemu kilkunastu majtków.

Obawa o życie, a przynajmniej o utratę wolności, mąciła zmysły kapitana. Skorzystał z tego Beniowski, i upewnił go w przekonaniu że on tylko, przez stosunki i wpływy, potrafi wyjednać uwolnienie od nagabywań policyi, przyrzekł także dopomódz biedakowi znaczną pożyczką i wręczył mu nawet za-

liczką na tę sumę, aby mógł zaraz najprzykrzejszych pozbyć się dłużników.

Kontent, że tanim kosztem zyskał nieodzownego dla swych planów człowieka, pospieszył wódz uwiadomić o tem przyjaciół zebranych na radę, uspokoić zwłaszcza kupca Kuzniecowa, a widząc jak bliską była chwila stanowcza, zaklinał związkowych o zachowanie jaknajściślejszej tajemnicy.

— Jestem bowiem pewny — mówił— że plan obmyślany przeze mnie uda się niezawodnie, o ile zdrada, lub nieostrożność, nie zmuszą nas do chwycenia się gwałtownych, a co za tem idzie, bardzo hazardownych środków.

— Dla spokojności zgromadzenia — odezwał się Panow — powiedz nam wodzu co przedsięwziąć zamyślasz w wypadku zdrady. bo przewidywać ją należy?

— Dziwnem wydało mi się to pytanie — pisze Beniowski — odpowiedziałem jednak, że postępowanie moje będę musiał stosować do kroków nieprzyjaciela, dlatego dziś niepodobna mi nakreślić planu walki, potem zaś dodałem: — Kto raz poprzysiągł umrzeć z odwagą i męstwem, tego trwożyć nie może żadne niebezpieczeństwo.

Zaiste mnóstwo ich nas otacza, a świeży przykład zdrady co moment przypominać nam powinien iż związek nasz odkrytym być może. Lecz wówczas niech tylko każdy dotrzyma słowa, a pierzchną nikczemni niewolnicy choć jest ich wielu, przed garstką walczących o swą wolność bohaterów. U szlachetnego człowieka śmierć równie chwalebna jak odzyskanie swobody, płatnego najemnika godną jest ucieczka i popłoch. Z tem wszystkiem upewnić was mogę, że z mojej strony przedsięwziąłem już wszystkie środki, aby w żadnym razie rząd nie zaskoczył nas niespodziewanie. Ostrożnością nigdy wodzowi gardzić nie należy, to też dziś wiem już na pewno, że w razie jakichkolwiek względem nas zamachów rządu, ostrzeżenie o tem dojdzie mnie natychmiast. Jeśli będziemy mieli chociaż kilkanaście godzin na potrzebne przygotowania, wtedy, ufajcie memu słowu, bo stawiam moją głowę w zastaw, że najprzód zostaniemy panami zamku i garnizonu, a potem zdobędziemy miasto, które musi się nam poddać, jest bowiem zewsząd wystawione na ogień forteczny.

Płomienna zapałem mowa Beniowskiego uspokoiła wzburzone umysły. Ci i

owi z radnych zabierali jeszcze głos, ale sesya skończyła się tem, że całe zgromadzenie poprzysięgło wierność i ślepe posłuszeństwo wodzowi, on zaś zajął się natychmiast robieniem petard, aby w razie potrzeby mieć czem wysadzić bramy zamku, rozkazał też beczki z zapasami żywności przewieść nad brzeg morza pod pozorem, że naczynia te będą potrzebne na Łopatce do warzenia soli. Łopatka służyła i dalej za pretekst dla różnych wypraw, przedsiębranych w celu przysposobienia sobie zapasów żywności koniecznych na długą podróż. Żeby zaś utwierdzić władzę w mniemaniu, iż osada jest jedynym celem zabiegów wygnańczych, wysłali oni w deputacyi do gubernatora: Krustjewa i Panowa z prośbą, aby dygnitarz ten, jak również ataman i kanclerz, przyjęli tytuł protektorów nowej kolonii.

Stamtąd zwrócono się do magistratu dla wezwania jego pomocy w założeniu osady, którą na cześć gubernatora miano nazwać Niłowaja.

Deputacya przyjęta została wszędzie bardzo uprzejmie, a w kilka dni po audyencyi u naczelnika miasta odebrał Beniowski pismo z magistratu, oświad-

czające, że w nagrodę korzyści i usług które stolica obiecuje sobie odnieść z przemysłu wygnańców, przypuszcza ona do swego obywatelstwa wszystkie ich dzieci urodzone w nowej kolonii.

Bohater nasz i jego towarzysze uśmiechnęli się serdecznie z zaszczytu udzielonego przyszłemu potomstwu, komedya z Niłowajską kolonią powiodła się, jak widzimy, wyśmienicie. Delegaci magistratu najlepszy zaś na niej zrobili interes, bo odeszli udarowani hojnie przez Beniowskiego, któremu wszystko zdawało się sprzyjać, umiał on też istotnie z niezwykłą zręcznością wyzyskać każdą sposobność na korzyść swojego przedsięwzięcia, zapobiedz każdej zbierającej się chmurze z której grom mógł zdruzgotać nadzieje szczęścia.

Ale chmury zaciągały teraz coraz częściej horyzont wygnańczy, a okręt „św. Piotr i Paweł" odpływał dopiero w maju, tymczasem każda chwila groziła nowemi powikłaniami sprawy przez nieostrożność lub zdradę. Beniowski zabezpieczył się wprawdzie od Stefanowa, bo strzeżono pilnie młodzieńca, który zresztą jeszcze nie odzyskał zdrowia i większą część dnia spędził w malignie, ale związkowych było kilkudzie-

sięciu w tej liczbie jakże łatwo mógł się znów znaleźć szalony, lub co gorsza jeszcze Judasz. Takie właśnie myśli dręczyły młodego wodza, kiedy oddano mu kartkę mniemanej jego narzeczonej. W tajemniczych wyrazach żądała widzenia się z nim sam na sam dla niezmiernie ważnej sprawy.

Nie przeczuwał Beniowski żadnego niebezpieczeństwa z tej strony, spokojnie też szedł na spotkanie Afanazyi, ale na pierwszy rzut oka wyczytał z twarzy dziewczęcia taką boleść, że własne jego serce ścisnęło się wyrzutami sumienia i przerażeniem.

Był zdradzonym, Afanazya dowiedziała się o spisku od swojej garderobianej. Los kilkudziesięciu ludzi zależał teraz od dyskrecyi dwóch młodych dziewcząt, z których pierwsza miała wszelkie prawo wyrzucać Beniowskiemu nadużycie zaufania względem całej swej rodziny.

Oto jak się rzecz miała:

Garderobiana Afanazyi wyznała swej pani, jako jeden z wygnańców, nazwiskiem Kudryn, proponuje jej małżeństwo, oświadczając, że ma wkrótce opuścić Kamczatkę razem z Beniowskim i wrócić do Europy, gdzie spodziewają

się oboje doznać prawdziwego szczęścia. Afanazya ukryła się za firanką i z ust samego Kudryna usłyszała potwierdzenie zeznań garderobianej.

— Tym to sposobem — mówiła córka gubernatora — przekonałam się o mojem nieszczęściu, a pańskiej zdradzie. Nie sądź jednak, abym przychodziła tu dla czynienia ci czczych wyrzutów. Pewna, iż nigdy podobnej nie przeżyję zniewagi, odpuszczam moją krzywdę i żegnam pana po raz ostatni.

Rozstanie z narzeczonym przechodziło siły dziewczęcia. Afanazya zachwiała się i padła zemdlona na ławkę, miał więc Beniowski chwilę czasu dla opanowania pierwszego wrażenia, i zebrania myśli.

— Przypomnij sobie pani — mówił, gdy wróciła do przytomności — to com powiedział kiedyś o moim rodzie i mojem w ojczyźnie znaczeniu. Pamiętne mi są i dotąd mnie wzruszają łzy, któreś pani wylała, słuchając jakich doznałem nieszczęść. Groza mego położenia, okropny los wygnańca, może przywiódłyby mnie do szukania śmierci jako jedynego ratunku od hańbiącej tyranii niewoli, twoje współczucie, pani, twoja dla mnie przychylność, wytrąciły mi z

rąk samobójczy oręż. Gdybyś mogła zajrzeć w moje serce, ulitowałabyś się nad biednym jego stanem. Wolność, której pragnę inna jest od tej, jakiej doznaję z łaski i przez dobroć szczególną szanownego twego ojca, który, sam będąc pod obuchem czyż może kogo prawdziwą udarować swobodą? Ja chcę odzyskać wolność służenia własnej, a skrzywdzonej ojczyźnie, chcę odzyskać należne mi prawa i zaszczyty, pragnę powrócić do mego majątku i do tej możności działania, której żaden kaprys ludzki, oprócz jednego prawa, przeszkodzić nie jest w stanie. Oto szczęście, za którem się ubiegam i takie tylko szczęście mógłbym podzielić z tobą, pani. Zostać więc na Kamczatce nie mogę, chociaż chwilowo rozkuto moje więzy. Kto wie jak długo trwać będą łaski i szczodrobliwość twego ojca, kto jego następcy zabroni zastosować do mnie ukazy senatu i wtrącić znów wygnańca w tę przepaść ohydy i udręczeczenia, z której mnie na chwilę wydobyła wspaniałomyślność obecnego zarządu. Wtedy, pomyśl Afanazyo, jaką byłaby moja rozpacz, bo nie tajno ci być musi, że poczytujecie wygnańca za człowieka bez czci i wiary. Odkry-

łem ci, pani, moje serce; czytaj w niem i powiedz, czy człowiek ceniący swój honor może myśleć i działać inaczej? Nie byłbym wart twej życzliwości, gdybym w swobodnej wychowany ojczyźnie, nikczemnie kark mój poddawał pod jarzmo choćby najsłodszej niewoli. Jedno tylko zarzucić mi możesz pani, że dotąd taiłem przed tobą moje zamiary, czekałem aż dojrzeją...

— Nie to — przerwała Afanazya — było powodem twego milczenia, panie, lękałeś się raczej szczebiotliwości właściwej kobietom, ale nie znasz mnie pan jeszcze, nie wiesz, że życie gotowa jestem poświęcić za twoje szczęście, że na kraj świata pójdę ochoczo. Wtedy powiesz pan może, żem warta być uczestniczką twoich, chociażby najniebezpieczniejszych zamiarów.

Beniowski wzruszony szlachetnością i dzielnością młodej dziewczyny, przyrzekł zaufać jej odtąd zupełnie, nie ukrywać planów ucieczki, wyraził tylko obawę co do dyskrecyi garderobianej, której gadulstwo mogło narazić związkowych na największe nieszczęścia. Afanazya zaręczyła mu jednak, że pewna jest przywiązania swej sługi, że nie zdradzi za nic swojej pani, owszem

ułatwić jej może porozumienie z Beniowskim, gdyby ostrzedz go potrzebowała o nagłem niebezpieczeństwie.

Tak skończyła się ta pamiętna rozmowa, która bliższym węzłem zaufania splotła Beniowskiego z mniemaną narzeczoną, i obudziła w jego sercu nowe wyrzuty sumienia. Mógłże nie pokochać szlachetnego, oddanego sobie dziewczęcia, a jednak połączenie się na zawsze z istotą obcą religią i narodowością, było dla niego tem mniej zrozumiałe, że zostawił w Polsce wierne sobie serce, do którego tęsknić nie przestał.

Nie miał jednak czasu na rozmyślania, bo wypadki coraz szybszym zdawały się postępować tempem. Należało być przygotowanym na konieczność natychmiastowego działania. Wodzowi nie wolno zajmować się sobą, to też Beniowski otrząsnął się ze smutnych myśli i poszedł natychmiast wybadać Kudryna. Zalękniony biedak padł hrabiemu do nóg, sądził bowiem, że go nie minie kara śmierci, a tu wódz darował mu życie, pozwolił nawet zamówić na okręcie miejsce dla garderobianej, którą uwiezie z sobą do Europy.

— Musiałeś się pod szczęśliwą urodzić gwiazdą — powiedział Krustjew,

któremu Beniowski powtórzył swoją z Afanazyą rozmowę. — Teraz dopiero jestem przekonany o powodzeniu ucieczki, bo pod takim przywództwem nawet złe losy na pomyślność naszą obrócić się muszą.

I słusznie Krustjew podziwiał szczęście sprzyjające zamiarom wodza, należało tylko oddać jeszcze zasłużone pochwały jego energii i czujności.

* * *

Już 3 kwietnia, stosownie do zlecenia Beniowskiego, przesłano na umówione miejsce nowe 23 beczek żywności, przeważnie wędzonej zwierzyny, a tymczasem pod dozorem majora Windblata, solono fasy ryb, topiono i zlewano do beczki tłuszcz wielorybi. Przygotowano także beczkę gorzałki, najtrudniej tylko powiodły się starania o zakup zboża, bo było go w Kamczatce tak mało, że mimo podjętych usiłowań Windblat zdołał przysposobić tylko półtora korca żyta.

Kapitan oddany duszą i ciałem Beniowskiemu, opuścił tymczasem miasto, gdzie przebywał w czasie zimy, i przeniósł się na okręt dla przygotowania go do żeglugi, a zaraz za nim pojechał

kupiec Kuźniecow, wyprawiony przez wodza dla pilnowania marynarza, ten sam rozkaz otrzymało też i 7 wygnańców, obznajmionych z żeglugą, którzy jako majtkowie zaciągnęli się już do służby na okręcie.

Okazała się potrzeba nieustannej komunikacyi między wodzem a statkiem, miał więc Kuzniecow urządzić pocztę z kamczadalów i o postępie robót i usposobieniu załogi składać raporty.

Właśnie zwołał Beniowski sesyę, na której chciał zdać związkowym sprawę z poczynionych w ostatnich dniach przygotowań, kiedy dano mu znać o nagłem a niebezpiecznem zasłabnięciu gubernatora. Zostawia więc zebranych w mieszkaniu Krustjewa, sam zaś biegnie do zamku. Zastał całą rodzinę Niłowów tonącą we łzach z obawy o życie męża i ojca, który wił się w boleściach, sądzono, że lada chwila ducha wyzionie.

Szczęściem wiedział Beniowski, jak zapobiedz chorobie, która wypływała z przejedzenia. Zmięszał proszek aloesu z wódką i mikstura ta uzdrowiła Niłowa, który zastrzegł sobie tylko u przyszłego zięcia zapas cennego lekarstwa, ktorego często potrzebować może, a

Beniowski szczęśliwą kuracyą dodał jeszcze jeden liść do wieńca zasług, jakiemi okrył się już w Kamczatce.

Wygnańcy czekali na niego niecierpliwie, bo zbliżająca się chwila odjazdu trzymała wszystkie umysły w gorączkowem napięciu. Nie taił także wódz przed towarzyszami jak ważnych spodziewać się należy wypadków.

— Moment wyzwolenia naszego, jest już bliski — rzekł — co tylko roztropność i doświadczenie radzą wszystko to uczyniłem, żeby się nasze przedsięwzięcie udało, śmiało powiedzieć mogę, że niczego nie zaniedbałem, reszta od was towarzysze zawisła. Jeżeli kiedy to dziś potrzebna największa ostrożność w słowie i działaniu. Radzę więc najprzód, aby żaden ze związkowych sam od tej chwili nigdy nie chodził do miasta, a tembardziej, aby się nie ważył wstępować do szynków i piwiarni. Lękam się najwięcej zwad przy kieliszku z kozakami i żołnierzami garnizonu. Mała zaczepka może nas wplątać w wielkie nieszczęście, a głowa trunkiem zalana na wszystko odważać się zwykła. Żądam jeszcze po was przyjaciele, jeżeli wam wolność miła, żebyście pamiętni i wierni waszej przysiędze,

od dziś dnia ile możności nie oddalali się od naszego siedliska, żeby każdy pilnował się wyznaczonego przeze mnie komendanta, a to w tym celu, aby w razie niespodziewanie walącej się na nas burzy, odeprzeć ją było można wspólnemi siłami. Zgoła tak nam czynić należy abyśmy nic sobie do wyrzucenia nie mieli, a jeżeli zginiemy, jeżeli potężniejsza siła nas przemoże, powiedzą przynajmniej świadkowie naszych czynów, że męztwo i roztropność wygnańców lepszego godne były losu. Ale poprzysięgam wam nie zgnębi nas nieprzyjaciel, zwalczemy go owszem, abyście tylko spełniali moje rady, abyście waleczni i nieustraszeni w boju, gdy tego wypadnie potrzeba, stali zawsze gotowi na moje skinienie.

Zgodne okrzyki związkowych były odpowiedzią na mowę wodza. Przyrzekano dochować święcie zleceń jakie dawał, przyrzekano bezgraniczne posłuszeństwo jego rozkazom. Beniowski szczęśliwy zapałem spiskowców, uczęstował hojnie zebranych, suta wieczerza przeciągnęła się do czwartej rano. Jutrzejsi wojownicy, może jutrzejsze ofiary, spędzali wesoło ostatnie godziny złudzeń i cieszyli się wspólnością ce-

łów. Byli, jak raz już powtarzałam słowa poety, „jednością silni, rozumni szałem“, a miejmy nadzieję że, nam Bóg nie odmówi zwycięstwa.

Tymczasem jednak z pogodnego pozornie nieba, nowa strzeliła błyskawica, gromadziło się ich tyle, że łatwo było przewidzieć chwilę, kiedy, mimo energicznych zażegnywań dzielnego wodza, padnie piorun, co albo przyspieszy, wykonanie wielkiego zamiaru, albo zdruzgoce nadzieje biedaków stęsknionych za ojczyzną. Zaraz nazajutrz po tak wesoło zakończonej sesyi doniesiono wodzowi, że krewny atamana młody Izmaiłow podejrzywa zamiary spiskowców, wypytuje się o Beniowskiego, co zaś najgorsza, ma złość do Kudryna za to, że mu przeszkadza w pozyskaniu względów garderobianej, którą Izmaiłów chce także poślubić.

— Gadatliwość tej fertycznej sroki, naprowadziła pewnie kozaka na ślad naszego sprzysiężenia i dlatego dopytuje się o ciebie — powiedział Krustjew do Beniowskiego i radził mu iść do zamku, aby się przekonać, czy nie uczyniono tam jakiego doniesienia.

Rada była dobrą, usłuchał jej Beniowski i spostrzegł zaraz, że ataman przy-

jął go z mniejszą niż zwykle otwartością, a umyślnie tak kierował rozmowę, żeby przypomnieć hrabiemu wszystkie dobrodziejstwa otrzymane od rządu:

— Zrobił cię rząd wolnym i szczęśliwym, winieneś swą wiernością i usługami wypłacić mu się za to — mówił, a potem zapytał nagle skąd Beniowski zna Kudryna i jakie łączą go z nim stosunki? Ponieważ w mieście krążą bardzo różne o ich związku pogłoski. Trzeba było całej przytomności umysłu, jaką się odznaczał nasz bohater, aby nie stracić głowy na tak wyraźny dowód, że Izmaiłow nietylko sam wytropił ślad spisku, ale podejrzeń swoich udzielił wujowi. Beniowski potrafił jednak zachować zimną krew wobec groźnej postawy dygnitarza i zaszachować go na prędce wymyśloną historyjką.

— Widzę, że podejrzywasz mnie pan o złe względem rządu zamiary — zawołał, udając oburzenie — chciejże więc wiedzieć, jak się rzecz ma. Synowiec twój i Kudryn starają się o względy tej samej dziewczyny, ona jednak Kudrynowi daje pierwszeństwo, Izmaiłow obrażony w miłości własnej chce szkodzić wygnańcowi. Oto cały sekret zagadki, a mógłże łatwiejszą wywrzeć nad

współzawodnikiem zemstę, jak oskarżając go o przestępstwo przeciw rządowi? Pomyśl pan jednak: czyż małżeństwo z ubogą dziewczyną, ze służącą, stosownem jest dla twego synowca! Nie sądzę, abyś tego pragnął, skorzystałem więc ze sposobności oddania panu przysługi, i wywdzięczając się za otrzymane łaski namówiłem Kudryna, aby skłonił dziewczynę do wspólnej podróży i zaślubił ją w Ochocku, czem uchroni Izmailowa od niewłaściwego małżeństwa. Nie chciałem z tego szukać chluby, i byłbym zataił moją uczynność, ale pan podejrzeniem swem zmusiłeś mnie do wyznania prawdy.

Jeszcze Beniowski nie skończył mówić, kiedy ataman rzucił mu się na szyję, dziękując za wyrządzoną przysługę.

— Daruj niesprawiedliwość — wołał rozczulony — ale cóż miałem robić, od kilku dni synowiec nabijał mi nieustannie głowę spiskiem, mówił, że chcesz uciec z Kamczatki i uprowadzić z sobą więźniów politycznych, chciałem już wydać rozkaz aresztowania Kudryna, kiedy szczęśliwie twoje przybycie otwiera mi oczy na złe postępki synowca, wierzaj też że będę odtąd pilniejsze na

niego dawał baczenie, a tobie zachowam wieczną wdzięczność.

Do pomyślnego zażegnania burzy przyczyniło się jeszcze niespodziewane wejście kapitana okrętu „św. Piotra i Pawła". Beniowski skorzystał w lot z jego obecności i zapytał marynarza czy prawdą jest, jakoby Kudryn zamówił na okręcie miejsce dla siebie i dla kobiety, z którą ma jechać do Ochocka? Kapitan przyznał naturalnie, że wiadomość jest prawdziwą, a to świadectwo utwierdziło kanclerza w zaufaniu do Beniowskiego.

My wiemy jednak, że hrabia nadużył łatwowierności atamana dla uratowania siebie i wszystkich wygnańców, że uciec się znów musiał do kłamstwa, które wszędzie i zawsze wstrętnem jest każdej szlachetnej naturze. A przecie jako wódz sprzysiężenia obowiązany był bronić wszelkimi sposobami sprawy powierzonej sobie przez towarzyszy niedoli.

W przepięknym chorale Kornela Ujejskiego są słowa, które posłużyć tu mogą za najlepsze tłomaczenie postępowania naszego bohatera. „Ach, rękę karaj, nie ślepy miecz" — mówi poeta i da się to zastosować do historyi każdego sprzysiężenia za wolność.

Cóż pozostało czynić tym szlachetnym ludziom, przemocą wydartym swoim rodzinom i społeczeństwu, zmuszonym żyć w poniżeniu, w męce tęsknoty, z dala od ojczyzny, rzuconym na pastwę nędzy fizycznej i nieopisanej moralnej udręki. Człowiek rodzi się wolny, szanuje prawa, które na niego nakłada mądre i sprawiedliwe społeczeństwo, bo wie, że bez praw żaden naród istnieć nie może. Nie może jednak znosić bezprawia i ucisku, na to nie pozwala mu jego godność, ma obowiązek bronić siebie od przemocy, bronić wszelkimi sposobami, gdyż krzywda, jaką mu wyrządzono, odbierając najdroższy skarb, wolność, woła o pomstę do nieba. Szczęśliwy, kto może na polu bitwy, dobijając się o utracone dobro, bo łatwiej walczyć z bronią w ręku, niż w tajemnicy więzień i lochów robić podkopy, przepiłowywać żelazne kraty, kruszyć wżerające się w ciało kajdany. W takim położeniu podstęp musi być zwykle jedyną bronią skrzywdzonego, czyż można mieć mu za złe, że się jej chwyta byle odzyskać wolność? Byle, jak właśnie Beniowski, uratować współtowarzyszy od bezdennej niedoli.

Bóg będzie sądził w tych sprawach.

Widzieliśmy, ile męki sprawiała Beniowskiemu konieczność udawania uczuć narzeczonego względem młodego dziewczęcia, które mu ufało i oszukiwania dobrej pani Niłow, choć czuł do niej szczerą wdzięczność. Trudno nawet wyobrazić sobie okropniejsze położenie jak to, w jakie wplątały hrabiego wypadki, niemniej musiał on być ślepym mieczem i za jaką bądź cenę walczyć o pomyślną ucieczkę.

Przeciwnik, wyzwany do walki był na kim ciąży wina za to, że istoty prawe, najszlachetniéjsze częstokroć zmuszone są do kłamstwa, do oddawania złem za złe, nawet do krzywdzenia niewinnych ofiar, ginących w powikłaniach spiskowych, jak naprzykład Afanazya. tak groźny, że Beniowski musiał użyć przeciw niemu wszelkiej broni, inaczej padnie pod ciosami i zginie razem z półsetką skrzywdzonych, a ci skrzywdzeni położyli przecież w swym wodzu zaufanie. Mieliśmy sposobność poznać prawa rządzące Kamczatką i przedstawicieli tych praw. Każdy wygnaniec, bez względu na jego cnoty, rozum, wychowanie, uważany tu był za wyjętego z pod prawa i rzucony na pastwę pierwszego lepszego. Władze miejscowe za-

słonić skrzywdzonego nie mogły i mało zresztą o nich dbały. Pan Niłow w przystępie fantazyi obsypał wprawdzie Beniowskiego dowodami przyjaźni, ale w przystępie gniewu mógł jego i jego towarzyszy zakuć w kajdany i na najsroższe skazać katusze. Być oddanym na łaskę i niełaskę takich ludzi stanowiło już mękę nie do zniesienia, mękę tę zaś zdwajała jeszcze tęsknota za krajem i rodziną, niepewność jutra, życie wśród półdzikiego społeczeństwa, surowej północnej natury, wreszcie pozbawienie wszelkich środków komunikacyi z Europą.

— Mamy prawo starać się o odzyskanie wolności — mówili sobie zawsze i mówią ludzie pozbawieni jej niesłusznie za godne chwały uczucie miłości ojczyzny. Tak mówił też i Beniowski, wytężając siły, aby zręcznością i przytomnością umysłu sprostać zadaniu i zażegnać, o ile to było w jego mocy, okropne skutki wyniknąć mogące z wykrycia spisku.

Powiodło mu się raz jeszcze odwrócić burzę, wiszącą nad nim i nad jego towarzyszami, uspokoił podejrzenia dygnitarza, rozumiał jednak doskonale, że stan taki długo trwać nie może.

— Wiosny! ciepła! — wołał — jedyny bowiem ratunek widział w jaknajszybszem opuszczeniu Kamczatki. Postanowił przyspieszyć, o ile się da, chwilę ucieczki, rozumiał doskonale, że odkrycie spisku wywoła konieczność otwartego buntu, a skutek tak nierównej walki nietrudny był do przewidzenia. Nie chciał brać go na swoją odpowiedzialność, zwołał więc ogólną sesyą, a tymczasem porozumiał się jeszcze z Afanazyą. Ocalenie związkowych leżało może w jej rękach, było bowiem rzeczą niezmiernej wagi wiedzieć, czy ataman jest istotnie szczerze przekonany o prawdzie słów Beniowskiego i czy podejrzeń swoich nie udzielił gubernatorowi?

— Od twojej czujności, pani, zależy moje życie i życie towarzyszy, którzy mi zawierzyli — mówił Beniowski, błagając Afanazyą, aby zwracała baczną uwagę na wszystkie postępki ojca i ostrzegła narzeczonego o grożącem mu niebezpieczeństwie.

Zdawało się ono tak nieuniknione, że myśl bliskiej walki spędzała sen z oczu spiskowców, każdy hałas, każdy strzał, nawet szmer każdy przerażał ich, słyszeli w nim brzęk kajdan, z których ich tak niedawno rozkuto i gotowi byli

sprzedać drogo życie, albo stracić je raczej niż narazić się znów na srogie męki więzienia i pracy w kopalniach.

Takiemi ożywieni uczuciami zeszli się wszyscy związkowi na zwołaną przez Beniowskiego sesyą. Zebranie miało miejsce w tej samej izbie Krustjewa, w której przed kilku miesiącami po raz pierwszy powzięto myśl ucieczki. Nadzieja, jaka ożywiała wtedy spiskowców, nie zgasła, ale mieli w oczach wyraz ponurej determinacyi, która zdaje się prędzej przewidywać śmierć niż zwycięstwo.

Milczenie zgromadzonych nie trwało długo, przerwał je Beniowski oświadczeniem, iż nie chce taić przed towarzyszami niebezpieczeństwa, jakie uważa za bliskie. Opowiedział potem całe swe zajście z atamanem, jego podejrzenia chwilowo zażegnane, oświadczył że mimo wszelkich starań, przedsięwziętych w celu uspokojenia władz, on wódz jest moralnie przekonany o bezskuteczności tych starań. Związek będzie odkryty przed odpłynięciem okrętu, a w odwadze wszystkich spoczywa teraz jedyna nadzieja ratunku.

— Mówię do was szczerze — zawołał w uniesieniu wódz — bo nie widzę tu

żadnego nikczemnika, któryby krew swoją, życie nawet nad wolność przekładał. Jedna chwila swobody milsza jest dla szlachetnego człowieka nad wiek cały w jarzmie spędzony, dotrzymajcie tylko swego przyrzeczenia, a i wolność odzyskamy i życia nie stracimy. Mam przygotowany projekt działania, za którego skutek ręczę, byleście go tylko dzielnie poparli.

Chciał dalej mówić, ale przerwał mu ogólny okrzyk:

— Wierzymy ci, liczymy tylko na ciebie! Użyj jakich chcesz środków, my ślepe przysięgamy ci posłuszeństwo! pójdziemy w ogień pod twoim przywództwem! — wołano.

Rozczulony gorącymi objawami zaufania, zabrał znów głos i mówił, że bezskuteczny byłby opór słabych sił wygnańczych, gdyby walczyć miano pod miastem, że więc na pierwsze doniesienie o odkryciu spisku, należy cofać się wszystkim nad brzeg i opanować latarnię morską, obwarowaną przez cztery armaty. Łatwo będzie utrzymać się w tej reducie, póki na dany znak Kuzniecow z Kudrynem nie podpłyną tak, aby można po lodach dopaść na okręt.

Rada Beniowskiego podobała się związ-

kowym, natychmiast więc za zgodą obecnych, ułożył odpowiednią instrukcję dla Kuzniecowa i posłał ją bezzwłocznie na statek, sam zaś zalecił Panowowi rozdanie pieniędzy między związkowych aby zakupili proch we wszystkich prywatnych sklepach a nawet i w rządowym magazynie, jeśli się to da zrobić z zachowaniem wszelkich ostrożnożności. Zapas amunicyi koniecznie był potrzebny, wiedział bowiem Beniowski, że w okopach przy latarni morskiej prochu zaledwie na sześć wystrzałów starczyć może.

Takie poczyniwszy rozporządzenia, pożegnał wódz towarzyszy. Rozchodzili się z tem przekonaniem, że zbiorą się znów pod jego komendą, ale tym razem już z bronią w ręku. Bliska przyszłość rozstrzygnąć miała o losie naszego bohatera, co zaś ważniejsze jeszcze o losie przedsięwzięcia, które było dziełem jego niespożytej energii i odwagi.

ROZDZIAŁ V.

Bywa tak często, że przed wybuchnięciem burzy nastaje chwila ciszy, i po-

zwala cieszyć się odpoczynkiem tym, których znużył mozół pracy. Znużonymi czuli się słusznie wygnańcy, nietyle fizycznie, choć własnemi rękami zdobywali chleb, więcej moralnie, żyjąc w ciągłej męce oczekiwania na rozstrzygające wypadki.

Po zebraniu w izbie Krustjewa wypadki te zdawały się bardzo bliskiemi.

— Może nazajutrz, może dziś jeszcze przyjdzie bronić życia i wolności - mówili sobie spiskowcy, a tymczasem dni następne przyniosły im względny spokój i sam Krustjew, chociaż rozważny i przewidujący cieszył wodza zapewnieniem, że wszystkie jego rozporządzenia jak najpomyślniej wypełniono i że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, niczego lękać się nie trzeba.

Niestety, poznał niedługo jak bardzo był w błędzie. Beniowski chory od kilku dni nie opuszczał pokoju i liczył niecierpliwie każdą upływającą dobę.

Było już 22 kwietnia, wedle rosyjskiego kalendarza, a więc maj w Europie, cudny miesiąc maj. Bzy i narcyzy nie kwitną wprawdzie na Kamczatce, ale stęskniony wygnaniec przenosił się myślą do tych szczęśliwych krain, gdzie pierwszy powiew wiosny

oddawna powołał kwiaty do życia, gdzie lasy woniały zapachem czeremchy i świeżych pędów sosnowych, a na pokrytych białemi puchami łąkach przygrywali pastuszkowie do wtoru słowikom i skowronkom.

Tu u krańców północy było inaczej, ale i tu nawet odczuć się dawał lekki powiew wiosny, a ten dobroczynny ciepły powiew spędzał śniegi ze wzgórz, topił bryły, przyśpieszał oczyszczenie morza z lodów, zbliżał więc nadzieję ucieczki na okręcie. Nadzieja zaś to czarodziejka, która ozłocić zdolna najsmutniejszy krajobraz, nie dziw więc, że nasz bohater dał się porwać jej urokowi i on, więzień, marzył o maju swobody.

Marzenie przerwał mu Krustjew.

Wszedł wzburzony i blady a przynosił wiadomość, że Izmaiłow poprzysiągł zemstę Beniowskiemu, poruszył niebo i ziemię, aby mu dowieść zdradę i w tym celu wyśledził zabójstwo Leontjewa, jeździł też umyślnie z atamanem w głąb półwyspu, aby się upewnić o pobudkach tego zabójstwa i zebrał, jak twierdzono, wszystkie dowody uknutego przez wygnańców spisku.

Padł grom, którego oczekiwano od

dawna, a padł w złej chwili, Beniowski, osłabiony kilkodniowem cierpieniem, ogarnął wprawdzie umysłem całą okropność położenia, ale radzić nań nie widział na razie sposobu. Otrząsnął się jednak wkrótce z niezwykłej mu apatyi i rozkazawszy natychmiast zwołać wszystkich spiskowców sam rozdał im broń, oraz ładunki, polecając, aby byli gotowi na każde zawołanie. Rozstawił także warty dokoła osady wygnańczej, bo nadchodził wieczór i należało zachować ostrożność.

Ale noc z 22-go na 23-i zeszła spokojnie i wódz zaczął już przypuszczać, że może zawcześnie alarmował towarzyszy, kiedy oddano mu kartkę od Afanazyi.

— Ojciec mój gniewa się, a matka tonie we łzach — pisała biedna dziewczyna — pewnie więc nie zobaczę pana więcej, bądź co bądź jednak obiecuję ostrzedz, gdyby groziło wam jakie niebezpieczeństwo. Pamiętaj — kończyła, a ślady łez na papierze świadczyły jak była wzruszoną — pamiętaj, kiedy już zmuszony będziesz użyć siły, zaklinam cię szanuj i oszczędzaj życie mojego ojca i nie narażaj dni własnych.

Ostrzeżenie nie zostawiało wątpliwo-

ści co do zamiarów władzy, kazał więc Beniowski zawiesić latarnią na wysokiej żerdzi, co miało być hasłem dla spiskowców i znakiem, gdzie powinni się zebrać, kazał też rozrzucić most na fosie otaczającej osadę wygnańców a natomiast założyć przez rów wązką kładkę, po której tylko jedna osoba przejść mogła. Wypadki jednak zdawały się zadawać kłam wszelkim przewidywaniom wodza, nikt nie zamącał spokoju panującego w osadzie, dopiero 25-go rano zjawiła się na kładce garderobiana Afanazyi z czerwoną wstążką w ręku. Czerwona wstążka był to znak umówiony, znak ostrzegający o nagłem i nieuniknionem niebezpieczeństwie!

— Starsza pani i panienka płaczą, bo pan wybił je ze złości — mówiła garderobiana, także bliska płaczu. — Jeszcze nie zdołano jej uspokoić, kiedy wszedł sierżant i oświadczył, że gubernator prosi Beniowskiego na śniadanie.

— Chory jestem, nie mogę pośpieszyć dziś na wezwanie, jutro, jeśli tylko wrócą mi siły, będę miał honor zgłosić się sam do zamku — odpowiedział hrabia, ale jego odmowa wywołała gniew i pogróżki sierżanta. Odprawiony z kwitkiem nie wrócił więcej, za to około po-

łudnia sam ataman zjawił się u naszego bohatera i udając dobrodusznego zaczął go namawiać, aby poszedł z nim do fortecy.

— Jestem twoim przyjacielem — dodał—powiem ci więc szczerze, że mnie i gubernatorowi chodzi o dowiedzenie jak fałszywymi są zarzuty kanclerza. Nie obawiaj się żadnego podstępu, zresztą masz w nas oddanych sobie ludzi, śpiesz dowieść swej niewinności — nalegał ataman.

— Więc kiedy nie chcesz to gwałtem zawlec cię tam rozkażę! — krzyknął, widząc, że Beniowski obojętnie słucha jego przedstawień. Wpadło kilku żołnierzy, żeby porwać hrabiego, ale uprzedzili ich wygnańcy.

— Związać żołnierzy i zaprowadzić do piwnicy, ataman zostaje moim jeńcem wojennym! — zawołał wódz.

Któż opisze zdziwienie i rozpacz kozaka na ten tak niespodziewany obrót rzeczy. Stracił odrazu fantazyę i prosił tylko o pozwolenie wysłania listu do gubernatora, a sam uważał się odtąd za zakładnika.

Tak rozpoczęte zostały kroki nieprzyjacielskie między dwoma wojującemi stronami, nieporozumienie zaostrzyło się

jeszcze, kiedy podjazd wysłany przez Beniowskiego przyprowadził trzech znakomitych jeńców: Izmaiłowa, sekretarza kancelaryi Sudejkina, oraz Taja, sprowadzonego do zamku dla świadczenia w sprawie Leontjewa.

— Co się tymczasem działo w zamku?—myślał Beniowski, pragnął przeniknąć zamiary nieprzyjaciela a niepokoił go przytem los pani Niłow i Afanazyi. Wierzył, że obie zachowają mu życzliwość i odebrał wkrótce dowód wierności od niedoszłej swej narzeczonej, bo 26-go przysłała dwie czerwone wstążki na znak zwiększającego się niebezpieczeństwa.

— Niech Windblat, Panow i Bielski staną na czele swych oddziałów! nie mamy chwili czasu do stracenia! — zakomenderował Beniowski, który ufał Afanazyi i spodziewał się ataku.

Cała siła zbrojna wygnańców wynosiła 57 osób, reszta znajdowała się na okręcie z Kuźniecowem. Dał mu wprawdzie Krustjew rozkaz, aby co prędzej przybywał na pomoc, ale pomoc ta mogła zawieść, rozstawił więc Beniowski trzy oddziały dokoła swego mieszkania, a ukrył czwartą wewnątrz, sądził bowiem słusznie, że pierwszy impet na-

tarcia wymierzony będzie przeciw jego osobie. Jakoż o 5-tej z wieczora zatrzymał się przed domem Krustjewa kapral z czteryma grenadyerami, żądając w imię Imperatorowej, aby mu otworzono bramę.

— Kłamiesz, Imperatorowa nie zaszczyca swemi rozkazami takich jak ty mużyków — zawołał Beniowski i dodał, że gotów rozmówić się z przybyłym ale w mieszkaniu, gdzie posła poczęstuje wódką i odda mu ważne papiery dla gubernatora.

Kapral dał się skusić traktamentem, zaledwie jednak przestąpił próg bramy obskoczyło go czterech, ukrytych za drzwiami wygnańców i zagroziwszy pistoletem zaprowadziło do pokoju wodza, który pragnął dowiedzieć się od jeńca o zamiarach gubernatora. Potem, także pod pozorem poczęstunku, zwabiono pozostałych przed bramą grenadyerów i związawszy ich, zamknięto w piwnicy.

Po tych przedwstępnych krokach do dziewiątej zapanowała cisza, tłukły się tylko serca wygnańców chodzących na warcie, bo od ich czujności zależało ocalenie wodza, którego sława rosła w miarę jak szczęśliwemi rozporządzeniami przymnażał zakładników.

Rozumiano jednak, że dotychczasowe zapasy były igraszką i że niedaleką jest chwila prawdziwego boju, jakoż straże spostrzegły korpus żołnierzy maszerujący z armatami wprost na osadę wygnańczą.

Właśnie Beniowski chwycił szpadę, żeby stanąć na czele swego wojska, kiedy dopędził go Stefanow, blady i wynędzniały chorobą spieszył wziąć udział w bitwie.

— Pragnę żyć z tobą i z tobą umierać wodzu! — zawołał słysząc, że oficer wzywa Beniowskiego do poddania.

— Możemy kapitulować, wprzód jednak z blizka pomówimy o warunkach kapitulacyi — odparł wódz. Przypuścił kolumnę nieprzyjacielską na 15 kroków i dał swoim znak do ataku.

Wymierzyć, wypalić, a potem wsiąść na karki było dziełem jednej chwili.— Tak biją się ludzie, walczący o wolność! — myślał z dumą Beniowski. Porównywał śmiałość natarcia swoich towarzyszy z obojętnością i brakiem zapału żołnierzy, którzy nietylko że tył podali, ale nawet armaty zostawili na placu.

— Rejterują ku lasowi zamiast osłaniać fortecę—zawołał na swoich Beniowski. — Korzystajmy z ich niedołęstwa,

za mną bracia, opanować działa i naprzód!

Zrozumiano myśl wodza, zagarnięto w mgnieniu oka wszystkie armaty.

— Wystrzelić dla postrachu—brzmiał nowy rozkaz.

Działa wypaliły, zawrócono je, i pomaszerowano w stronę fortecy. Szyldwach, stojący na warcie przy zwodzonym moście słyszał tentent lawet ale myślał, że to wraca korpus, wysłany przeciw Beniowskiemu.

— A czy prowadzicie z sobą jeńców? —zapytał dobroduszny żołnierz.

— Prowadzimy — zawołał Beniowski i ledwie zdążono spuścić most, wpadł na niego z całym oddziałem.

Dwunastu grenadyerów, pilnujących bramy zginęło w pierwszem starciu. Na rozkaz wodza podniesiono most i obsadzono go strażą, reszta zaś oddziału wpadła do fortecy, rewidując koszary i bastyony, na szczęście opróżnione w większej części. Beniowski upojowy łatwem zwycięstwem, myślał tymczasem tylko o ocaleniu rodziny gubernatora. Zastał panią Niłow otoczoną dziećmi, łamała ręce z rozpaczy nad losem męża, bo zamknął się on w swym gabinecie i nie dopuszczał nikogo do siebie.

— Ocal go! — wołała do Beniowskiego — ocal ojca moich dzieci! — powtarzała, łkając.

Ale ocalić nie było łatwo. Gubernator zmiękczyć się nie dał prośbami żony, ani zaklęciom hrabiego. Chciano, aby pozostał z rodziną zamiast bronić się w gabinecie.

— Zostanę, tylko wprzód tobie życie odbiorę—zawołał rozwścieczony i ugodził Beniowskiego w rękę, Ale choć ranny i oblany krwią nie przestał nasz bohater błagać ojca Afanazyi o zaniechanie bezskutecznego oporu. Daremne były jednak perswazye wodza, daremne łzy leżącej u nóg ojca rodziny, Niłow jak wściekły rzucił się na Beniowskiego, chwycił go za gardło i byłby zdusił w rękach, bo hrabia, choć uzbrojony nie chciał korzystać ze szpady, kiedy Panow wyłamał drzwi gabinetu i widząc niebezpieczeństwo wodza, wystrzałem z pistoletu położył trupem gubernatora, Beniowski nie zdążył zapobiedz nieszczęściu, był w rozpaczy, widok mdlejącej pani Niłow, widok sierot oblewających łzami zwłoki ojca, przyprawiał go o szaleństwo i to w chwili kiedy, jako wódz, musiał użyć wszystkich sił dla opanowania fortecy, a właśnie gęstsze strza-

ły na podwórzu zamkowem świadczyły o wznowionej walce.

— Ustąp stąd, Maurycy, twoje miejsce na czele naszych, ja odpowiadam za życie tych kobiet! — zawołał Panow.

Zmuszony przez Panowa znalazł się więc znów Beniowski wśród walczących.

— Nasi otaczają koszary, żeby opanować żołnierzy — woła w pośpiechu walki jeden z wygnańców — spiesz wodzu na ratunek tym nieszczęśliwym.

Myśl, że ocalić zdoła ofiary pogromu przyniosła Beniowskiemu ulgę, zaledwie jednak zdążył zająć się losem jeńców, usłyszał okrzyk szyldwacha, że nieprzyjaciel idzie do szturmu.

Było to prawdą, kozacy przypuścili atak na palisady, szczęściem drabiny, które przywlekli z sobą, okazały się za krótkie, a Beniowski potrafił już tymczasem ustawić armaty na wałach.

Sypnął siekańcami raz i drugi i strzały rozproszyły natychmiast nacierających.

Tak niespodziewane powodzenie zadziwiło samego wodza, chociaż jego to energii i przedsiębierczości zawdzięczano odniesione tryumfy. Rozumieli jednak spiskowcy, że tryumfy były dopiero początkiem krwawej rozprawy z

przeważającemi siłami załogi. Cofnęła się ona, gdyż noc utrudniała atak, mogła przecież wrócić o świcie, należało więc wyzyskać chwilowe przerwanie walki. Wódz wydał rozkazy i niestrudzeni związkowcy zajęli się natychmiast naprawą wałów, zataczaniem na nie armat, przygotowaniem amunicyi. Uprzątnięto dziedziniec, porozstawiano nowe warty, słowem zapanował w fortecy taki porządek, jakgdyby wygnańcy byli oddawna jej panami.

Na podwórzu zamkowem było względnie spokojnie, za to walka wrzała w sercu wodza. Rozgorączkowany bitwą, ranny, dręczony obawą o dalszy przebieg wypadków, które w tak nagłym postępowały tempie, cierpiał Beniowski nad śmiercią gubernatora i losem jego rodziny, bo wyrzucał sobie jej nieszczęście.

Bał się narzucać osieroconym, a jednak pragnął ich widzieć i przebłagać. Krustjew więc wziął na siebie pośrednictwo między wodzem a rodziną gubernatora i on to wprowadził hrabiego do pani Niłow. Leżała w łóżku, bo była bardzo osłabiona, ale przystała na widzenie się z Beniowskim.

Padł jej do nóg, błagał o przebacze-

nie winy w wyrazach pełnych czci i przywiązania. Brał ją na świadka, że nie jest winien śmierci męża, że chcąc mu ocalić życie pierwszy, z narażeniem własnego, pragnął uprowadzić, że wreszcie ciężko ranny w rękę byłby zginął, gdyby nie niespodziewana pomoc Panowa.

Pani Niłow milczała, boleść biednej kobiety doprowadzała Beniowskiego do tem większej rozpaczy, że wdowa nie czyniła mu żadnych wyrzutów, prosiła tylko o zdjęcie warty, którą Panow postawił przy drzwiach, bo pragnęła widzieć dzieci.

— Wartę postawiono dla twego bezpieczeństwa, pani! Jesteś w swoim domu i możesz się w nim rozporządzać wedle woli — zawołał Beniowski ponawiając zapewnienia swej niewinności i w obawie, aby nie być natrętnym, wybiegł co prędzej na podwórze.

Czekały go tu bardzo ważne wiadomości. Ataman, który potrafił uwolnić się już z więzów, zgromadził wszystkie siły, to jest siedmiuset do ośmiuset ludzi, obsadził nimi wzgórza, otaczające fortecę, i zagroził zbuntowanym, że głodem zmusi ich do poddania. Nie dość na tem, wedle przyniesionego raportu, wszyscy mężczyźni wyruszyli już z mia-

sta i uzbrojeni łączą się z atamanem, w Petropawłowsku zostały tylko kobiety i dzieci.

Nagłość niebezpieczeństwa podziałała zbawiennie na Beniowskiego. Odzyskał w jednej chwili energię, zrozumiał, że co bądź się stało obowiązkiem jego było spełnić powinność wodza. Im mniejszemi rozporządzał siłami tem bardziej pragnął dać przykład światu, z jakiem poświęceniem kruszy więzień kajdany, nałożone mu w walce za ojczyznę. Obudził się w nim konfederat barski, Sodalis Marianus, któiy ufny w pomoc Maryi rozpoczynał śmiało bój z przeważającą potęgą. Należało przedsięwziąć stanowcze kroki, nie dać się uwieść złudzeniom, że zdobycie fortecy decyduje o zwycięstwie, wyzyskać postrach, jaki rzuciły na mieszkańców pierwsze powodzenia spiskowców, dopiąć celu, opanować okręt i zdobyć tę wolność, za którą popłynęło już krwi niemało.

Zrozumiał Beniowski, że nie ma ani chwili do stracenia, że trzeba mu natychmiastową powziąć decyzyą i wymyślić heroiczny środek zapobieżenia nierównej walce. Miał pod swymi rozkazami niespełna 60 ludzi, gdy ataman, nie licząc ochotników Petropawłowskich,

rozporządzał więcej niż dziesięćkroć liczniejszą siłą.

Zwołał radę, żądał zdania wybitniejszych jej członków, przedstawił, że wystarczy kilkunastu godzin, aby otoczyć fortecę, a wtedy oni będą zmuszeni albo paść co do jednego z bronią w ręku, albo poddać się na łaskę i niełaskę. Żądał rady, ale rady tej żaden z zebranych nie umiał znaleść.

— Zróbcie więc to co ja uważam za jedyny sposób ratunku — zawołał wódz. —Trzeba natychmiast opanować miasto. Korzystając z nocy spędźcie kobiety i dzieci do cerkwi, obłóżcie z zewnątrz cerkiew chrustem i łuczywem. Zagrożę spaleniem ofiar w kościele, jeśli mężowie ich i ojcowie nie złożą broni. Ciężki to sposób, ale groźba poskutkuje.

Zgromadzenie uznało ten pomysł i Panow podjął się go wykonać. Obrotność i energia Beniowskiego tem więcej była godną uznania, że cierpiał od rany, której dotąd nie opatrzył. Kula utkwiła głęboko w dłoni, a należało wyjąć ją natychmiast, ręka spuchła pod skorupą skrzepłej krwi i trzeba doprawdy podziwiać szlachetną obojętność na cierpienie, z jaką bohater nasz wspomina mimochodem o rozgrzewaniu przy

ogniu zamarzłej na mrozie dłoni, i o tem, jak osłabiony upływem krwi, przy operacyi zrobionej przez felczera, przeniesiony został do lazaretu.

Daleko więcej boli go los towarzyszy broni, z których dziewięciu poległo na placu a siedmiu było rannych. Straty przeciwnika nie dały się łatwo obliczyć, gdyż zabitych powrzucano do fosy, musiały jednak być bardzo znaczne, samych bowiem ciężko rannych żołnierzy leżało pięćdziesięciu w lazarecie. Zadbać o tych nieszczęśliwych, zaopatrzyć we wszystko co mogło ulżyć ich losowi, oto na czem spędził Beniowski pierwsze chwile po operacyi. Kazał się potem przenieść do kancelaryi. Tam, w tym samym pokoju, w którym jako więzień wygnaniec tylokrotnie przebywał, oczekiwał teraz szarpany niepokojem na powrót Panowa.

Od powodzenia jego wyprawy, od sprawności w wykonaniu rozkazów wodza zależały losy spiskowców, łatwo więc sobie wyobrazić, z jaką gorączką oczekiwał hrabia powrotu towarzysza broni. Była jeszcze noc kiedy przybył on nareszcie, i doniósł, że udało mu się roznieść popłoch wśród mieszkańców miasta, spędzić do cerkwi więcej niż tysiąc

kobiet i dzieci, a cerkiew obłożyć materyałem palnym.

— Cerkiew może jednej chwili pójść z dymem — raportował Panow — bo towarzysze nasi znoszą tam jeszcze wszystkie krzesła, beczki, stoły, które się im uda pochwycić w mieście. Błagały mnie kobiety abym im pozwolił wysłać deputacyę do mężów i ojców, kozacy złożą niezawodnie broń, gdyby nawet opierać się chcieli, zmuszą ich do tego cywilni, a zresztą sami przecież mają żony i dzieci między uwięzionemi.

Należało teraz dokończyć szczęśliwie rozpoczętego dzieła, korzystać z przestrachu wywołanego w Petropawłowsku. Podyktował więc Beniowski Panowowi list do nieprzyjacielskiego obozu.

„Nie tajno nam jest — pisał — że chcecie nas otoczyć i głodem zmusić do poddania, ale zapomnieliście, że w naszej mocy zostaje skarb wasz najdroższy: matki, żony i dzieci wasze. Jeśli więc trwacie w zamiarze zgubienia nas, staniecie się rozmyślnymi katami waszych rodzin, a krew ich niewinna wołać będzie o pomstę przeciw wam.

„Wzdrygacie się na podobną zbrodnię, macie więc dwie propozycye do wyboru, decydujcie którą wybierzecie:

„Albo wypuścicie na wolność czterech naszych towarzyszy, uwięzionych przy oswobodzeniu atamana, i bezbronni staniecie pod fortecą abyśmy z pośród was dowolnie zakładników wybrać mogli, albo w przeciwnym razie cerkiew podpalimy i stanie się ona grobem waszych żon, waszych dzieci i matek.

„Wysyłamy to pismo punkt o godzinie dziesiątej, jeżeli przed jedenastą nie dacie odpowiedzi groźba nasza będzie spełnioną."

Deklaracyę powyższą podpisało kilku przedniejszych związkowych, poczem zaniesiono do atamana przez deputacyą złożoną z czterech kobiet i dwanaście dzieci.

Beniowski postawił wszystko na kartę, a mógłże, w razie odmowy atamana, nie wyobrazić sobie okropności następstw tej odmowy? Trawiony gorączką bólu rany i gorączką udręczenia duszy, liczył niecierpliwie minutę za minutą. Nadchodziła fatalna godzina, w której los wszystkich ofiar miał być rozstrzygnięty. Wybiła nareszcie jedenasta a z obozu nie dawano żadnej wiadomości?

Jeszcze chwila i jeszcze chwila, nakoniec niepodobna czekać dłużej! Beniowski rozkazuje na postrach zapalić

stos drzewa ułożony opodal cerkwi. Krew ścina mu się w żyłach na widok słupów dymu bijących wysoko w górę, bo nuż ogień ogarnie cerkiew? Straszne są prawa walki, straszna odpowiedzialność tych, którzy uciskiem i przemocą doprowadzają swe ofiary do rozpaczy!

— Na górach widać mnóstwo ludzi! mnóstwo białych chustek wywieszono na dzidach — woła goniec przysłany z miasta. Wywieszenie białej chustki przez nieprzyjaciela oznacza przerwanie kroków wojennych, chęć układów, a tego właśnie pragnął Beniowski.

Zgasły natychmiast czerwone języki płomieni, które pokazywać się zaczynały na stosach, a do wałów fortecy dopadło bez tchu 50 kozaków donosząc o zaniechaniu dalszych nieprzyjacielskich kroków.

Deklaracya Beniowskiego odniosła więc pożądany skutek chociaż w pierwszej chwili wywołała oburzenie i wściekłość atamana, chciał biedz do miasta, aby oswobodzić uwięzionych, ale wstrzymały go błagania kobiet i dzieci przysłanych w deputacyi.

— Zamiast pomocy zgubę im tylko gotujesz! bo cerkiew spłonie nim dopaść do niej zdołacie—wołano ze wszyst-

kich stron, gdy zaś ataman trwał w uporze, a płomienie dały znać, że niebezpieczeństwo staje się nieuniknionem, powstała trudna do opisania wrzawa między kozakami, wojsko uwięziło wreszcie opornego dowódcę i dobrowolnie złożyło broń.

Stało się więc wszystko wedle przewidywań Beniowskiego. Wzniósł on serce i oczy do Boga, żeby podziękować Stwórcy za dobre natchnienie, za ocalenie niewinnych istot, a potem wydał dalsze rozporządzenia. Upoważniony przez wodza Panow spieszył wybrać z szeregów nieprzyjacielskich co najprzedniejszych zakładników, i wraz z całym zapasem broni odesłał ich do fortecy, pozostałym zaś pozwolił udać się do cerkwi dla uwolnienia tam żon i dzieci.

Bezpieczeństwo wygnańców było więc teraz zupełne, gwarantowało go pięćdziesięciu najznakomitszych jeńców, wybranych z pomiędzy obywateli miasta, gwarantowała obecność atamana i kanclerza, dla których naznaczono kazamaty na mieszkanie. Należało tylko poczynić jeszcze rozporządzenia co do wyjazdu z Kamczatki i zastąpić chwilowo brak wszelkich władz na półwyspie, bo po śmierci gubernatora i uwię-

zieniu dwóch najznakomitszych jego pomocników, zapanowało tu zupełne bezkrólewie.

Znów więc Beniowski, choć osłabiony i zgorączkowany, musiał wziąć w swoje ręce kierunek bieżących spraw.

Wysłał przedewszystkiem Krustjewa do Kuźniecowa, aby z jego pomocą, i z pomocą spiskowców znajdujących się już na statku, opanować okręt śś. Piotra i Pawła, a sądził słusznie po życzliwem dla siebie usposobieniu kapitana, że nie będzie stawiał przeszkód jego zamiarom.

Co zaś ważniejsza jeszcze kazał wódz spalić wszystkie pozostałe w porcie statki, aby uniemożliwić pościg, gdyby, po wyjeździe wygnańców, miał kto zamiar gonić za nimi na morze. Bielski otrzymał zlecenie zrewidowania magazynów i skarbca publicznego oraz spisania inwentarza ze znalezionych tam przedmiotów.

Wintblatowi powierzył Beniowski departament wojenny, najważniejszy ze wszystkich, pokąd kilkudziesięciu wygnańców musiało trzymać w szachu całą załogę i wszystkich mieszkańców Petropawłowska, Panowowi oddano staranie o najwspanialsze, o ile się tylko da-

ło, pogrzebanie zwłok gubernatora i poległych w walce.

Jakoż już 28-go, gdy wszystko do smutnego obrządku było przygotowane, odebrała pani Niłow zawiadomienie, że czekają tylko na jej przybycie do cerkwi, żeby rozpocząć nabożeństwo. Przytomne na nim było całe miasto, okoliczne wioski, słowem pochowano biednego gubernatora z możliwie największą okazałością.

Wódz, przyszły żeglarz i kierownik wyprawy na dalekie, nieznane morza, leżał tymczasem w malignie. Rana się zaogniła, ogólny stan zapalny odebrał mu przytomność, tak, że felczer uznał konieczność puszczenia krwi, i środek ten jeszcze trzy razy powtórzył. To też choć chory wrócił do samopoznania, nie mógł dla braku sił podnieść się z łóżka, a tu czas naglił, słońce majowe przygrzewało coraz silniej, należało czynić przygotowania do podróży. Rodzina gubernatora wyjechała już także z zamku. Pani Niłow, żegnając Windblata, zapytywała troskliwie o zdrowie hrabiego i zapewniała, że prawda wyznać jej każe, jako w żaden sposób winić nie może Beniowskiego za swoje nieszczęście, zdumiewała się bowiem, widząc,

jak raniony przez jej męża, z narażeniem własnego życia chciał ocalić życie gubernatora. Wielki dramat Kamczacki zbliżał się zatem do końca, a właśnie Krustjew opanował już był okręt, a Bielski skończył spisywać inwentarz. Beniowski czuł się też zdrowszym, zwołał więc radę, złożoną z przedniejszych oficerów związku, na której podziękował towarzyszom za ich odwagę i posłuszeństwo. Potem zlecił, aby zbito tratwy potrzebne do przewiezienia artylerji i amunicji fortecznej a także archiwum kancelaryjnego, które postanowił zabrać z sobą.

Nie zapominano też i o pakach z futrami, znalazł je Bielski w magazynie i zaraz na okręt odesłać kazał, stanowić one miały jedyny majątek wygnańców w ich do Europy powrocie.

A należało przyśpieszać powrót, — zdobywcy fortecy, upojeni tryumfami, niełatwo dawali sobą powodować, tem więcej, że coraz liczniej zgłaszali się ochotnicy do wspólnej podróży. Domagał się tego zwłaszcza, znany nam już krewny kanclerza Izmaiłow, który potrafił zjednać sobie życzliwość spiskowców, co wielce nie dogadzało Beniowskiemu. Bał się on słusznie, aby awan-

turnik nie przyczynił mu kłopotu w czasie podróży, i swoim przykładem nie wpłynął źle na Stefanowa, bo ten szaleniec, mimo okazanego męstwa był jak dawniej strasznie lekkomyślny.

Wygotowano nareszcie tratwy, przezorny wódz kazał najprzód przewieźć na okręt wszystkich trzydziestu zakładników, strzeżenie ich w mieście, wśród nienawistnych sobie mieszkańców, mogło narazić spiskowców na niebezpieczeństwa. Tratwy wróciły niezadługo do pustego portu, po którym pływały tylko szczątki spalonych okrętów. Teraz naładowano na nie sześćdziesiąt fasek z różnymi zapasami żywności i towarami znalezionymi w magazynach publicznych, najkosztowniejsze zaś z tych towarów, jak jedwab, atłas, kitajki, oraz całą monetę ze skarbca, rozdał Beniowski między związkowych.

Tak nadszedł 6 maja 1771 roku. Archirej odprawił w cerkwi uroczyste nabożeństwo za pomyślność podróży, poczem nastąpiła wspaniała biesiada, którą wódz przed odpłynięciem z Kamczatki raczył najznakomitszych jej mieszkańców, wymógłszy wprzód od magistratu i wojskowych przysięgę, że nie będą stawiali przeszkód jego wyjazdowi.

Pragnęły go obie strony, zarówno Beniowski jak mieszkańcy Petropawłoska, to też ze wspólnem ukontentowaniem wyruszyli nareszcie związkowi nad brzeg morza, gdzie przyjęci zostali radosnymi okrzykami Kuźniecowa i Kudryna, czekali oni na nich w zatoce utworzonej przez ujście tej samej rzeki Wielkiej, po której żeglował już Beniowski za swojem do Kamczatki przybyciem.

Okręt jednak nie był jeszcze gotowy, chociaż związkowi pracowali ochoczo przy masztach. Na rozkaz Beniowskiego dodano im do pomocy 100 kozaków, Kudryn był zdania, że mimo tak znacznego wysiłku i trudu, statek dopiero jedenastego maja będzie mógł wypłynąć z portu.

Ostatnie dni pobytu na lądzie przyniosły Beniowskiemu nie mało jeszcze kłopotów, musiał przyjmować coraz nowe deputacye od mieszkańców pragnących zawiązać z nim stosunki handlowe, zaciągać się w poczet załogi nowych ochotników. Oddano mu też memoryał trzydziestu kobiet, które zanosiły do wodza prośbę o zabranie ich na okręt, ale Beniowski, prawdziwy rycerz bez trwogi, przeląkł się jednak tak znacznej liczby niewiast, bo przewidywał, że

będą niepotrzebnym ciężarem na statku, odpowiedział więc obietnicą przysłania po nie natychmiast po wylądowaniu na jakiejkolwiek wyspie, a tylko ulegając prośbom związkowych, dla dziesięciu polecił przygotować miejsce na statku.

Dzień 9 maja zeszedł na ostatecznem ładowaniu okrętu, i zaopatrzeniu go w solone mięso niedźwiedzie; 10-go odesłano na ląd zakładników, jako już niepotrzebnych, a oczekiwanych niecierpliwie w Petropawłosku. Jedenastego rano wsiadł nareszcie Beniowski do czekającej na niego bajdary i wyruszył objąć dowództwo okrętu. Załoga przyjęła wodza z należnymi mu honorami, a z chwilą gdy stanął na statku wywieszono z masztu banderę konfederacyi barskiej. Pod znakiem wolności wypłynęli w świat jej obrońcy.

Serce Beniowskiego i towarzyszących mu Polaków biły słuszną dumą na widok białego orła, który unosił się po raz pierwszy nad wodami Oceanu Spokojnego, świadczył po raz tysiączny, że ten symbol miłości ojczyzny, będzie po wszystkie czasy zagrzewał serca Polaków do czynów szlachetnego męstwa.

Pod banderą okrętu Ś-go Piotra i Pawła tulili się nie tylko rozbitki konfe-

deracyi barskiej, wiemy, że dzięki Beniowskiemu, wielu rosyan wysłanych na wygnanie, odzyskiwali także swobodę. Byliby lata całe żyli w udręczeniu tęsknoty w poniewierce wygnańczej, szlachetność młodego bohatera kazała mu wyciągnąć rękę do współtowarzyszy niedoli i ratować na równi z rodakami. Zobaczymy z dalszego ciągu tego opowiadania, ile gorżkich chwil zgotowali mu ci sami towarzysze, dla których tylokrotnie własne narażał życie. Myliłby się bowiem ten ktoby sądził, że razem z odbiciem od smutnych brzegów wygnania skończyły się udręczenia Beniowskiego. Komendant statku, którego załogę nie fachowi stanowili marynarze, tylko ludzie dorywczo z sobą złączeni, miał przed sobą bardzo trudne zadanie, utrzymania okrętu w należytym porządku, a jego personelu w posłuszeństwie.

Brak map i wszelkich wskazówek co do kierunku wyprawy, którą Beniowski prowadzić miał po mało jeszcze zbadanych wodach, utrudniało zadanie wodza, a lada chwiejność w rozkazach zmniejszała zaufanie załogi do komendanta.

Załoga ta składała się bowiem z lu-

dzi rozmaitego charakteru i różnej przeszłości, z ludzi bardzo często trudnych do powodowania jak to widzieliśmy na Stefanowie. Na lądzie, pod grozą bagnetów straży i pik kozackich, które gotowe były zawsze ukrócić każdą zwadę, pod grozą z resztą odkrycia spisku a co za tem idzie dostania się pod knut i do kopalni, łatwiej było Beniowskiemu utrzymać towarzyszy w subordynacyi wojskowej i chociaż względnej zgodzie. Stłoczeni na statku, uzuchwaleni odniesionem zwycięstwem, przymuszeni do częściowej bezczynności, bo służba nie zajmowała wszystkich rąk, przykrzyli sobie swój los i gotowi do zwady, czynili sobie wzajemnie nieznośnem życie na okręcie.

Okręt ten stosownie do rozkazów Beniowskiego, przerobiony został z kupieckiego na wojenny. W tym celu wybito w nim 20 otworów na tyleż armat, które jak wiemy, zabrane zostały z fortecy Petropawłowskiej, ale tylko 8 z nich miało prawdziwą wartość, bo 12 było drewnianych.

Służbę morską składali:

Maurycy hrabia Beniowski, komendant generalny, hrabia Krustjew, jego namiestnik. Straż tylną stanowiło 8 ofi-

cerów z Panowem i Urbanowskim na czele, strzelców 29 — razem 37 osób. Straż przednią stanowiło znów 8 oficerów, między nimi Windblat i Bielski, strzelców 28—razem 36 osób. Ze wszystkiem osób należących do służby 75. Oprócz tego, kobiet 9, pasażerów 12 — wszystkich na okręcie osób 96.

Ładunek okrętu:

Osiem sztuk armat, 2 haubice, 2 moździerze, 120 flint z bagnetami, 80 szabel, 60 pistoletów, 1600 f. prochu, 2000 f. kul, 800 f. solonego mięsa, 1200 f. solonej ryby, 1400 f. tłustości wielorybiej, 200 f. cukru, 500 f. herbaty, 40 f. masła, 113 f. sera, 6,000 f. rozmaitego żelastwa, 112 granatów, 900 kul armatnich, 50 f. siarki, 200 f. saletry, 36 baryłek wódki, 126 skrzyń z futrami, 14 kotwic, zapas lin i żaglów na zmianę, 1 szalupa i jedna łódź mniejsza.

O jedenastej godzinie rano rozkazał Beniowski odprawić na okręcie nabożeństwo podług obrządku kościoła greckiego. Odśpiewano uroczyste „Te Deum laudamus“ na podziękowanie Bogu, za szczęśliwie wydobycie więźniów z domu niewoli, zaskrzypiały kołowroty kotwiczne, wiatr rozwinął amarantową z białem banderę z orłem, który zdawał się

roztaczać skrzydła do lotu i okręt wypłynął na pełne morze, wśród gorących zapałem okrzyków załogi i cichych dziękczynień Beniowskiego za to, że wyzwawszy wrogą potęgę do walki, udało mu się z walki tej wyjść zwycięsko.

Część II.

ROZDZIAŁ VI.

«A jakie dalsze losy żeglarza?
Jeśli ciekawie kto spyta,
Niech nieudanej mowie przebacza;
I co napiszę, przeczyta».

Ryszard Berwiński.

Dalsze losy bohatera mego opowiadania są tak dziwne i tak pełne przygód, że nie wątpię, iż znajdą wielu ciekawych czytelników. Mylilibyśmy się bowiem, uważając pobyt na Kamczatce, za najbardziej zadziwienia godny w życiu Beniowskiego. Opis jego niewoli i wyzwolenie się, interesuje nas szczególniej dlatego, że los pierwszych więźniów syberyjskich stał się potem losem setek tysięcy naszych rodaków, zmuszonych żyć zdala od kraju i zamierać powoli wśród obcej i zimnej przyrody.

Losy Beniowskiego rozgrywały się od-

tąd w krajach dalekich i zupełnie nieznanych, trudniej ścigać go myślą i czuć tę wspólność z bohaterem, jaką czuliśmy wtedy, kiedy walczył za kraj własny. Wielkie jednak zainteresowanie należy się i teraz żeglarzowi, bo puszczał się śmiało na dalekie morza, nie wiedząc, czy i kiedy wróci do ojczyzny, ani jakie tymczasem są tej ojczyzny losy. Żeby zrozumieć należycie smutne położenie wygnańców, winniśmy zawsze uświadamiać sobie różnice stosunków dzisiejszych od ówczesnych, kiedy poczta ani telegraf nie przynosiły żadnych wiadomości biedakom wyrzuconym na lodowate brzegi Azyi.

Żegnali kraj niewoli, wyruszali nie wiedząc dokąd, a na pociechę nie mogli spodziewać się listu od ukochanych. Miną zapewne miesiące a może lata, zanim do rąk wędrowców dojdzie gazeta z Europy, toż mieli teraz zawijać u brzegów obcych wszelkiej cywilizacyi.

Dla nas, przyzwyczajonych czytać codziennie wiadomości telegraficzne ze wszystkich pięciu części świata, wydaje się to prawie niezrozumiałem jakim sposobem ludzie wyżyć mogli zdala od rodziny i ojczyzny, nie odbierając poczty a jednak dziś jeszcze na takie prawie

udręczenie skazanych jest wielu wygnańców, jeśli za miejsce pobytu wyznaczy im rząd odległe od kolei osady. Dość przeczytać „Ucieczkę“ Sieroszewskiego żeby z tej powieści powziąć wyobrażenie, jak okropnym jest los człowieka rzuconego na odległe syberyjskie przestrzenie.

W porównaniu z mękami takiego położenia życie Beniowskiego mogło się teraz nazwać szczęśliwem. Nie wiedział wprawdzie, czy prędko zawinie do portu, ale zamiast brzęku kajdan, jakie dźwigał na początku swego przybycia do Syberyi, wtórowały tęsknym jego myślom, szumiące wody oceanu, a on w tym szumie słyszał jedno tylko, czarowne dźwiękiem i znaczeniem słowo, wolność!

Tak, był wolny, był panem statku, płynął na południe, do ciepłych i uroczych okolic podzwrotnikowych, które znał z opowieści. Czas mglisty i śnieg padający obficie, przypominały podróżnym, że są jeszcze w krainie lodów, ale każde poruszenie wioseł zbliżało ich ku wyspom Kurylskim, a widok wielorybów, ścigających się na falach, bawił nowością.

Beniowski chciał zawinąć do brzegu,

bo pragnął zaopatrzyć okręt w suchary i żywność, suchary zwłaszcza należało wypiec jaknajprędzej, zamiary komendanta rozbiły się jednak o niesnaskę wśród załogi. Powstała sprzeczka między żeglarzami, jedni naglili o natychmiastowe dobijanie do wysp, kiedy inni sprzeciwiali się rozkazom komendanta i posunęli zuchwałość aż do gróźb. Beniowski złożył natychmiast sąd na przestępców, i rozumiejąc, że należy ukarać surowo zwadę, dwóch najwinniejszych wtrącił do więzienia.

Był to dopiero przedsmak nowych nieoczekiwanych przykrości, jakie spotkały wodza od niewdzięcznych towarzyszy. W pamiętnikach swoich zachowuje co do tej sprawy wielką dyskrecyą, nie obwinia nikogo prócz Izmaiłowa i szaleńca Stefanowa, zdaje się jednak, że wielu ze związkowych nie dotrzymało mu wiary i przyłączyło się do partyi niezadowolonych, choć nie wiemy jakie były pobudki ich oporu.

D. 24 maja wprowadził adjutant Beniowskiego trzech deputowanych od załogi i ci oświadczyli komendantowi, że powszechnem życzeniem jest, aby okręt zmienił kierunek zamiast na południe

popłynął na północ tamtędy szukając przejścia do Europy!

„Wiosna pozwala się spodziewać pomyślnego wyniku żeglugi po morzu lodowatem, a gdyby nawet wyprawa natrafić miała na nieprzebyte zawady, to łatwo będzie dobić do brzegów Azyi.

Oświadczenie to było prawdziwym gromem dla Beniowskiego. Dowodziło braku zaufania a przytem, co stokroć gorsze jeszcze, nasuwało myśl, że część wygnańców, zastanowiwszy się nad wypadkami, jakie zaszły w Kamczatce, żałuje uczynionego kroku i kto wie, czy nie zamierza wrócić do Petropawłowska, aby za cenę zdrady wyjednać dla siebie przebaczenie władz rosyjskich.

Krew ścina się w żyłach na myśl takiej niewdzięczności. Należało zapobiedz ohydnemu i niebezpiecznemu zamiarowi, a przynajmniej usunąć jego pokusę przez szybkie oddalenie się od złowrogich brzegów.

Zrozumiał to Beniowski, zgromadził załogę i oświadczył zebranym, że wypływa natychmiast na północ, czyniąc zadość ich życzeniom, chociaż przewiduje nieszczęścia, które z obrania niefortunnego kierunku wyniknąć mogą. Jakoż na daną komendę statek zmienił

drogę, ale już w dwa dni potem, 26 maja, mróz tak silnie ściął liny i żagle, że utrudniał obroty okrętu, a nazajutrz znalazł się on między dwiema wielkiemi bryłami lodu i uwięziony musiał odtąd do nich stosować swój bieg.

Na domiar złego powstał w nocy wicher, tarcie lodów o okręt było bardzo silne, deski trzeszczały powstałe w spojeniach szpary pokryły się grubymi zwałami lodu, pomimo to wodę całą noc pompować musiano, i ognie palić około masztów, aby tym sposobem rozgrzać i odwilżyć stężałe od mrozu żagle.

Tymczasem wicher nie ustawał ani na chwilę napędzając coraz nowe góry lodu, z których każda mogła strzaskać okręt w drzazgi, cudowi Opatrzności przypisywać należało jego ocalenie.

Huk bałwanów mięszał się z hukiem brył lodowych spadających w morze, a groźniejszym od tych wszystkich hałasów był szum wody wdzierającej się do statku przez rozpadliny jakie między deskami powybijał mróz. I nie tu koniec nieszczęść wynikłych z uporu załogi, o czwartej z rana szturm zerwał przedni żagiel, a o piątej główny maszt przy sterze pękł na dwoje. Okręt pochylił się silnie na bok, ruszyć sterem nie by-

ło można, szczęściem właśnie świt rozwidnił otaczające statek ciemności i Beniowski spostrzegł, że przyczyną niebezpiecznego pochylenia był ogromny kawał lodu, który uczepił się i przymarzł między rudlem, a tyłem okrętu. Ledwie z największem wysileniem odwalić go zdołano, kiedy krzyk: do pomp! do pomp! zaalarmował załogę. Pompy nie mogły już nastarczyć robocie i woda na dnie okrętu mierzyła łokieć wysokości.

Strach, przed niechybnem rozbiciem statku, groza powolnego dogorywania wśród lodów, na które wygnańcy lada chwila mogli być wyrzuceni, wróciły szalonym umysłom opamiętanie. Nawet Izmaiłow i niewdzięcznik Stefanow przekonali się na własnej skórze, jak słusznemi były przepowiednie wodza, który zgóry obliczył rezultat niefortunnej wyprawy na północ. Wszyscy, i najoporniejsi, tyle doznali strachu i tyle przeżyli wrażeń, że już 30 maja Krustjew, w imieniu całej załogi wniósł do Beniowskiego prośbę o zaniechanie żeglugi ku północy i obranie takiego kierunku dla statku jaki wódz uzna za najlepszy. Miał on dobrą sposobność upokorzenia głupców i niewdzięczników, ale

szlachetny z natury nie korzystał z nieszczęścia towarzyszy. Starał się dobrocią i perswazyą pozyskać ich zaufanie, a Bóg nagrodził go za to widocznem błogosławieństwem. Zaledwie bowiem statek zwrócił się ku południowi wicher, który dął dotąd bez przerwy, złagodniał nagle, mróz zwolniał, góry lodu ustąpiły. Na uspokojonych falach, zaczęły igrać stada wielorybów, mnóstwo wilków morskich wypłynęło na lodowate bryły, podczas gdy gromady białego ptactwa zdawały się ścigać banderę i ciekawie przyglądać orłowi, który biały jak one wyciągał z radością skrzydła ku południowym lądom.

Cisza nie trwała jednak długo, szczęściem szturm uspokoił się pod wieczór ale kry płynęły tak gęsto, że przecinały sznurek od ołowianki zapuszczanej w morze dla zmierzenia jego głębokości. Kry bywały wielkie jak pomosty, a jedną niezmiernej długości pokrywała olbrzymia bryła ziemi obrosłej mnóstwem krzaków i małych drzewek.

W sobotę 4 czerwca, kiedy ucichła burza, majtek stojący na straży dał znać, że okręt zbliża się do wyspy. Czas był piękny i ciepły śnieg topnieć począł, a topniały w żołądkach załogi i

zapasy świeżej żywności, kazał więc Beniowski skierować okręt do lądu. Zdawał się on być zupełnie pustym, skorzystano więc ze sprzyjającej pory, żeby odnowić zapas świeżej wody i zbudować piece do wypieku sucharów. Wory mąki i naczynia do wyrobienia chleba cieszyły oczy, odkryli też nasi podróżni na wyspie pewien rodzaj warzywa, które wydało się im bardzo smaczne, a także wielką ilość czosnku, wory z tą zdobyczą wysłano zaraz na okręt.

Kilku mężczyzn rąbało drwa, kilku innych wrzucało je do pięciu pieców, a rezultat piekarstwa okazał się wybornym, przewieziono na okręt 22 wory sucharów i zapas świeżych ryb złowionych w czasie wypiekania chleba.

Kudryn na rozkaz Beniowskiego opatrywał tymczasem okręt mocno uszkodzony przez lody. Zaprawiano szczelnie szpary, powstałe głównie z odpadnięcia smoły, którą starły kry. Praca trwała całą noc i całą też noc czuwał nad nią komendant obawiając się słusznie, aby załoga nie nabrała ochoty do nowych buntów, bo bliskość Kamczatki uzuchwalała wielu z pomiędzy żeglarzy.

Wyspa, jak się przekonano tymczasem,

nie była jednak bezludna, Windblat zrobił wycieczkę w głąb lądu i doszedł do wioski, złożonej z ośmiu chałup. Mieszkańcy uciekli, w jednym tylko domostwie znalazł starą kobietę i kilkoro dzieci. Kobieta miała nozdrza przekłute i twarz wytatuowaną w różnokolorowe desenie.

Nie znając miejscowego języka, musiał Windblat wyrzec się nadziei otrzymania jakichkolwiek objaśnień, ale zabrał z chaty kilka łuków oraz zapas strzał ostrych, dobrze wyrobionych, a także całkowity strój z ptasich piór, który ofiarował Beniowskiemu. Nie chcąc jednak krzywdzić biednych wyspiarzy w zamian za zabrane przedmioty zostawił w chacie kilka noży i zwierciadełek.

10 czerwca w piątek okręt gotów był już do drogi, a piękny czas sprzyjał żegludze, rozwinięto więc żagle i ruszono w kierunku południowym. Dalsza podróż nie nastręczyła żadnych szczególnych wrażeń wędrowcom, dopiero 29 czerwca powstał wiatr północno wschodni i tak silnie miotał okrętem, że aż ładunek ruszył się z miejsca, pękło też z tego powodu sześć beczek wody, co stanowiło wielką stratę, bo dla burzli-

wego czasu niepodobna było myśleć o szybkiem odnowieniu zapasu. Przezorny komendant kazał natychmiast zmniejszyć porcye wody, rozsądne to rozporządzenie jaknajfatalniejsze jednak wywołało skutki.

Niepoprawny Stefanow, podburzony przez Izmaiłowa, wystąpił zuchwale przeciw rozkazowi wodza. Żądał natychmiastowego zdwojenia porcyi napoju i sucharów, a gdy na jego natrętne wymagania odpowiedziano pogróżką skoczył między takich jak sam zuchwalców, zbuntował ich i dorwawszy się do składu porwał z niego trzy baryłki wódki. Szaleńcy wypili ile mogli na razie, resztę zaś, razem z kilku beczkami wody wylali do morza.

„Miłe złego początki, lecz koniec żałosny“ mówi przysłowie. Nierostropni opoje zrozumieli, wytrzeźwiawszy, jaką krzywdę zrobili sobie i swoim towarzyszom. Na widok oburzenia załogi gotowi byli sami wrzucić Stefanowa do morza, bo na niego całą składali winę. Przebrał on też istotnie miarę zuchwalstwa, Beniowski raz jeszcze ocalił mu życie, ale wyłączył ze związku i skazał na usługi kuchty okrętowego.

Skutki lekkomyślności ponosić miała cała załoga, na szczęście niebo się zachmurzyło i spadł obfity deszcz z czego skorzystano, żeby napełnić dwie beczki deszczówką. Miała ona smak dziegciu, stanowiła jednak nieoceniony skarb wobec coraz silniejszych upałów i zupełnej niemożności odświeżenia zapasu wody.

Był już lipiec a nikt na statku nie dojrzał dotąd lądu, chociaż wyglądano go z upragnieniem bo i żywność ograniczona do możliwie skromnych porcyi, wyczerpywać się także zaczęła.

Według raportu szafarza stanowiło ją sześć fas suszonej ryby, suchary oddawna zostały zjedzone, a ryba niestety, po obejrzeniu okazała się zepsutą i zdatną tylko na ciasto, które w gwałtownej potrzebie przyciśnięci ostatecznym głodem ludzie zjeść są zdolni.

Głód! straszne widmo tej nieubłaganej klęski wisiało nad załogą, a może gorszą i dotkliwszą od niej, wobec coraz silniejszych upałów, był brak wody. Beniowski nie miał dokładnych map, nie mógł więc liczyć na napotkanie, której z małych wysp rozsianych w tych stronach.

Pierwszym pewnym punktem do ja-

kiego dążył była Japonia, ale wedle jego obrachunku, nawet przy sprzyjającym wietrze, okręt mógł przybyć tam dopiero za czternaście dni, a tymczasem?...

Krew ścina się w żyłach na myśl jaka będzie odpowiedź na to pytanie. Historya podróży morskich obfituje w przerażające opisy śmierci żeglarzy skazanych na wymarcie z głodu wśród wielkich wodnych przestrzeni. Pamiętajmy, że Beniowski nie rozporządzał tymi środkami, jakie przysługują dzisiejszym podróżnikom. Los okrętu zależał od kierunku wiatru, jego budowa ciężka i niezgrabna daleką była od budowy zwinnych parowców, które lotem ptaka przecinają fale i z punktualnością dobrego zegarka stają na naznaczony czas u celu.

Trzeba podziwiać energią Beniowskiego, że w tych warunkach nie stracił odwagi, i umiał natchnąć nią załogę. Upał stawał się nieznośnym, felczer puścił krew wszystkim podróżnym, bo wedle panującego wówczas mniemania środek ten miał ustrzedz od podniecenia wywołanego gorącem. Ale osłabienie po ubytku krwi, nie uspokoiło głodu. 8 lipca pierwszy raz rozdano załodze chleb wypieczony z nadgniłej ryby,

kwaśny i niewypowiedzianie słony, smakował jednak powszechnie, głód czyni niewybrednym. A na większy żal mnóstwo żywych ryb snuło się około okrętu ale żadnej nie udało się złowić.

9 lipca upał powiększył się jeszcze i szafarz dał znać komendantowi, że skutkiem gorąca pękły wszystkie obręcze na beczce z wodą, zapas więc jej zmniejszył się o połowę, a żądano tu właśnie jej bardzo wiele bo solona ryba podniecała pragnienie.

Nigdy jeszcze Beniowski nie czuł się tak nieszczęśliwym, jak w te dni najcięższej próby. Widział dokoła siebie wynędzniałe twarze towarzyszy, wiedział że 26 najsłabszych leży już w szpitalu okrętowym, że liczba chorych powiększać się musi z każdą chwilą, bo wielu znużonych upałem i pragnieniem piło z rozpaczy wodę morską, która najokropniejsze sprowadza boleści.

Na domiar złego powstała nagle burza, impet wiatru zerwał dwa żagle, piorun strzaskał maszt środkowy, szczęściem nie zapalił go przynajmniej.

— Sądny dzień nie będzie groźniejszym — mówi Beniowski, a wierzyć mu można, bo jak wiemy niełatwo tracił otuchę, tu zaś raz przyznaje w pamię-

tnikach, nie wiedział już jak okręt ratować. Oparł się on jednak szturmowi, a zwyciężone niebezpieczeństwo skrzepiło ducha w załodze. Na krótko niestety, bo głód najodważniejszym odebrał odwagę i na dobre zagroził żeglarzom, w chwili kiedy dokoła okrętu jakby na urągowisko, pokazywać się zaczęły rośliny znamionujące bliskość lądu, zwiastowały go i gromady ptactwa krążącego nad statkiem.

— Ziemia była więc blisko, ale gdzie? w której stronie jej szukać? — pisze Beniowski i mówi dalej. — Nigdy wyrazić nie potrafię męczarni jakie cierpiałem. Nie mój los mnie obchodził, od dawna byłem przygotowany na głodową śmierć, lecz dręczyła zguba niechybna tylu istot, których czułem się przewodnikiem, i których to ja wywiodłem na nieszczęsną wyprawę. Byłem prawie pewny, że wielu z nas nie doczeka chwili przybicia do lądu, nie chcąc więc dłużej taić moich obaw przed załogą, która we mnie jednym pokładała nadzieję, kazałem przynieść mapę i wobec wszystkich zebranych żeglarzy, powiedziałem jasno że mojem zdaniem Japonia oddaloną jest od nas o 300 mil morskich, a mamy mało szans trafienia

na inną jaką wyspę. Większa więc połowa z nas, a mam nadzieję i ja między nimi, nie doczeka zapewne chwili wylądowania, powinnością zatem jest moją zostawić instrukcyą co do dalszej żeglugi dla tych, którzy mnie przeżyją.

Mówiąc tak, Beniowski spełnił to co uważał za swój obowiązek ale był pewny, że usłyszy wyrzuty i złorzeczenia towarzyszy. Ciężką też przeżywał godzinę. Tymczasem jednak szczerość jego postąpienia rozbroiła najzaciętszych, i chwila ta została na zawsze pamiętną wodzowi jako niezbity dowód przywiązania i wdzięczności załogi.

— Ostatnim kęsem własnego pożywienia ratować pragniemy życie twe komendancie, życie to gwarantuje nam ocalenie statku! — wołano z zapałem dokoła. Taka chwila wiele goryczy nagrodzić jest w stanie, to też gorąco modlił się Beniowski o ratunek. Wysilał umysł czem zażegnać widmo głodu i uciekając się do rozpaczliwego środka, polecił ugotować skóry bobrowe.

Były miękkie, mogły więc może służyć za pokarm podobny z wyglądu i smaku do flaków. Próba udała się wyśmienicie, o szóstej godzinie wieczór osobliwa ta potrawa była już gotowa,

a tak przypadła wszystkim do smaku, że kto żył skrobał i krajał skóry, byli tacy, którzy własne buty wrzucali do kotła.

Bóg najbliższy jest tych, których nęka najsroższa troska, mówią niemcy i tak właśnie stało się z naszymi podróżnemi. Sądzili, że nie ma dla nich ratunku, że nie znajdą ziemi, a tu przeczuł ją pies, bo o piątej godzinie z rana Nestor, brytan Beniowskiego wyskoczył z wielkiej radości na budę, do której był przywiązany, i zaczął szczekać bez ustanku. Wzięto ten objaw zmyślnego zwierzęcia za dobry znak, kto żył, resztkami sił drapał się na maszty, wszystkie kosze pełne były ludzi. Próżno z początku wytrzeszczano oczy, pies tymczasem szczekał i kichał, aż nareszcie Beniowski dojrzał przez perspektywę ziemię zarysowującą się na horyzoncie. Około jedenastej 15 lipca już gołem okiem każdy z podróżnych mógł sprawdzić, że Nestor słusznie się radował, że ocalenie było bliskie.

Jakoż po zachowaniu należytych ostrożności, i wysłaniu łodzi na zwiady, stanął okręt w porcie wyspy, którą dla obfitości strumieni, nazwali żeglarze Wo-

dną, bo spragnieni spieszyli pokrzepić siły u czystych świeżych źródeł.

Nie próbuję opisywać radości ocalonych głodomorów, łatwo wyobrazi ją sobie każdy kto umie odczuć niedolę bliźnich, i wdzięczność dla Boga za ratunek dany nieszczęśliwym. Pierwszy dzień zeszedł na rozbijaniu namiotów i usypaniu dokoła nich bateryi, Windblat przeniósł na nie dwie armatki okrętowe, ażeby zabezpieczyć towarzyszy od napadu mieszkańców wyspy, jeśli ta okaże się zaludnioną.

Nic jednak nie zdradzało obecności człowieka w pobliżu, a uzuchwaleni tem żeglarze coraz dalsze w głąb ziemi robili wycieczki i coraz nowe z tych wypraw przynosili skarby. Toż prawdziwym skarbem były dla biedaków soczyste owoce i smaczne warzywa, jakże wybornemi wydać się musiały ludziom, którzy od wyjazdu z Petropawłowska, to jest przez dwa miesiące, za jedyny pokarm mieli soloną a w końcu nawet zgniłą rybę!

Nikt jednak nie czuł się szczęśliwszym od Beniowskiego. Widział ocalonych tych samych towarzyszy, którym przepowiadał zgubę, nie lękał się już wyrzutów swoich przyjaciół, owszem

dzielił z nimi radość z odzyskanego życia, radość z każdej przyniesionej zdobyczy, a było ich wiele i bardzo cennych. Uważając jednak, że bezczynność złą jest zawsze, po pierwszej spokojnie przespanej nocy zwołał całe zgromadzenie i podzielił między towarzyszy służbę jaką pełnić mieli. Rozkazał jednym pilnować okrętu, drugim łowić ryby, tym iść na polowanie, innym naprawiać uszkodzone liny i żagle, innym nareszcie wyprawić się w głąb kraju dla dalszych poszukiwań.

To ostatnie rozporządzenie, choć tak słuszne na pozór, stało się źródłem tysiącznych utrapień dla Beniowskiego, bo uczestnicy wyprawy wrócili z niej pierwej niż się spodziewano, a wrócili oczarowani pięknością i skarbami znalezionymi na wyspie, której, jak się zdaje, nikt dotąd nie zamieszkiwał.

Na potwierdzenie swych dowodzeń pokazywali przyniesione owoce bananów i pomarańczy, co zaś najbardziej wzbudziło zachwyt powszechny, to błyszczące okruchy kryształu górnego, który wielu brało za dyamenty i świecąca się ruda, ruda złota jak sądzili.

— Kraj złota! kraj dyamentów! — wołano w uniesieniu. Próżno Beniow-

ski i oświeceńsi wygnańcy pragnęli przekonać szaleńców, że to co oni brali za dyamenty było kryształem, a ruda świecąca markasytem, z którego wyrabiano potem świecące guziki, ale który nie ma większej wartości od zwykłego żelaza, chciwość wzięła górę nad rozsądkiem. Znikło uradowanie z ocalenia, twarze niezadowolonych stały się ponure i zacięte, wielu zuchwale rzucało wyznaczoną robotę i biegło w głąb kraju naradzać się, z podobnymi sobie, nad tem, jakimby sposobem skłonić Beniowskiego do pozostania na wyspie.

Takie bowiem, jak się okazało, było powszechne żądanie większej części załogi. Wyobrazili oni sobie, że założą tu państwo, państwo w ich mniemaniu potężne, gdyż jakiż śmiałek oprzeć by się zdołał osadzie rozporządzającej minami złota i dyamentów?

Łatwo się domyśleć kto nabawił wodza nowych trudności i to w chwili, kiedy dzięki cudownemu ocaleniu, mógł on skrzepiwszy siły załogi, dobić z łatwością do którego z portów holenderskich, następnie dążyć stamąd do ojczy. ny.

Stefanow, niepoprawny, niewdzięczny Stefanow, był i teraz duszą rokoszu. Be-

niowski nie mógł się teraz już łudzić utrzymaniem w posłuszeństwie załogi, która przecież tylokrotnie przyrzekała uległość jego rozkazom. Z nim było kilkunastu wiernych przyjaciół, przeciw niemu cała gromada szaleńców, gotowych kopać mniemaną złotą rudę i dyamenty, żeby jak utrzymywali, zabezpieczyć każdemu z towarzyszy przyzwoity i wygodny byt za powrotem do Europy. Właśnie Beniowski wybrał się był na polowanie, kiedy dano mu znać że Stefanow opanował okręt i, obiecuje łaskawie uznawać nadal władzę wodza, w dowód wdzięczności za ocalone kilkakrotnie życie, pod warunkiem jednak, że komendant da mu uroczyste przyrzeczenie zamieszkania na wyspie.

— Trudno opisać — mówi Beniowski — jak dalece przeraził mnie postępek Stefanowa, zdołałem przecież ukryć smutek i pomięszanie. Niepodobna było myśleć o gwałtownem odzyskaniu statku, pozostać zaś na odludnej wyspie smutną stanowiło perspektywę. W tej trudnej alternatywie musiałem użyć wybiegu. Zażądałem od zbuntowanych, aby stanęli przede mną i obiecałem, że wtedy dopiero wytłomaczę im swoje zamiary. Podobała się ta moja odpo-

wiedź, pośpieszyli na okręt, skąd natychmiast wszyscy wrócili, wyjąwszy Stefanowa i dziesięciu jego najzaufańszych przyjaciół. Przełożyłem tym szaleńcom, że w zasadzie, nie jestem przeciwny zamieszkaniu na wyspie, największą przeszkodę do założenia osady widzę jednak w braku kobiet. Bez nich nie utworzy się rodziny, a wypłynie stąd niezawodnie źródło niewyczerpanych zawiści a nawet i mordów. Myślą moją było — mówiłem — płynąc do Japonii, wylądować gdzieś w pobliżu miasta a zbrojną ręką, zabrawszy tyle kobiet i zboża, ile ich potrzeba dla założenia osady, wrócić z tym zapasem na wyspę Wodną i ugruntować tu potężną kolonią.

— Wiwat nasz naczelnik! wiwat nasz generał! — rozległ się okrzyk dokoła, nim jeszcze Bęniowski usta zamknąć zdołał, poczem zbuntowani biegli jeden po drugim całować jego ręce i zapewniać o swem oddaniu, bo chociaż zasługiwali w zupełności na miano szaleńców, rozumieli jednak, że zginą bez doświadczonego wodza, i wodza tego pozyskać dla swych zamiarów było ich najgorętszem pragnieniem.

Tym sposobem do posłuszeństwa przy-

wiódłszy gromadę — pisze dalej Beniowski — żądałem aby natychmiast przystawiono Stefanowa na brzeg, obawiam się bowiem — rzekłem — aby ten zapamiętalec nie spalił okrętu. Czułem teraz władzę swą nad rozhukaną gromadą, to też potrafiłem przelać w serca przytomnych trwogę, którą starałem się udać. Hurmem podskoczyli do łodzi, i Stefanow nie spostrzegł nawet, kiedy z dowódcy został więźniem własnych przyjaciół. Odstawiono go na ląd i zamknięto pod dobrą strażą.

Po załatwieniu smutnej tej sprawy zapanował w osadzie spokój. W czwartek 21 lipca zwołał Beniowski wszystkich obecnych mieszkańców wyspy Wodnej i odebrał od nich uroczyste przyrzeczenia posłuszeństwa, w zamian za obietnice zawiezienia osadników do Japonii, dla dokonania tam zdobyczy potrzebnych do bytu kolonii. Po tym obrządku wydał hrabia rozkazy, dotyczące ukończenia naprawy okrętu, zalecił połów ryb, polowanie na zwierzynę, zrobienie zapasu warzyw i owoców. Żeglarze, zagrzani nadzieją założenia potężnej osady na złotodajnej wyspie, która w ich pojęciu miała wkrótce po-

tężnem zostać państwem, z zapałem rzucili się do pracy.

Dzięki ich staraniom obiad, jaki zastawiono tego dnia wodzowi, mógł się słusznie zwać wybornym. Składały go smacznie przyprawione ryby, jarzyny, różne gatunki zwierzyny na pieczyste i wykwintny deser z soczystych owoców. Już dniało, a robota około okrętu nie ustawała, jak nie ustawało przygotowywanie zapasów żywności, jeszcze tego samego dnia przeniesiono na statek ładunek prowiantów i osiemnaście baryłek wody, co według obliczeń szafarza stanowiło zapas dostateczny do wyżywienia załogi przez cały miesiąc.

Ostatnią pracą dokonaną na wyspie Wodnej było wystawienie pamiątkowego krzyża z napisem, który brzmiał jak następuje:

— Roku 1771 dnia 16 lipca okręt Ś. Ś. Piotra i Pawła stanął na kotwicy w porcie tej wyspy, pod komendą Maurycego Augusta Beniowskiego szlachcica polskiego i węgierskiego, generała wojsk Rzeczypospolitej Polskiej, zabranego w niewolę na wojnie z Rosyą i wygnanego za ukazem cesarzowej Katarzyny na Kamczatkę, skąd za pomocą swojego męstwa wydobyć się po-

trafił. Wyspa ta jest pusta, poddostatkiem jednak na niej ptactwa i rozmaitej zwierzyny, wybrzeża obfitują w ryby, a owoce i woda są na niej zdrowe. Leży pod 32° 47' stopniem szerokości i 355° 83' stopniem długości. Okręt płynął z Petropawłowska w Kamczatce.

Ostatnie polowanie na wyspie Wodnej przyniosło załodze kilka kaczek i dwa warchlaki, które nasolono i zawieziono na okręt, poczem 22 lipca o czwartej w południe, gdy już doniesiono wodzowi, że przygotowania do podróży skończone i że zrywa się pomyślny wiatr, kazał Beniowski, ku zadowoleniu wszystkich, podnieść co żywo kotwicę i rozwinąć żagle.

Żegluga jednak nie trwała długo. Zaraz drugiego dnia po opuszczeniu wyspy Wodnej dostrzegli majtkowie porosty, z uczepionemi do nich nićmi jedwabiu, skąd słusznie wnoszono, że Japonia leży w pobliżu, lub że okręt znajduje się wśród wysp, okrążających to państwo. Jakoż z masztu zasygnalizowano ziemię na wschód, a w parę godzin potem ujrzano znów ląd tylko tym razem od zachodu.

Beniowski zapuścił sondę dla zmierzenia głębokości morza, ale sonda nie

dosięgła dna, nakazał więc jaknajwiększą ostrożność, zwłaszcza, że żeglowano wśród ciemnej nocy.

Był 28 lipca i upał doskwierał okropnie, kiedy okręt został nagle otoczony lasem nieprzeliczonych drobnych statków, których załogi tak zajęte były łowieniem ryb, że nie zwracano najmniejszej uwagi na obcych przybyszów. Dopiero około jedenastej zbliżył się do statku płynącego pod polską banderą, równy mu wielkością okręt, pokryty dziwacznemi chorągiewkami, spuścił szalupę i dał znak że chce holować przybysza do portu. Jakoż poruszyło się 80 wioseł z tak niewypowiedzianą szybkością, że okręt Beniowskiego jednej chwili stanął u wejścia do zatoki. Daremnie jednak komendant prosił flisów, ażeby weszli na jego statek, chciał im ich pracę nagrodzić, pokazywali na swoje szyje, dając tem do zrozumienia, że pod karą śmierci niewolno im przyjąć żadnej zapłaty za oddaną usługę.

Szlachetna bezinteresowność japończyków nie zadziwiła zapewne Beniowskiego, ani jego polskich towarzyszy broni, bo nie była nowiną dla człowieka wychowanego w naszej ojczyźnie. Toż żyli jeszcze ludzie, których ojco-

wie nauczali przykładem pod Wiedniem, że pomódz bliźniemu w potrzebie jest obowiązkiem chrześcijanina, ale rosyanie pomnąc stosunki, jakie ogólnie panowały w Kamczatce, ze zdziwieniem patrzyli na flisaków odmawiających wynagrodzenia za swoje usługi.

Czekała ich jeszcze niejedna podobna niespodzianka w kraju do którego przybywali. Dziś kraj ten znany jest z odniesionych zwycięstw i cywilizacyi, to też warto przypatrzeć się, jakim był przed stu trzydziestu laty. Zrozumiemy może, dlaczego urósł w potęgę i ucieszymy serce przekonaniem, że szczęście, chwała, tryumf ojczyzny zależą przedewszystkiem od cnoty obywateli ojczyznę tę zamieszkujących.

To przeświadczenie wpoić w siebie powinien każdy polak, powinien zrozumieć, że od niego zależy przywrócenie dawnej sławy Polsce, że może ona zajaśnieć jeszcze chwałą, może nawet, jeśli stanie się tego godną, zbawić nietylko siebie, ale odrodzić w duchu i w prawdzie te same państwa, które skorzystały z chwilowego osłabienia naszego narodu i zagarnęły go. Bo pamiętać należy, że królestwa, cesarstwa czy rzeczypospolite nie są czem innem jak

wielkiemi osadami ludzkiemi. Jak osada upada przez nierząd, lub niesprawiedliwość zamieszkujących ją kolonistów, tak samo upaść muszą państwa, gdy wkradnie się do nich nieład, lub gdy potęgę swą oprą na przemocy. Do czasu tylko trwa powodzenie oparte wyłącznie na sile fizycznej, bo jej stosunki są zmienne.

Słyszycie nieraz wyraz polityka i wyraz ten piękne ma znaczenie bo rozumiemy przez niego zajmowanie się sprawami kraju. Sprawy te są bardzo różne, stokroć trudniejsze od spraw osobistych, gdyż zależy od nich szczęście całego narodu. Ale choć trudniejsze i ważniejsze opierać się powinny tak samo na cnocie, sprawiedliwości, męstwie i rozumie, jak sprawy pojedyńczego człowieka. Dziś jeszcze bywa inaczej, dziś stawiają ludzie pomniki Bismarkowi, chociaż wiadomo, że politykę prowadził, oparłszy ją na zasadzie „siła przed prawem“, a więc na krzywdzie, kłamstwie i podejściu, zaszczepił w narodzie niemieckim złe ziarno pychy, niesprawiedliwości, chciwości i okrucieństwa.

Ale przyjdzie czas i miejmy nadzieję, że czas ten jest bliskim, kiedy narody

nie zechcą, aby im zatruwano duszę, kiedy w porywie szlachetnej duszy żądać będą od tych polityków sprawiedliwości w postępowaniu z innymi ludami, kiedy przekonają się na swojej skórze i na skórze swoich sąsiadów, że zło rodzi zło, krzywda wywołuje odwet, a prawdziwy honor obywateli każdej ojczyzny wymaga tego, aby w imię tej ojczyzny nie popełniano gwałtów.

Otóż w tem leży pewność odrodzenia się naszego narodu, że my *rozumieliśmy obowiązek niesienia wysoko sztandaru polskiego.* Nie zbrukaliśmy go podstępnemi intrygami i sprzymierzaniem się z mocnym przeciw słabemu, nie rośliśmy rabunkiem tylko sojuszami miłości.

„Nie dozna zbawienia kto się na miłości nie oprze,—są słowa aktu unii Horodelskiej, a akt ten brzmi dalej: — Miłość jedna nie działa marnie, ona jedna gasi zawiści, osłabia urazy, zapewnia spokój, łączy rozdzielonych, podnosi upadłych, zgładza nierówności, wspiera każdego, nie obraża nikogo i ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła znajdzie się bezpiecznym i nie ulęknie się niczego.“

Z dumą przytaczam treść przesławnego aktu unii, bo mamy prawo być du-

mnymi, że polacy już od sześciu wieków tak a nie inaczej rozumieli połączenie się dwóch krajów swoją względem sąsiada politykę.

I wytrwali w tem rozumieniu. Słów miłości nie dyktował chwilowy poryw tylko głębokie przeświadczenie, że tak czynić każe sprawiedliwość. Nie wywarli nigdy najmniejszego ucisku Litwie, uznając połączony kraj i jego mieszkańców za zupełnie równych sobie. Stawali pierś przy piersi ilekroć trzeba było zasłonić wspólną ojczyznę, rozmiłowywali się w litwinach jak w braciach, uczyli znać i kochać ich przyrodę jak własną, ich bory niezgłębione, kraj rozległy...

Takie postępowanie dyktowała polakom miłość, i póki starczyło cnoty w narodzie nie było mądrzejszej polityki nad tę politykę sprawiedliwości. Polska urosła nią w potęgę, w szczęście, w sławę u świata.

Ale potem brakło cnoty, przyszła małoduszność, prywata osobista, interesa i korzyści zasłoniły w polityce pożytek, dobro całego narodu i państwa, a za tem przyszła kara za sponiewieranie wielkiego dziedzictwa przodków, dziedzictwa ziem rozległych, co ważniejsza

może jeszcze, dziedzictwa wielkiej duchowej potęgi.

Trzeba zrozumieć, że Bóg stworzył narody do sprawiedliwości, i wedle tego przykazania prowadzić sprawy ojczyzny, czyli jej politykę tak jak ją prowadziła Polska za Jagiellonów, to była wielka rzecz, wielkie posłannictwo między narodami, a myśmy tę wielką rzecz zmarnowali. Ale cnotą można nagrodzić winy, i dlatego to należy wpoić w siebie przekonanie, że od naszych cnót, od naszej sprawiedliwości, męstwa, roztropności zależy dziś przyszłość Polski, jej sława, może jej przodowanie w miłości na przykład narodów dla których prawem była dotąd polityka podstępu i rozboju.

Ale czas wrócić do opowiadania dalszych przygód Beniowskiego. Oto w streszczeniu tak opisuje on pobyt swój w Japonii.

„29 lipca rozkazałem aby broń była w gotowości i ażeby, dla zabezpieczenia się od możliwej napaści, nabić armaty kartaczami, a potem wysłałem na ląd Windblata z orszakiem kilkunastu ludzi. Mieli oni list napisany po holendersku, w którym donosiłem jaki jest cel naszej żeglugi i czego potrzebujemy

od japończyków. Dołączyłem do listu dar dla gubernatora, składający się z trzech skórek bobrowych i sześciu kunich. Żeby zaś nie narażać tych moich towarzyszy na jakowąś dzikość nieznajomych mieszkańców, kazałem podnieść kotwicę i przysunąć się do brzegu o kilkaset kroków. Z niecierpliwością aż do dziewiątej z wieczora czekałem na Windblata i jego orszak, przybyli nareszcie w jaknajlepszym humorze, a towarzyszył im przystojnie ubrany japończyk z szablą u boku. Wszedł na okręt z największem zaufaniem i wypalił do nas perorę, której nikt nie zrozumiał.

— Ja pytałem tymczasem Windblata o to co widział na lądzie i jak został przyjęty.

— Powitano nas — odrzekł mój przyjaciel, kładąc lewą rękę na piersiach — zrobiliśmy toż samo, żeby oddać grzeczność za grzeczność. Otoczeni licznym orszakiem wojska, uzbrojonego w łuki‘ zaprowadzeni zostaliśmy do dużego budynku, któregó główna sala wznosiła się na kolumnach. Siedział w tej sali na sofie poważny jakiś człowiek, któregośmy za gubernatora wzięli. Oddaliśmy mu pokłon a on zapytał:

— To Holland?

— Zrozumiałem naturalnie, że się pyta czy jesteśmy hollendrzy i pokazałem na migi, że nie.

— Mówił więc dalej:

— To Syndzy?

— To Philippine?

— To Massui?

— To Tungusi?

Ja wciąż kręciłem głową dając znak, że nie. Wtedy uderzył w bęben stojący obok niego. Na ten odgłos wbiegło kilkunastu służby po rozkazy i odebrawszy je przynieśli natychmiast pęki papierów, które gubernator przejrzał jedne po drugich, znalazł wreszcie czego szukał i skinąwszy abym się zbliżył, pokazał mi kartę geograficzną Japonii, Chin, wysp Filipińskich i Indyi. Był tam także potężny obszar jakiegoś kraju, mającego oznaczać położenie i rozległość Europy. Wziął mnie potem za palec i prosił bym mu pokazał na mapie kraj, z którego przybywamy. Zdumiał gdym mu wskazał, że płyniemy z Europy i kilkakrotnie powtarzał Namandabuz! Namandabuz! Że jednak gubernator zdawał się powątpiewać o prawdzie mojego opowiadania, oświadczyłem mu na migi, że dla długości

podróży na wszystkich nam zbywa potrzebach, a nadewszystko na żywności w czem jego szukamy pomocy. Wyraziłem prośbę moją tak dobitnie, że natychmiast mię zrozumiał, wskazał na brzuch i usta, a potem przywołał służących, którym dość długo dawał polecenia.

— Pragnąc jaknajprędzej powrócić na okręt ofiarowałem gubernatorowi skóry bobrowe i kunie, dając gestami do zrozumienia, że to ty, Maurycy, przysyłasz je, i że ja jestem tylko twoim posłem. Oddałem mu przy tem twój list, lecz podarunków przyjąć nie chciał, przypomniałem sobie wtedy co japończycy robili gdyśmy ich udarować chcieli i pokazałem gubernatorowi na szyję.

— Wybieg skutkował, z obawy abyś nie odebrał mi życia pozwolił gubernator na ofiarowanie darów japonce, która siedziała w przyległym pokoju i wywzajemniła mi się koszem pięknych kwiatów, który ci przywiozłem. Odprowadziła nas potem ta sama eskorta i japończyk, którego dano nam za przewodnika, a w porcie czekały już łodzie pełne różnej żywności.

— Nie do pogardzenia były to zapasy — pisze dalej Beniowski — składały

się bowiem z pięciu worów ryżu, czterech koszów herbaty, wielkiej paki doskonałego tytuniu, ośmiu wieprzów, szesnastu koszów suszonych owoców, dwóch beczek solonej ryby, sześciu beczek wybornego wina, pięćdziesięciu ptaków i niezmiernej ilości cebuli, pomarańcz cytryn i innych owoców. Nic jednak większego zadowolenia towarzyszom moim nie sprawiło jak trzy baryłki mocnej wódki, którą nas także obdarzono.

— Zabraliśmy się zatem do przeładowania żywności na okręt i upakowania jej, a tymczasem nadpłynęła łódź, „pirogo“ ją tu zowią. Wysiadł z niej młodzieniec, który wyraził gestami, że pragnie pomówić z komendantem okrętu. W żaden sposób zrozumieć go nie mogłem, ale na szczęście, jeden z moich oficerów znał język japoński, służył też odtąd stale za tłomacza. Japończyk oświadczył, że wielu jego rodaków pragnie zwiedzić okręt, obawiają się jednak armat, które po japońsku *tippo* nazwał. Rozkazałem natychmiast przykryć armaty i zaraz też nadpłynęło kilka łodzi ze znakomitymi gośćmi, co łatwo poznać było po liczbie parasoli. Oficer tłomacz wspaniale przybrany, miał polecone przeze mnie, aby przy każ-

dym wyrzeczonym słowie niski składał ukłon, a ja sam oprowadzałem gości po całym okręcie. Uważałem, że przypatrywali się pilnie wszystkiemu, jeden zaś, wyjął z kieszeni ołówek i kreślił na nim jakieś notatki, policzył i zapisał ilość armat, a potem zrobił to samo z załogą, której ogólną cyfrę zanotował.

Trwała ta wizyta kilka godzin, największe zdumienie i ciekawość obudziły w japończykach nasze kobiety. Powitali je uprzejmie, ubolewając nad trudami jakie w tak długiej podróży znieść musiały. Że zaś tymczasem nowe nadpłynęły łodzie z żywnością, chciałem hojnie odpłacić się za tak drogie upominki, ale mimo naszych próśb i namów japończycy nic od nas nie przyjęli.

W sobotę 30 lipca przypłynęła do okrętu pięknie wystrojona łódź i przy odgłosie instrumentów muzycznych wysiadł z niej starzec w bogate przybrany szaty, który, uprzejmie wszystkich przywitawszy, oddał mi pismo japońskie. Mało się ono nam przydało, bo nikt z nas czytać tych znaków nie umiał, ale z pomocą tłomacza zrozumiałem wreszcie, że Ulikamhy, czyli król tamtejszej prowincyi żąda widzieć się ze mną

i w zakład przysyła mi dwóch co najprzedniejszych młodzieńców. Odpowiedziałem że spełnię życzenie króla, nadto zaś wielką w słowie jego i cnocie pokładam ufność, abym miał zatrzymywać u siebie zakładników. Natychmiast też kazałem spuścić na wodę mały mój bacik i wsiadłem do niego razem ze starcem, 4 oficerami dla eskorty, tłomaczem i dwoma młodzieńcami przysłanymi w zakład.

Wysiadłszy na brzeg zastaliśmy już na ziemi rozłożone dywany dla odpoczynku. Częstowano nas herbatą i suszonymi owocami, poczem w przygotowanych lektykach udaliśmy się do króla, eskortowani przez zbrojny oddział, który raz po raz wydawał radosne okrzyki *uli ulan!*

Rezydencya monarchy składała się z małego domu otoczonego ogrodem. Powitani tu zostaliśmy przez dwóch bogato ubranych oficerów, wzięli mnie oni pod ręce i zaprowadzili przed oblicze swego pana. Siedział on w pośrodku pięknego salonu na żółtej sofie, przybrany w jedwabne szaty koloru szarego i niebieskiego, a przepasany żółtą szarfą. Po powitaniu podano mi sofę czerwoną, na której usiadłem.

— Skąd jedziesz? kto jesteś? i po co przybyłeś do Japonii? — zapytał krótko Ulikamhy.

Chciałem dać odpowiedź przez tłomacza, ale król kazał przywołać malalarzy, którzy ołówkami rysować poczęli na papierze rozmaite figury i z tych obrazków zrozumiałem jako tako zamiary mego gospodarza. Jedna naprzykład figura wyobrażała mnie, a przynajmniej moje ubranie, obok siedział Ulikamhy i ofiarowywał mi swoje serce. Rozrzewniony tą alegoryą, dla pokazania, że rozumiem, przycisnąłem obrazek do mojego serca co tak ukontentowało władcę, że kazał mi się zbliżyć, żeby módz uścisnąć moją rękę. Dziwił się potem wzrostowi moich towarzyszy, dał znak i natychmiast zaczęto ich mierzyć i malować. Z gestów jego i migów zrozumiałem, że pragnie wiedzieć dlaczego ja mniejszy od nich jestem. Chcąc go przekonać o omyłce rozkazałem przynieść niski taburet i postawiłem na nim prawą nogę, która skutkiem odniesionych ran, krótsza była od lewej o cztery cale.

Rozmowa nasza trwała do późnej nocy, poczem oświadczono mi życzenie władcy abym pozostał parę dni w jego

pałacu, przywołać bowiem kazał na dwór człowieka, z którym będę mógł porozumieć się w języku holenderskim. Znałem go na szczęście, z kilku podróży odbytych do Holandyi, przyjąłem więc ochoczo propozycyą, bo pragnąłem dowiedzieć się bliższych szczegółów o kraju, którego mieszkańcy zachwycali mnie dobrocią, prostotą i uczciwością.

Zaprowadzono nas do domu, łączącego się z mieszkaniem króla, i uczęstowano kolacyą złożoną z herbaty, ryżu, suszonych ryb, pieczystego i różnych owoców, poczem pokładliśmy się na wygodnych sofach i nie pamiętam czy kiedy spokojniej spałem, a rano oddano mi raport z okrętu, i doniesienie że japończycy przysłali dla statku nowy zapas żywności, składający się ze stu worów ryżu, dwudziestu świń, niezmiernej ilości drobiu i owoców.

Była dziesiąta zrana, kiedy ostrzeżony, że Ulikamha do nas idzie, wybiegłem na jego spotkanie. Szedł otoczony przez trzech bonzów z wielkimi sznurami paciorków u pasa. Jeden z mnichów pozdrowił mnie po holendersku, a potem uwiadomił, że Ulikamha jest królem prowincyi, w której się znajduję a ma za małżonkę córkę ce-

sarza, że dobroczynny i wspaniały wielbiony jest przez poddanych, słynie zaś prócz tego z głębokiej nauki i najchętniej zajmuje się astronomią.

— Teraz ty z kolei opowiedz mi swoje przygody, o tej Europie z której przybywasz słyszeć nic nie chcę, bo lubo tam więcej światła niż u nas więcej też występków i zbrodni — powiedział bonza.

Dogadzając jego ciekawości opowiedziałem mu, jak broniąc ojczyzny, zabrany zostałem przez rosyan do niewoli i wysłany do Kamczatki, jak przez męstwo moje i moich towarzyszy wyswobodziłem się z więzów, jak nareszcie, chcąc powrócić do mojej ojczyzny uniesiony przeciwnymi wiatrami, zawinąłem do Japońskich brzegów, chociaż z trwogą w sercu, bo hiszpanie mówią, że rząd tutejszy mordować każe cudzoziemców.

Zadrżał bonza od zgrozy na takie moje oświadczenie.

— Jest wprawdzie — powiada — wyrok cesarza, zakazujący wpuszczać do kraju hiszpanów i portugalczyków, lecz ten wyrok nie odnosi się bynajmniej do chrześcijan innych narodowości, którzy nic złego państwu naszemu nie uczynili. Małoż hiszpanie i portugalczycy

dali dowodów zuchwałości swojej, iżby rząd tutejszy nie był obowiązany do ostrożności? U nas wszystko jedno czy kto bramin czy chrześcijanin, poczciwego, jakiejkolwiek on religii, kochamy, złego zaś człowieka każdy z nas nienawidzi. Kara więc, o której wspominasz, dotyka tylko burzycieli spokojności naszej, ale bądź pewny że takiego samego przyjęcia, jakiego ty doświadczyłeś dozna każdy kogo nieszczęście do nas przyprowadzi, temwięcej gdy go cnota i dobroć zdobi.

— Zdumiałem — pisze Beniowski — słuchając mądrych rozumowań japońskiego mnicha, ale właśnie nadszedł Ulikamha, który nie chcąc nam przeszkadzać, przez cały ten czas przechadzał się po ogrodzie.

Musiałem odpowiadać królowi na jego liczne pytania dotyczące sposobu wojowania w Europie i potęgi tamtejszych mocarstw. Potem bonza powtórzył swemu panu to co wiedział już o moich przygodach i tak go niemi rozrzewnił, że dobry Ulikamha prosił usilnie abym osiadł w Japonii, obiecując wyrobić mi u cesarza wysoką w wojsku rangę.

Podziękowałem serdecznie za okazane mi względy, ale przedstawiłem mu za-

raz niemożność podobnej propozycyi. Moje przywiązanie do ojczyzny nie pozwala mi przyjąć tego zaszczytu powiedziałem, a to moje oświadczenie podobało się królowi, zmieniając przedmiot rozmowy zaczął mnie wypytywać o pobyt w Holandyi, na co starałem się dawać jaknajtrafniejsze odpowiedzi.“

Rzetelny jest twój opis tamtejszego kraju — przerwał mi monarcha — wiem od dawna, że holenderski naród w nikczemnym i szczupłym zamieszkały kraju, kupiectwem szczególnie się zajmuje, a monarchę swego opłaca, żeby nim rządził i bronił go wojskiem.

Ośmieliłem się spytać króla co też sądzi o holendrach i o ich wierze?

— Ciężko ażeby ją miał kiedy kupiec, pospolicie bowiem jego religia zawisła na zysku i zbiorze pieniędzy — odpowiedział monarcha.

Chciałem mu jeszcze inne zadawać pytania, ale właśnie dano znać, że obiad gotowy i wniesiono do sali dwa stoliki na łokieć wysokie. Jeden postawiono przede mną drugi przed królem, potrawy składały się z ryżu, pieczystego i różnych konfitur, trunek zaś, który roznoszono, podobny był do naszego miodu.

Przez cały czas uczty rozmawiał król

z bonzą, dopiero przy końcu obiadu zapytał mnie czy jestem chrześcijaninem z rzędu tych chrześcijan, o których mówią, że są gotowi życie nawet oddać za swego Boga.

— Bóg, którego wyznaję — odpowiedziałem — stworzył cały świat, jest tylko Jeden, zarówno dla chrześcijan jak i dla japończyków, gdyby mi więc przyszło poświęcić życie za mojego Boga umarłbym i za waszego Stwórcę.

Podobała się królowi moja odpowiedź, zawołał „namandabuz! namandabuz“ i kazał mi oświadczyć, że jeżeli w istocie tak czuję jak mówię, jestem co do religii prawdziwym japończykiem.

— Najpierwszym artykułem mojej wiary — powiedziałem jeszcze jest czynić ludziom tyle dobrego ile chcemy aby nam czyniono, a nie czyniąc nikomu źle.

— Sindaulla! — zawołał na to król, i uściskał mnie serdecznie, poczem oddalił się na nabożeństwo a ja rozmawiałam dalej z bonzą o wszystkiem co dotyczyło Japonii zwłaszcza o jej polityce, handlu i rządzie, resztę dnia spędziłem w swoim mieszkaniu. Nadeszły nazajutrz podarunki, jakie z okrętu dla monarchy przywieźć kazałem, wrę-

czyłem je więc wobec całego dworu przy odpowiedniej mowie, wyrażając wdzięczność naszą za przyjęcie, jakiego doznaliśmy w Japonii. Król słuchał cierpliwie moich słów, a bonza tłomaczył je, poczem udaliśmy się wszyscy do sali jadalnej, gdzie zastawiono trzydzieści pięć stolików, każdy na trzy nakrycia. Niech nikt nie weźmie za przesadę, gdy powiem, że obiad wyprawiony na moją cześć, był wyborny, a usługa jaknajlepsza, po obiedzie zaś, całe zgromadzenie, udało się do ogrodu, gdzie próbowano naszej broni palnej, strzelając z niej do celu. Król podziwiał zręczność moich towarzyszy, a potem objawił chęć sprobowania także strzelby. Przyprowadzono konia, ja zaśnabiłem broń i podałem ją monarsze. Zmierzył, wypalił, a trafił tak celnie, że położył trupem zwierzę, poczem oświadczył publicznie, iż gotów jest spełnić każdą moją prośbę.

Skorzystałem oczywiście z pomyślnej chwili i skłoniwszy się nizko, prosiłem, aby mi wolno było powrócić jeszcze do Japonji i pod protekcyą rządu handel z tutejszymi poddanymi otworzyć.

— Charakter twój—powiedział król— wzbudza we mnie zupełne zaufanie, przyrzekam ci całego całego mojego u

cesarza użyć wpływu, abyś ze swymi okrętami mógł do wszystkich zawijać portów. Nie wdzieraj się tylko do spraw rządu, szanuj zwyczaje narodu, nie wprowadzaj, nam swych bonzów i fortec w Japonii nie zakładaj, a doznasz takiej od naszego rządu pomocy i opieki, jak gdybyś był naszym rodakiem.

Na tem skończyły się uroczystości tego pamiętnego dnia, nastąpiło po nich urzędowe przyjęcie u dworu, na którem Ulikamha wystąpił w otoczeniu magnatów i zbrojnej szlachty z obnażonemi szablami w rękach. Sekretarz, trzymając kałamarz i papier rozpoczął czytanie aktu umowy handlowej pomiędzy mną a Japonią, zaprzysiądz ją musiałem uroczyście, poczem król powierzył mojej opiece młodego japończyka, pragnąc, aby przez podróż ze mną wyćwiczył się w zagranicznych językach, i wręczyć mi kazał dary. Składały się one z szabli w złoto oprawnej, puszki napełnionej klejnotami i drugiej ze złotem, miało to złoto służyć na potrzeby młodego japończyka. Odtąd nie widziałem już monarchy.

Nadeszła nareszcie chwila odjazdu. Wskazany do posług mych szlachcic kazał sprowadzić kilka lektyk i udaliśmy

się niemi na brzeg morski. Okrywał go niezliczony tłum ludu, który spostrzegłszy nas wołał: Uli ulan! Wsiadłem do szalupy z bonzą i królewskimi urzędnikami, inni zaś ze dworu zabrali się na japońskich łodziach, których przeszło trzydzieści do okrętu nas odprowadziło. Spostrzegłszy, że bacik mój był nadpsuty posłali urzędnicy spiesznie na ląd po nowy, zgrabny, cały lakierem okryty i darowali mi go w imieniu króla. Wypłacając się chociaż w małej części wzajemnością rozdałem nowe podarunki pomiędzy bonzę i królewskich urzędników. Oddano mi wówczas dwa zwinięte pergaminy, które jak mi bonza powiedział, zawierały w sobie pozwolenie, że kiedy zechcę powrócić mogę do Japonii.

Chwila rozstania z poczciwymi i prawdziwie wspaniałej duszy ludźmi, zostanie mi na zawsze pamiętną. Monarchę pożegnałem już na lądzie, teraz ze łzami ściskałem bonzę i towarzyszących mu urzędników. Widziałem żal z jakim nas opuszczali, polecając mojej opiece młodego japończyka, a gdy odpłynęli nareszcie dowiedziałem się od Krustjewa, że wczasie mego na lądzie pobytu załoga bardzo korzystny zrobiła z ja-

pończykami handel wzamian za futra otrzymując złoto, porcelanę, perły i drogie kamienie.“

Oto jak Beniowski opisuje kilkodniowy pobyt swój w Japonii i musimy razem z nim podziwiać niezmierną szlachetność narodu, który, nie szukając żadnej dla siebie korzyści biegł ochoczo z wspaniałomyślną pomocą rozbitkom.

W Japonii poddani czuli się szczęśliwymi, spełniali z godnością swoje obowiązki, bo pojmowali, że wysoko nosić należy honor narodowego sztandaru, aby uszanować go musiał każdy, zarówno swój jak obcy.

Szkoda, że nie dane jest człowiekowi jasnowidzenie przyszłości, że Beniowski nie widział obecnego rozkwitu Japonii.

Historya jest wielką mistrzynią, uczyć się jej należy nie dlatego, żeby zapamiętać pewną ilość nazwisk i dat, ale żeby uszlachetnić serce świadomością przestróg, jakie nam daje. „Pan Bóg i na krzywych liniach prosto pisać umie“ mówi przysłowie włoskie, a nigdzie drogi Boże nie są tak widoczne, jak właśnie w historyi powstawania i upadku państw. Mrówcza praca wynosi na szczyt małe i nieznaczne ludy, rozpu-

sta, zdzierstwo, przekupstwo, podkopały byt najpotężniejszych monarchii. Niedojrzałe okiem drobnoustroje, budują wspólnemi siłami nowe lądy, podczas gdy niebotyczne skały kruszą się w proch pod nieustannem działaniem wody, to co widzimy w świecie fizycznym, powtarza się w historyi narodów, trzeba tylko budować zgodnie i trwale, takiem zaś fundamentalnem budowaniem lepszej przyszłości każdego narodu jest praca i cnota, fundament ten dał Japończykom dzisiejszą świetność, obyśmy ich naśladować umieli.

Czy mógł Beniowski odpłacić złem za doznane dobre? A jednak wiązała go obietnica dana towarzyszom na wyspie Wodnej, że dopomoże im do zdobycia w Japonii tyle kobiet, bydła i zboża, ile ich potrzebować będą dla założenia nowej osady. Liczył, że nie znajdzie się wśród załogi ani jeden człowiek zdolny do rabowania tych z którymi w przeddzień jeszcze łamał się chlebem i poprzysięgał wieczną wdzięczność za doznany ratunek. Nie zawiódł się na szczęście, bo gdy zgromadził towarzyszy, żeby im przypomnieć zobowiązanie swoje dopomożenia rozbójniczym zamiarom, powstał w zgromadzeniu ogólny okrzyk

protestu i żeglarze zrzekli się raczej powrotu na wyspę Wodną, niż żeby mieli krzywdzić Japończyków.

Beniowski, szczęśliwy z takiego obrotu sprawy, zaproponował skierowanie statku do brzegów chińskich.

— Sprzedamy w Kantonie resztę futer, mam nadzieję, że da nam to znaczne zyski, potem powinniśmy udać się do Europy, a skoro tylko uzyskamy tam opiekę i pomoc obcego jakiego mocarstwa, przystąpimy dopiero do wykonania naszego zamiaru, to jest do założenia potężnej osady w tych stronach; potęgę zaś wróżyć jej możemy śmiało, mając zapewniony przywilej na handel z Japonią.

Okrzyki zapału przerwały mowę wodza, przyrzekano mu bezwzględne posłuszeństwo, godzono się na wszystkie jego plany, oddawano z całem zaufaniem losy przyszłej kolonii w ręce doświadczonego i dzielnego przewodnika.

Beniowski szczęśliwy doznanymi dowodami zaufania, kazał podnieść kotwicę i o trzeciej z południa po dwudziestokrotnych wystrzałach z armat na cześć kraju, który opuszczali z żalem, ruszył statek pod żagle i płynął środkiem niezliczonego mnóstwa łodzi ryba-

ckich, z których bezustanku wznosiły się pożegnalne dla cudzoziemców okrzyki: Uli ulan! uli ulan!

ROZDZIAŁ VII.

Był już sierpień, upały obezwładniały załogę, a właśnie należało wytężyć wszystkie siły dla ratowania okrętu, w którego spojeniu powstała bardzo znaczna szpara.

Beniowski sam zrewidował statek, i przekonał się, że woda wali do wnętrza przez otwór objętości ramienia, tem niebezpieczniejszy, że na przodzie okrętu. Nieszczęśliwy ten wypadek pochodził zapewne z niedbalstwa żeglarzy, że niedostrzegli dość wcześnie odbicia smoły na spojeniach, odbicie nastąpić mogło przy zderzeniu o jedną z łodzi japońskich, a teraz nawet wódz nie wiedział sposobu zaradzenia złemu. Ku zachodowi słońca wiatr opadł nieco, ale morze wydawało szmer podobny do tego, jaki powstaje wtedy kiedy rzeka do niego wpada. Od szóstej po południu pompowano wodę aż do północy, nie ustając

ani na chwilę, pomimo to wysokość jej na dnie okrętu wynosiła 4 stopy.

O 8 godzinie powstał silny północny wiatr i w tejże samej chwili krzyknął sternik, że widzi ziemię. Spadł ciężki kamień z piersi załogi, należało za jakąbądź cenę dobić do lądu, ładunek bowiem, poruszony wielką ilością wody na dnie, przechylił na jedną stronę okręt, woda dochodziła już do pomostu.

Beniowski, pomimo ciemnej nocy, postanowił bądź co bądź wejść do cieśniny, u której wejścia statek się zatrzymał, że jednak nikt dojrzeć nie mógł kierunku kanału, kazał naprzód płynąć łodzi i mierzyć sondą głębokość wody, a resztę załogi odkomenderował do pomp bo woda na dnie sięgała już 5 stóp. Tymczasem wzmógł się wiatr, grożąc blizką nawałnicą, należało podwoić ostrożnożności, nie dowierzając nikomu, wsiadł Beniowski z czterema ludźmi do darowanej mu przez Japończyków łódki i płynął przed okrętem, poleciwszy aby tuż za nim prowadzono statek pod tylu tylko żaglami, ile ich wiatr znieść potrafi.

Przewidywania komendanta okazały się słusznemi. Powstał o czwartej okropny szturm, bałwany z szaloną wściekło-

ścią uderzały o nawę statku, pietrząc się i zalewając pomost, a z fali na falę rzucając łódką jak łupiną orzecha. Daremnie żeglarze wytężali siły, żeby utrzymać kierunek, daremnie Beniowski wspierał ich dzielną swą dłonią, łódź wpadła z impetem na skałę, która stanowiła wysuniętą naprzód ścianę południową odnogi, i uderzywszy o nią rozleciała się w drzazgi o 200 blizko sążni od brzegu.

„Dzięki Opatrzności — pisze Beniowski — nie straciłem w tak okropnem zdarzenie przytomności, a choć morze było wzburzone wpław dostałem się do lądu. Szukano mnie tam długo i sądzono już zgubionym, kiedy znaleziono nareszcie rozciągniętego pod drzewem i prawie bez duszy. Otrzeźwiony staraniem towarzyszy odzyskałem zupełnie zmysły i dowiedziałem się z radością, że okręt stoi na kotwicy w dobrym porcie. Niestety towarzysze moi płynący łodzią zniknęli także wśród fal i dwóch tylko z nich udało się dotrzeźwić, dwaj inni leżeli martwi na brzegu. Zgryziony fatalnym wypadkiem, a osłabiony wodą i utrudzeniem popłynąłem jednak do okrętu, który stał tak zanurzony w wodzie, że dla uratowania przynajmniej części ładunku musiałem dobrowolnie

wpędzić go na piasek, sam zaś wróciłem na ląd, byłem bowiem zmordowany przymusową kąpielą. Towarzysze moi rozbili dla mnie namiot, poczem zajęli się wyładowywaniem statku, a także oddaniem smutnej posługi dwóm utopionym kolegom“

Beniowski pisze dalej, że troskliwości towarzyszy zawdzięcza życie, wpadł bowiem w letarg, z którego wydobyto go trąc nieustannie całe ciało, a gdy wreszcie odzyskał po raz drugi przytomność powiedziano mu, że wyspa, na którą wylądował, w tak niebezpieczny sposób, jest zamieszkałą przez ludność jak się zdaje, w części przynajmniej ucywilizowaną, i że nazywa się Usmay Ligon.

Jakoż do leżącego jeszcze komendanta zgłosiło się dwóch wyspiarzy i ku niezmiernemu jego zdziwieniu wręczyło mu zwinięty papier. Porwał go chciwie Beniowski i wyczytał po łacinie co następuje.

„Niechaj Pan Nasz Jezus Chrystus błogosławi czytelnika.

Roku 1749 d. 24 maja przybyłem na tę wyspę z trzema towarzyszami, zakonnikami zgromadzenia Jezusowego. Uradowany uprzejmem mieszkańców jej przyjęciem, umyśliłem założyć tu moje

siedlisko, dla rozkrzewienia i opowiadania Słowa Bożego. Zwierzchnicy tej wyspy rozmawiali ze mną językiem mandaryńskim, znalazłem w nich chęć najżywszą poznania religii katolickiej. Sami dopomagali mi w przykrych trudach podjętych dla rozszerzenia wiary świętej i za cudowną sprawą świętego patrona naszego Zgromadzenia miałem ukontentowanie w przeciągu roku widzieć 200 nowoochrzczonych, których chwalebny zapał, stateczność i cierpliwość nadzieje moje nawet przewyższyły. W r. 1750 trzej moi towarzysze popłynęli do innych pobliskich wysp, gdzie bez wątpienia dopełnili z żarliwością swoich powinności, ja zaś zagrożony w 1754 r. ciężką chorobą, osądziłem rzeczą słuszną niniejsze oświadczenie złożyć w ręce rządców tej wyspy, aby dokładne znaleźć w niem mogli objaśnienie ci z naszego zgromadzenia, których Opatrzność do tej zaprowadzi wyspy. Ktokolwiek więc na nią zawitasz czcicielu Boga w Trójcy Ś-ej Jedynego, ufam, że dołożysz wszelkich starań i usilności ku pożytkowi chrześcijaństwa, opowiadając cuda i naukę Zbawiciela pomiędzy tych godnych szacunku wyspiarzy, którzy obyczajów są czystych i uczciwych,

swobodni, nie podlegają Chinom ani Japonii. Wyjąwszy małej liczby okrętów kupieckich tych państw, które tu zawijają, żaden jeszcze obcy żeglarz tu nie wylądował, widywałem jednak okręty holenderskie płynące około brzegów tej wyspy.

Pisałem dnia 18 septembra 1754, na wyspie Usmay Ligon.

Ignacy Salis, Misionarz indyjski z towarzystwa Jezusowego a portugalczyk rodem.“

Beniowski był tak wzruszony listem dobrego zakonnika, że przycisnął pismo do ust a tą oznaką uszanowania niezmiernie ujął sobie wyspiarzy, pozozumieć się jednak z nimi nie mógł, odeszli tem zasmuceni, ale powrócili, wkrótce prowadząc z sobą około 300 towarzyszy, bez żadnej broni tylko z parasolami w ręku. Na czele tej gromady szli dwaj starcy, przystąpili oni do komendanta i uczyniwszy znak Krzyża Św. wręczyli mu stary brewiarz, który niosło czterech ludzi na rozpostartym bogatym kobiercu.

Księga, jak wskazywał podpis, należała kiedyś do misionarza Salisa, Beniowski ucałował ją z uszanowaniem, a potem kazał przynieść z okrętu wielki krucyfiks. Wszyscy wyspiarze padli

wobec krzyża na kolana i wzniósłszy ręce do góry wołali: Hisos Chrystos! Hisos Christos! tak długo, aż Beniowski spostrzegłszy, że nie podniosą się, póki krucyfiks mieć będą przed oczami, kazał odnieść go z powrotem na okręt.

Szczera pobożność wyspiarzy rozczuliła wszystkich podróżnych, nie mogąc się porozumieć ściskano sobie wzajemnie ręce, próbując na migi wytłomaczyć swoje uczucia i dać poznać przybyłym, że okręt jest w jaknajgorszym stanie i potrzebuje natychmiastowej reparacyi. Wyspiarze zrozumieli doskonale czego od nich żądano, pożegnali uprzejmie Beniowskiego, a w godzinę potem wrócili na statkach naładowanych drzewem, powrozami i zapasami żywności, jak trzciną cukrowa, ryż, owoce, ryby i mięsiwa. Żwawo, dzielnie, nawet umiejętnie, zabrała się gromada gościnnych wyspiarzy do ratowania obcych przybyszów, jedni, widocznie cieśle, pokazywali na migi, że są gotowi naprawiać uszkodzony statek, inni, nie tracąc czasu, rozpalili ogniska i zabrali się do gotowania obiadu z zapasów jakie z sobą przywieźli.

Pracowali zaś ci dobrzy ludzie tak chętnie, że już w kilka dni potem nie

tylko otwór w okręcie był naprawiony, ale zbudowano na lądzie kilkanaście małych chat, w których towarzysze Beniowskiego wybornie pomieścić się mogli, on zaś sam wyłączny na swój użyrek dostał domek, otoczony palisadą i uzbrojony czterema armatami po rogach, wyglądał jak prawdziwa rezydencya wodza małej armii, choć armii tej na razie nie groziło żadne niebezpieczeństwo od uprzejmych wyspiarzy.

A że uprzejmemi być umieli dowodziło staranie ich aby europejczykom na niczem nie zbywało. Jeśli cieśle sprawili się dzielnie przy naprawie okrętu, to niemniej świetnie wypadł popis kucharzy. Obiad wspólny zastawiony pod drzewami, smakował wszystkim wyśmienicie, składał się zaś z ryżu i bananów gotowanych z mięsem, a kucharze oświadczyli swoim gościom, że stosując się do miejscowych zwyczajów, trzy razy dziennie wszyscy biesiadować będą. Za napój podano do stołu trunek podobny do miodu i rack, to jest essencyą pędzoną z ryżu.

Wypocząwszy należycie zajął się Beniowski wydaniem rozporządzeń co do dłuższego na wyspie Usmay-Ligon pobytu. Główną jego troską było przej-

rzenie zamokniętego ładunku, zwłaszcza zajmowały go futra, gdyż stanowiły one jedyne bogactwo załogi. Spodziewał się drogo sprzedać w Chinach swój towar, kazał go więc wydobyć ze skrzyni i przewietrzyć, niestety przewidywania komendanta, aż nadto były uzasadnione, bo woda większą część towaru zupełnie zniszczyła, należało co prędzej resztę ocalonych futer wysuszyć i wytrzepać. Staranie o to wziął na siebie Windblat, Panowowi oddał Beniowski służbę wojskową załogi, Bielski z Kuzniecowem podjęli się naprawy masztów i żaglów, a obowiązkiem Krustjewa było myśleć o żywności. Sam zaś wódz zachował na swoją część zajęć traktowanie w różnych sprawach z wyspiarzami i bardzo chętnie przebywał wśród nich, bo byli to ludzie pełni prostoty o szlachetnych i prawych sercach. Piękne położenie wyspy, klimat jej gorący, ale bardzo miły wpływały kojąco na duszę naszego bohatera. Czuł się tu szczęśliwy i spokojny, wypoczywał nietylko fizycznie, po trudach walki i żeglugi, ale, co stokroć ważniejsza, dochodził do równowagi moralnej i odzyskiwał spokój serca, którego nie czuł od dawna.

Toż od dwóch lat był igrzyskiem dziwnych zmian losu.

Młodzieniaszek zdobył walecznością stopień generała, dostąpił więc najwyższych w wojsku polskiem zaszczytów, na to aby bez względu na swoją rangę, być poniewieranym w niewoli, zakutym niby pospolity zbrodniarz, więzionym, wleczonym na daleką północ i wyrzuconym tam jako wygnaniec—los, który, w niczem nie był lepszym od losu każdego niewolnika. I z takiego to poniżającego godność człowieka położenia, wyrwał Beniowskiego nowy kaprys fortuny, jak on się w swych pamiętnikach wyraża. Ulubieniec, przyszły zięć wszechwładnego wielkorządcy Kamczatki, był jako więzień celem zazdrości ogólnej, ale sam z sobą nie czuł się w zgodzie i kto wieczy nie cięższem było mu udawanie przyjaźni dla ludzi, nie zasługujących na szacunek, cięższa wreszcie konieczność zdradzenia tych ludzi, niż kajdany jakie dźwigał dotychczas.

Gorzko mu było pomyśleć, że on, wolny rycerz, przyzwyczajony w otwartem polu bić się z równemi siłami, przymuszony został krzywdą wyrządzoną sobie, do czynu nieszlachetnego, do użycia podstępu, wstrętnego naturom prawym i przywykłym działać otwarcie.

Czuł ogromny żal, żal słuszny, bo prze-

moc zatruła mu jadem duszę, którą on dostał od Boga czystą i do szlachetnych czynów zdolną. W tem leży przekleństwo zła, że rodzi ono nowe zło. Przemoc nietylko odbiera swobodę i pozbawia wolności jej obrońców, co może najgorszą wyradza w skrzywdzonych nienawiść względem ciemiężycieli, chęć zrzucenia ich jarzma za jaką bądź cenę, chociażby nawet za cenę cierpień i goryczy, jaką czuł Beniowski, ilekroć wracał wspomnieniem do czasu przebytego na Kamczatce. Gardził ludźmi tej miary co Niłow, kanclerz i półdziki ataman, a jednak myśl, że zdradz ł ich zaufanie, że musiał, dla dopięcia swoich zamiarów, kłamać im przyjaźń—była mu źródłem nieustannego udręczenia, które koił pobyt wśród prostych i do gruntu duszy szlachetnych wyspiarzy z Usmay Ligon.

Chcąc ich lepiej poznać, wtajemniczyć się w życie codzienne i rodzinne należało koniecznie wymyśleć sposób porozumiewania się słowami a nie na migi. Beniowski zaradził w części tej trudności, zalecił bowiem wszystkim swoim towarzyszom, którzy umieli pisać, aby ułożyli dykcyonarz najpotrzebniejszych wyrazów, a dowiedziawszy

się ich znaczenia w języku wyspiarzy wyrazy te umieszczali w odpowiedniej rubryce. Rozkaz wypełniono ściśle i wkrótce regester słów, służący za podręczny dykcyonarz, wynosił już przeszło sto, których wódz wyuczył się na pamięć, a zdarzyła się właśnie doskonała sposobność zużytkowania w porę nabytej wiadomości.

Zjawił się w mieszkaniu komendanta znakomity wyspiarz, przybrany w suknią z błękitnej materyi i biały jedwabny płaszcz. Otaczał go liczny orszak krajowców, a po hołdach jakie mu ten orszak oddawał, łatwo było poznać, że wyjątkowego używa wśród wyspiarzy znaczenia. Szedł wolno z godnością, nie zdejmując czapki zrobionej z pięknego jakiegoś futerka, był przepasany czarnym szerokim pasem, a na nogach miał atłasowe sandały. Przystąpiwszy do Beniowskiego przeżegnał się i wziął go za rękę, co ten naśladował, a że wiedział już jakim wyrazem powitać należy wyspiarza wymówił słowo „Tho!“ na co, ku wielkiemu swemu zdziwieniu usłyszał odpowiedź w portugalskim języku i dowiedział się z niej, że gość jest rodem z Tonkinu, przybył tu z ojcem Ignacym, którego zwał Dzi-

gnaro i że od śmierci misyonarza osiadł na wyspie Usmay Ligon, a posiadłszy zaufanie mieszkańców został ich naczelnikiem.

Cieszył się Beniowski ze spotkania człowieka, z którym mógł rozmawiać, prosił też usilnie tonkińczyka aby został jego przyjacielem i otrzymał gorące zapewnienie tych uczuć oraz uprzejmą propozycyą odwiedzenia grobu Dzignara. Znajdował się on w głębi wyspy, a że dla dojechania na wskazane miejsce trzeba było przebywać zatokę, wsiadł Beniowski z dwoma towarzyszami i dwoma przewodnikami do łodzi i, jak pisze żartując z tej wyprawy w pamiętnikach. „Jeśli dotąd byłem awanturnikiem i żeglarzem to teraz najniespodziewaniej zostałem pielgrzymem“.

Widok jaki go uderzył za przybyciem na miejsce spoczynku misyonarza odebrał mu jednak wszelką ochŏtę do żartów tak był poważny i wzruszający. Znajdował się tam duży, starannie utrzymany ogród a przy nim schludna biała chata, mieszkanie starca, który pielęgnował kwiaty i strzegł grobu. Uczęstowani herbatą przez uprzejmego stróża, poszliśmy razem z nim na mały wzgórek, dokoła którego klęczało około

pięćdziesięciu osób obojej płci i najtkliwszym głosem wołało: ilo Dzignaro! co znaczy przyjacielu Ignacy! Wzgórek otoczony był tysiącem roślin, a w środku wznosił się czworograniasty domek. Starzec wprowadził Beniowskiego i jego towarzyszy do wnętrza. Znajdował się w tej improwizowanej grobowej kaplicy ołtarz, stał na nim krucyfiks a na ścianie wisiał obraz Najświętszej Panny, bardzo źle malowany, zaledwie z korony na głowie i księżyca pod nogami można było poznać że to wyobrażenie Matki Boskiej. Oddawszy cześć winną Bogu w tej ubogiej, ale uszanowanie budzącej świątyni, ukazał, starzec pielgrzymom dwie urny, w których popioły Dzignarego spoczywały, z napisem na frontowej ścianie składający się z pojedyńczych liter: I. H. S. O. H. M. D. G. B. V. M. O. S. N., potem imię Jezus i rok 1751, a dalej kilka wierszy zupełnie już nieczytelnych.

— Oto wszystko co zostało po pobożnym i pełnym poświęcenia misyonarzu, — mówili europejczycy, — a jednak, nie umarł on cały, bo żył w sercach wdzięcznych wyspiarzy, których uszlachetnił charakter i poprawił byt przez oświatę.

Miał się o tem przekonać Beniowski za powrotem do swojej chaty, czekał go tam raport z okrętu o poczynionych już reparacyach, oraz sprawozdania Windblata, który odbył właśnie dłuższą w głąb wyspy wycieczkę i z największem zdziwieniem znalazł u krajowców dobrze uprawne plantacye, a także dość rozwinięty przemysł garncarski, hodowlę pszczół, warsztaty tkackie, czem szczególnie trudniły się kobiety, wyrabiając piękne wełniane i bawełniane materye. Beniowski dostał potem kilkanaście takich sztuk i rozdał je załodze, żądając aby wszyscy jego żołnierze jednakowe nosili ubrania, lekkie a wygodne kaftany i takież spodnie.

Opowiadanie Windblata wyglądało istotnie na bajkę z tysiąca nocy, rozwodził się on obszernie nad porządnie zabudowanemi wioskami, w prześlicznej leżących okolicy, nad dobrze uprawnemi polami, pokrytemi dojrzałem zbożem, nad sadami pełnemi drzew pomarańczowych, orzechów kokosowych, bananów, cytryn. Drzewa otoczone były grzędami melonów i arbuzów, które rozkładały swe olbrzymie owoce wśród kukurydzy, grochu, prosa, i innych jarzyn. Z ryżu pędzono wyborne, na różny sposób przyprawne likiery.

— Sprawdź sam słuszność moich spostrzeżeń — powiedział w końcu Windblat i Beniowski, zaciekawiony pochlebnym opisem, wybrał się istotnie na kilkodniową wycieczkę; wrócił z niej nietylko oczarowany kwitnącym stanem wyspy, ale z mocnem postanowieniem założenia osady wśród ludu, który pokochał dla jego łagodności i szlachetnej bezinteresowności.

Rozmyślał właśnie nad najłatwiejszem wykonaniem swoich zamiarów, kiedy odwiedził go Tonkińczyk i obiecał skłonić wyspiarzy do oddania części swych gruntów cudzoziemcom, oraz przypuszczenia ich do wszystkich swych zaszczytów i swobód. Pragnął tylko poznać historyę życia Beniowskiego, a choć nie wszystkie mógł z niej zrozumieć szczegóły, opowiadanie o niewoli i wygnaniu do łez go rozrzewniły. Rzucił się komendantowi na szyję, uściskał jaknajczulej i wywzajemniając zaufaniem za zaufanie, opowiedział mu także historyę swego życia, rozwodząc się zwłaszcza nad przyjaźnią, jaką miał dla ojca Ignacego, z którym przybył do Usmay Ligon. Po zejściu ze świata tego szlachetnego misyonarza, wyspiarze niemal gwałtem przymusili Tonkińczyka do wy-

brania sobie żony z pośród mieszkańców wyspy i obrali go wodzem siły zbrojnej, okazując mu odtąd jaknajwiększe poważanie.

— Stopień ten jednak i ta ufność nie nadają mi najmniejszej władzy nad mieszkańcami — kończył swe opowiadanie Tonkińczyk — żyjemy tu wszyscy w zupełnej równości, a zależymy tylko od zgromadzenia starców, które jest złożone ze wszystkich naczelników rodzin, nawet wysp sąsiednich.

Przerwało dalszą rozmowę przybycie kilkudziesięciu wyspiarzy, była to delegacja od wszystkich mieszkańców wyspy, wysłana do komendanta z prośbą, aby między nimi osiadł, obiecując podział gruntów z nowoprzybyłymi, nauczanie ich wszelkich robót, jakie znali krajowcy, oraz oddanie im swoich córek za żony.

Propozycya zrobiona w formie ujmującej a prostej, do łez wzruszyła Beniowskiego. Rozważył on jednak w duchu, że do założenia osady wśród tak spokojnego i cnotliwego ludu, użyteczniejszych rąk i stateczniejszych głów potrzeba, niźli je mieli jego towarzysze, pomiędzy którymi trafiały się takie awan-

turnicze jednostki, jak Stefanow albo Izmaiłow, siostrzeniec kanclerza.

Odpowiedział więc wyspiarzon, że żadną miarą nie jest w stanie założyć osady wprzód, aż po powrocie z Europy, gdzie chce odwiedzić ojczyznę, przekonać się o jej losach, a także zobaczyć rodzinę i przyjaciół, zanim wieczny z niemi uczyni rozbrat.

Przekonani tą uwagą wodza, przestali na niego nalegać, a odkładając spełnienie swych życzeń aż do późniejszego czasu, prosili tylko aby pozwolił swoim towarzyszom odwiedzać ich rodziny i żyć z niemi w przyjaźni.

— Zaręczamy ci, — rzekli — że bez ustanku błagać będziemy Boga, by pomyślnością uwieńczył twą podroż i jaknajprędzej nam ciebie powrócił. Przez ciąg zaś twojej tu jeszcze bytności, śmiało nas uważaj za twoich przyjaciół i twoich braci.

Po skończeniu tej rozmowy, rozbiegli się krajowcy do swoich rodzin, żeby zanieść im radosną wieść o spodziewanych odwiedzinach Europejczyków, Beniowski zaś zwołał całą załogę statku i przełożył towarzyszom, jak szkaradną byłoby zbrodnią, nadużyć zaufania wyspiarzy. Zażądał uroczystego słowa, że

obchodzić się będą z krajowcami wedle wszelkich zasad honoru i uczciwości, poczem obwieścił towarzyszom, iż każdy może się udać w głąb wyspy, co było dotąd najsurowiej wzbronione. Położył tylko za warunek, aby trzecia część załogi zostawała zawsze przy wodzu, dla strzeżenia pak z futrami i sprzętów, a także dla naprawy okrętu.

Trudno wyrazić radość żeglarzy z otrzymanego pozwolenia, rozbiegła się zaraz cała zwolniona partya, broń zostawiając w mieszkaniu komendanta. Ale i sam komendant uległ pokusie przechadzki po cudnej krainie, która nietylko że wydawała najpiękniejsze zboża i owoce, była jeszcze siedliskiem najszlachetniejszych ludzi; któż nie chciałby żyć tam, gdzie wszyscy obywatele są równi, gdzie nikt nikomu nie wydziera wolności, a rządy sprawuje łagodny areopag starców. Ci szanowni ojcowie rodzin przypominali pewnie Beniowskiemu i jego polskim towarzyszom, stare Słowian obyczaje, czasy, kiedy jeszcze Niemiec nie przekroczył granicznych rzek Wezery i Elby, nie zmusił Polan do przekucia pługa na dzidę dla obrony rodzinnego zagonu.

Szedł Beniowski wśród gęstego lasu,

aż doszedł do wioski, złożonej z 80 chat, a otoczonej gęstym płotem. Każda z tych chat miała ogródek, zabudowania gospodarskie i jaśniejące czystością podwórze. Wszystkie budynki były drewniane, stanowiły jedną szeroką a prostą ulicę wysadzoną gęstemi i rozłożystemi drzewami. Przed mieszkaniem Tonkińczyka stało kilkudziesięciu krajowców, wprowadzono tam komendanta, wydając radosne okrzyki na jego cześć i starając się go przyjąć jaknajuprzejmniej. Podano herbatę, poczem wyspiarze poszli z sobą w zapasy i przy tych gimnastycznych zapasach dawali dowody wielkiej zręczności; gdy zaś ten rodzaj zabawy został wyczerpany po męskich igrzyskach, zaczęły się tańce młodych dziewcząt przy odgłosie instrumentów podobnych do gitary. Trwały te zabawy aż do obiadu, który zastawiono w cieniu wielkich drzew w pośrodku dużego czworokątnego placu. Biesiada ta wydała się tem dziwną Beniowskiemu, że każdy naczelnik rodziny przyniósł z sobą przygotowane w domu potrawy, kobiety mężatki jadły osobno, gdyż używają one w Usmay-Ligon dużo mniej swobody niż panny i nie pokazują się nigdy inaczej mężczyznom, jak w zasło-

nach na twarzy. Dziewczęta za to używają zupełnej wolności, one to przy wspólnej biesiadzie podawały potrawy i usługiwały do stołu.

Ku końcowi bankietu zmieszano jakiś likier robiony z ryżu, z sokiem wyciśniętym z trzciny cukrowej. Napój ten, choć bardzo smaczny, był też i bardzo tęgi i łatwo mógł upoić biesiadników, a w każdym razie wprowadził wszystkich w wyśmienity humor. Rozmowa stawała się coraz więcej ożywioną, aż nareszcie wyspiarze zaczęli namawiać Beniowskiego, aby wybrał sobie jedną z ich córek na żonę. Z początku wzbraniał się przystać na ten wniosek, lecz zniewolony powszechnemi prośbami i ogólnem naleganiem, musiał dać słowo, iż natychmiast wybór uczyni, pod tym warunkiem jednak, aby dopełnienie małżeństwa nastąpiło dopiero za jego powrotem z Europy.

Ledwie Beniowski wymówił te słowa, porwali się od stołu wszyscy ojcowie rodzin i pośpieszyli na naradę dla wyznaczenia siedmiu dziewcząt, z pomiędzy których miał sobie wódz wybrać małżonkę. Jakoż nie upłynęła godzina, kiedy dano mu znać, że czeka go gromada krajowców i rozpoczęła się ceremo-

nia, którą nasz lud nazwałby może zrękowinami.

Siedli naprzód starcy w okrąg na rozpostartych na murawie pięknych matach. Nadeszło potem siedem kobiet, każda okryta zasłoną, każda z nich prowadziła za rękę młodą panienkę, przybraną w białą, jedwabną suknię, którą przepasywała błękitna, jedwabna szarfa, rozpuszczone włosy zdobiły wieńce ze świeżych kwiatów. Jak tylko matki z córkami weszły w koło, utworzone przez starców, Tonkińczyk wprowadził Beniowskiego między nich, a posadziwszy prosił, aby przyjrzał się dowoli tym ślicznym dziewczętom i dogadzając powszechnemu życzeniu wybór z nich uczynił. Tymczasem jeden ze starców miał długą przemowę, po której podał Beniowskiemu zasłonę, żądając aby rzucił ją na wybraną przez siebie dziewicę.

Zmieszała komendanta ta propozycya, niełatwy bowiem był wybór między siedmiu dorodnemi panienkami, obawiał się przytem obrazić sześć, oddając pierwszeństwo jednej, ale Tonkińczyk zaręczył mu słowem, że żadnej nie rozgniewa, rzucił więc zasłonę na tę, która mu się najwięcej podobała, a którą zwano Tinta Wolangta. Jak za uderzeniem

laski czarodziejskiej, odmieniła się natychmiast scena. Powszechne milczenie ustąpiło radosnym okrzykom, starzy usunęli się z koła, a miejsce ich zastąpiły rówieśniczki młodej narzeczonej i otoczywszy ją wieńcem, tańczyły ochoczo, obsypując wybraną najczulszemi pieszczotami, poczem przy odgłosie licznych instrumentów udały się wszystkie na wieś. Było bowiem zwyczajem wyspiarzy, a zwyczaj ten przypomina bardzo nasze krakowskie, albo sandomierskie obrządki zaślubin, że narzeczona oprowadzana jest po wszystkich domostwach wsi, którą zamieszkuje, aby sama uwiadomiła każdego z gospodarzy o swem przyszłem zamęściu, a także aby odebrała dary wręczone młodej parze przy tej okazji. Podczas tej wędrówki narzeczonej, wszyscy ojcowie rodzin częstowani byli herbatą i fajkami, trwał ten poczęstunek do godziny piątej, to jest do powrotu oblubienicy, którą przyprowadziła matka, sama jeszcze piękna i młoda, nie miała bowiem więcej jak 34 lat.

Tak się zakończyły uroczystości zrękowin, po których odprowadzono narzeczoną do domu rodzicielskiego, Beniowski zaś zaraz nazajutrz zawarł z Ton-

kińczykiem, upoważnionym do tego przez wyspiarzy, umowę, której najważniejsze artykuły brzmiały, jak następuje:

1. Obywatele Usmay-Ligońscy uznają Beniowskiego swoim współziomkiem i przyjacielem, on zaś nawzajem przysięga im niezmienne nigdy przywiązanie.

2. Ponieważ Beniowski odjeżdża ze stałem postanowieniem wrócenia na wyspę i założenia na niej osady, wyspiarze z Usmay Ligon obowiązują się w ciągu jego nieobecności odznaczyć kawał gruntów w części południowej kraju, gdzie wybudują wieś złożoną z 200 chat, któremi za powrotem Beniowski rozporządzi według swego upodobania.

3. Beniowski obowiązuje się, osiadłszy w Usmay we wszystkiem czyny swoje stosować do zwyczajów i praw krajowych.

Na świadka i poręczyciela zobopólnej tej umowy, wezwały obie strony najwyższego władcę natury Boga.

Po dokonaniu i spisaniu przedwstępnych punktów umowy, uznał Beniowski za właściwe, a nawet konieczne, obdarować nowych swych współziomków tak hojnie, jak oni okazali się względem niego wspaniałomyślnymi. Dał im przeto w upominku 80 muszkietów, 20

baryłek prochu, 10 worków kul, 100 szabli, 600 włóczni i 1200 rozmaitych narzędzi żelaznych. Podarunek ten, przyjęty został z największą radością, a tem cenniejszą stanowił dla krajowców zdobycz, że na całej wyspie znajdowało się zaledwie 10 szturmaków a i te lontami zapalać musiano. Zaraz jednak odebrali żeglarze nowy dowód wspaniałomyślności swych przyszłych współobywateli. Wdzięczni wyspiarze dbając o żywność dla załogi, przyprowadzili Beniowskiemu 10 wołów, 40 świń, moc niezmierną ryżu, prosa i innych produktów, na co komendant odpowiedział hojnym podarkiem dla Tonkińczyka, wręczył mu bowiem w upominku kilka najpiękniejszych futer, niestety zapas ich był już bardzo szczupły; tak wiele szkody zrobiła woda w cennym tym towarze.

Po odejściu wyspiarzy wydał Beniowski rozkaz iżby nazajutrz, skoro świt, okręt na morze spuszczono i zajęto się ładowaniem na niego żywności oraz sprzętów, które przez czas pobytu żeglarzy na lądzie, służyły im w ich chatach. Jakoż ledwie dzień się zrobił, rozpoczęto robotę około statku, i właśnie komendant szedł nad brzeg dla dozorowania przygotowań do podróży, kiedy zastą-

piło mu drogę pięciu towarzyszy i zaniosło do niego prośbę, aby pozwolił im osiąść na wyspie.

Pobyt wśród wyjątkowo dobrych i rzadkimi przymiotami charakteru obdarzonych mieszkańców, był dla samego Beniowskiego tak ponętnym, że przeląkł się aby cała załoga statku nie poszła za przykładem pierwszych pięciu. Wiemy już jakie względy wstrzymywały naszego bohatera od natychmiastowego osiedlenia się w Usmay-Ligon, użył więc całej wymowy, żeby odwieść towarzyszy od zamiaru pozostania na wyspie. Zaręczył im uroczyście, że poruszy wszystkie swoje wpływy, aby za powrotem do Europy skłonić jakie mocarstwo do dopomożenia zwykłymi w takich razach środkami, w założeniu potężnej i szczęśliwej osady.

— Próżne są wszystkie twoje przełożenia, wodzu, — powiedział jeden z pięciu przybyłych, — jeśli pragniesz naszego szczęścia, przestań się nam opierać, okaż, że jesteś prawdziwym naszym przyjacielem i udziel nam zapasów potrzebnych do założenia gospodarstw, błagamy cię o to w imię wspólnie przebytych niebezpieczeństw.

Cóż mógł odpowiedzieć Beniowski na

takie zaklęcie? To czego pragnęli ci pięciu było skrytem marzeniem własnej jego skołatanej duszy, dał więc przyzwolenie, wprzód jednak odebrał od towarzyszy słowo, że nikomu o swem postanowieniu nie powiedzą i nikogo namawiać nie będą do związku.

Stefanow domyślił się jednak, jakie zamiary mają jego koledzy, oświadczył też natychmiast chęć zostania z nimi, ale okrzyknięto się na tę propozycyę z oburzeniem.

— Zostajemy na wyspie dlatego, żeby resztę dni życia spędzić w spokoju, a ten kłótnik i zawadyaka, ten podżegacz do buntów, zatruje nam każdą chwilę, nie chcemy go mieć w swojem gronie, — wołali towarzysze.

Stefanow mógł się teraz przekonać, jak nizko ceniono jego charakter. Doznał wzgardy i niechęci kolegów, a to najcięższą jest karą dla młodego.

Beniowski polecił Krustjewowi zaopatrzenie w broń, sprzęty, żywność i narzędzia pięciu nowych osadników Usmay Ligonu, za pośrednictwem Tonkińczyka oddał ich opiece wyspiarzy, na co tysiąc krajowców zebrało się w jednej chwili, aby zapewnić komendanta o życzliwości swojej dla jego towarzyszy, a każ-

dy, wedle swej możności niósł mu jakiś upominek. Zebrało się stąd więcej niż 1800 łokci płótna, około 300 parasoli, kilkadziesiąt figur z kości słoniowej, oprawionych w złoto i niezmierna moc rozmaitych naczyń.

Nadeszła nareszcie chwila odjazdu z tej uroczej wyspy. Beniowski wydał odpowiednie rozkazy, że zaś nie zdołano pokończyć w dzień ostatecznych przygotowań do drogi, strawiono całą noc nad ładowaniem okrętu, który o świcie mógł już wyruszyć pod żagle. Wprzód jednak uznał komendant koniecznem, dla zapewnienia sobie przyjaźni wyspiarzy, dokonać uroczystego aktu zaprzysiężenia zobopólnego traktatu, który w tym celu przygotować kazał w dwóch językach, miejscowym krajowców, i łacińskim. Dwie wierzytelne kopie umowy, opatrzone podpisami, wręczone zostały obu stronom, jedną zatrzymał przy sobie Beniowski, druga pozostała w rękach starców-rządców w Usmay. Brzmiało zaś to przymierze jak następuje:

„Traktat zawarty między Naczelnikami i mieszkańcami wysp Legnejo z jednej — a hrabią Maurycym Augustem Beniowskim, imieniem załogi pod jego zostającej rządem, z drugiej strony, pod-

pisany roku 1771 na wyspie Usmay-Ligon, jednej z wysp Legnejo.“

„W obliczu Boga, który niebo i ziemię stworzył, my Naczelnicy i obywatele wyspy Usmay-Ligon i innych wysp Legnejo z jednej — i ja Maurycy hrabia Beniowski z drugiej strony, ułożyliśmy:

I. Że ja hrabia Maurycy Beniowski obowiązuję się i przyrzekam na wiarę chrześcijańską, iż natychmiast, skoro tylko będzie w mej mocy, powrócę do tej wyspy w towarzystwie ludzi sprawiedliwych, poczciwych, skromnych i cnotliwych, z którymi osiadłszy na niej zachowam się wedle zwyczajów, obyczajów i praw tutejszych mieszkańców.

II. My zaś naczelnicy i obywatele, wziąwszy na świadectwo tego Boga, co ziemię i niebo stworzył, zaręczamy, iż w każdym czasie uprzejmie i życzliwem sercem przyjmiemy naszego przyjaciela Maurycego, podobnież jak i tych wszystkich, którzy w towarzystwie jego przybędą, niemniej przyrzekamy, że podzielimy się z nimi naszymi gruntami, a pracą rąk naszych dopomagać póty nie przestaniemy, póki ich osady naszym nie wyrównają. Co się zaś tyczy owych Europejczyków, którzy między nami zostają, oświadczamy, iż uważając ich tak,

jakgdyby byli dziećmi naszych własnych rodzin, obchodzić się z nimi będziemy jak z braćmi."

Maurycy (imieniem kompanii Europejskiej).

Mikołaj Tonkińczyk (imieniem naczelników i mieszkańców Usmay-Lignejo).

„Po podpisaniu zaprzysiężenia tego traktatu — mówi w swych pamiętnikach Beniowski — przyzwałem towarzyszy, którzy rozbrat z nami czynili, a dawszy im ojcowskie przestrogi, jak się mają sprawować i zachowywać w nowej swej ojczyźnie, każdego z osobna uścisnąłem, poczem ze smutnem od żalu sercem, że muszę opuszczać tak piękne siedlisko cnoty, zabrałem się na okręt. Odprowadzało nas niezliczone mnóstwo wyspiarzy, których płacz, będąc wyrazem przyjacielskiej ich duszy, do łez mnie rozrzewnił. Pamiętną mi na zawsze będziesz ty wyspo szczęśliwa, strata ciebie dręczy tem mocniej moją duszę, że podobnej nigdy już pewnie nie spotkam! — woła Beniowski, a ciągnąc dalej swe opowiadanie, pisze:

„O świcie, kiedy dano znak, że już wszystko gotowe do żeglugi, prosiłem przyjaciela mego Tonkińczyka, aby skłonił wyspiarzy, niech dłuższą swą obe-

cnością nie roztkliwiają serc naszych. Lecz niemal wszyscy wodzowie, przywiązawszy swe łodzie do naszego okrętu, wręcz oświadczyli, że póty nas nie odstąpią póki nie wyjedziemy z odnogi. Podniesiono więc kotwicę, rozpuszczono żagle i o 10-ej rano wyszliśmy z portu nie doznawszy najmniejszego przypadku. Chociaż wiatr dość silny powiewał, cisza jednak panowała na morzu, a niezmierne mnóstwo ptactwa szybowało w powietrzu.

Dopiero o wpół do drugiej po południu, skłoniłem wyspiarzy, żeby powrócili do siebie. Pożegnawszy się więc raz jeszcze z nami, wsiedli na swoje barki i odpłynęli od okrętu“.

Tak się skończył pobyt Beniowskiego na wyspie szczęśliwości, jak słusznie mógł nazwać Usmay-Ligon. Zaczerpnął sił dla ciała i ducha na długą, a prawdopodobnie uciążliwą wędrówkę, w czasie której przyszło mu nieraz jeszcze spotkać się z niewdzięcznością ludzi, z podstępną intrygą, z okrucieństwem nieprzyjaciół. Ileż razy wtedy wspominał kraj cnotliwych obywateli, pamiętnych na doznane dobro i umiejących je tysiąckrotnie odpłacić. Ileż razy rumienił się za Europejczyków, którzy w religii chrze-

ścijańskiej wychowani, obdarzeni dobrodziejstwami cywilizacyi, dalekimi byli od naśladowania cnót i prostoty wyspiarzy. Dla tych szlachetnych, prawych natur, wystarczył do podniesienia na duchu przykład misyonarza, zachowali mu wierną pamięć i wdzięczność przez długie lata, a odebrane od ojca Ignacego dobro, wypłacali gościnością względem bliźnich-tułaczy, jak Beniowski i jego towarzysze.

ROZDZIAŁ VIII.

I znów płynął okręt po wzburzonych falach oceanu, znów, jak przed miesiącem, upały obezwładniały załogę, to też i teraz, utrudzona pracą, z radością usłyszała obwieszczenie sternika, że statek zbliża się do lądu. Wiedziano tym razem jaka ziemia widnieje na krańcach horyzontu, okręt dobijał do wyspy Formozy, a załoga, pamiętna dobrego przyjęcia którego doznała od mieszkańców Usmay Ligon, z zaufaniem dążyła naprzeciw krajowców.

Przybiwszy do lądu zostawił Beniowski szalupę pod strażą Windblata sam

zaś z dziesięcioma ludźmi wysiadł na brzeg. Chodziło, jak zwykle, przedewszystkiem o wyszukanie źródeł czystej wody dla znużonej upałem załogi, ale nasi znajomi nie uszli jeszcze tysiąca kroków, gdy przeraźliwy wrzask ostrzegł ich o bliskości nieprzyjaciela a wypuszczone liczne strzały zraniły trzech żeglarzy.

Rozgniewany tak niegościnnem przyjęciem cofnął się Beniowski do szalup i zakomenderował ognia w gromadę Indyan, która śmiało szła do ataku. Korzystając z pomieszania wywołanego strzałami kazał wódz wziąć co prędzej na nosze rannego towarzysza, bo postrzelony w nogę iść nie mógł i rejterował dalej w stronę okrętu. To uzuchwaliło wyspiarzy, już gotowi byli powtórnie uderzyć na cofającą się garstkę gdy szczęściem dano ze statku salwę armatnią i rozproszono zuchwalców, a dla ukarania ich spalono łodzie, które stały w ujściu rzeki. Łatwo zrozumieć. że załoga straciła chęć dłuższego przebywania w tem tak niebezpiecznem miejscu. Ruszono więc pod żagle, ale silny prąd morski porwał statek i zmusił go zawinąć do portu, u południowego brzegu wyspy. Nie zdążyli je-

szcze żeglarze pościągać żagli kiedy otoczył ich niezliczony tłum wyspiarzy płci obojej, przybywali z drobiem, ryżem, cukrem, cytrynami wzamian czego żądali igieł, szpilek i innych drobiazgów. Handel ten trwał dość długo, a około trzeciej przypłynęła do statku nowa gromada wyspiarzy, którą dowodził dziwacznie, pół po europejsku a pół po indyjsku ubrany człowiek. Świecił mu się na głowie kapelusz z galonem, u boku wisiał szeroki i długi rapier, a na nogach miał długie sukienne pończochy i jakieś dziwaczne, własnej zapewne roboty, trzewiki. Prosił o pozwolenie przedstawienia się komendantowi okrętu, a stawiony przed Beniowskim oświadczył mu, że jest hiszpanem, przybył z Manilli, siedem lat przepędził na Formozie i posiada zaufanie niektórych jej kantonów.

Don Hieronim Pacheco, gdyż tak zwał siebie hiszpan, zaręczył komendantowi, że może śmiało zaufać mieszkańcom wybrzeża, do którego przybił okręt.

— Wiedzą oni już — powiedział — jak śmiało rozprawiłeś się z łotrami na północnym brzegu wyspy. Są to nasi nieprzyjaciele, pokonałeś ich, masz więc prawo do wdzięczności.

Beniowski, ucieszony, okazaną życzliwością wyspiarzy, obdarował hiszpana porządnem ubraniem, szablą i kilku koszulami, a obiecał jeszcze kilka strzelb i narzędzi, jeżeli wiernie służyć będzie załodze w czasie jej na Formozie pobytu.

Jako pierwszą radę zażądano od Don Hieronima wiadomości gdzie zaczerpnąć można najlepszej źródlanej wody, wskazał on skałę, z pod której miał wytryskać strumień, ale skała leżała już w obrębie nieprzyjacielskiego kantonu, ostrzegał więc hiszpan aby ludzie wyprawieni z beczkami po wodę zachowali wielką ostrożność i zabrali na szalupy oddział zbrojnych dla odparcia możliwej napaści. Wyprawił zatem Beniowski Panowa z odpowiednią liczbą majtków, jakież jednak było jego przerażenie, gdy w kilka godzin potem wróciła szalupa wioząc towarzyszy przeszytych strzałami i krwią oblanych, dwóch zgoła już nieżywych, a samego Panowa tak ciężko rannego, że zdawał się ostatnie wydawać tchnienie.

„Krajowcy — pisze Beniowski — byliby zapewne z łatwością wszystkich pomordowali, gdyż nieostrożni, pragnąc użyć kąpieli w strumieniu, złożyli broń

i zdjęli suknie, a wyspiarze wypadli nagle z zasadzki, szczęściem Woliński z Jędrkiem, przyczajeni w łodzi dali ognia z muszkietów i rozproszyli rabusiów.

Pierwszy raz wspomina Beniowski o dwóch tych polakach, kto był ów Jędrek? Kogo wódz nazywa zdrobniałem imieniem, trudno wiedzieć, dość, że ich dzielności zawdzięczało ocalenie kilkunastu ludzi. Trzech jednak przypłaciło życiem nieostrożność, a Panow, czując zbliżającą się śmierć, i sądząc że nie zobaczy już przyjaciela, takie dawał przestrogi towarzyszom:

— Bracia kochani, jeden tylko żal niosę z sobą do grobu, że przestanę być uczestnikiem trudów komendanta nas wszystkich, że w jego pracach nie będę mu już pomocą. Powiedzcie mu, że go tak kocham jak własną mą duszę i że umarłbym szczęśliwy gdybym widział nagrodzone jego cnoty i zasługi. Niechaj straszliwy mój przykład za naukę wam służy: gdybym był słuchał rad i rozkazów mojego wodza, pasmo dni moich nie byłoby przecięte. Szanujcie go więc i bądźcie mu posłuszni jak ojcu. A ty nieszczęsny mój krewny, Stefanowie usuń, nareszcie z serca gniew i zawziętość przeciw temu ze

wszechmiar szanownemu mężowi, odziedzicz po mnie wierność i przywiązanie dla niego, i cnót tych bądź wzorem!

„O wielki Boże! o święta przyjaźni pisze Beniowski. — Panow już konał, a jakiż cudowny skutek sprawił na nim mój widok. Zdawało się że wszystkie odzyskał siły. Rzuciłem mu się na łono, a on porwał mą rękę i zalany łzami przycisnął ją do skrzepłych już i na poły umarłych ust. Niestety, mój przyjacielu! wkrótce żyć przestanę i to ja sam sprawcą mego zgonu jestem — mówił po chwili milczenia. — Lecz przebacz mi, daruj i tym którzy mnie zabili. Ostatnie życzenie jakie na tym padole zasyłam do nieba jest byś zawsze takich miał przyjaciół jakim ja byłem dla ciebie. Wart jesteś znaleść ich pomiędzy najcnotliwszymi, a szczęśliwy kto pozna twą wartość i ceni ją tak jak ja ją ceniłem. Daj Boże by ta ziemia, która zwłoki moje pokryje stała się kiedyś... Chciał mówić dalej, ale śmierć dni jego przecięła, pozbawiając całe towarzystwo najcnotliwszego członka, mnie zaś nieodżałowanego przyjaciela.

Tak skończył życie jeden z najdzielniejszych i najwierniejszych towarzyszy

Beniowskiego, to też nie probuję opisać żalu wodza. Pragnął on go ukoić w części przez przystojne pogrzebanie zwłok swego przyjaciela i dwóch jeszcze ofiar zdradzieckiego napadu, w tym celu zażądał przez Don Hieronima pozwolenia wyspiarzy na złożenie ciał w obrębie ich gruntów. Chętnie zgodzili się na to, rozpoczęto więc pogrzebowy obrządek, który wśród powszechnego żalu w największem odprawił się porządku. Dano dwadzieścia jeden wystrzałów z armat na ostatnie pożegnanie towarzyszy broni, a na kamieniu, który przykrył grób, kazał Beniowski wyryć następujące słowa:

„Tu leży Wasili Panow, szlachcic rosyjski, znakomitego urodzenia, mąż rzadkich przymiotów, a wierny przyjaciel Maurycego Beniowskiego. Zdradliwie zabity wraz z dwoma towarzyszami Janem Longinowem i Janem Popowem, przez mieszkańców tej wyspy 1771 r.

Kto żył na okręcie chciał natychmiast pędzić do lądu i pomścić śmierć towarzyszy. Próżno Beniowski starał się ułagodzić umysły, próżno przypominał, że sam Panow prosił aby nie szukano pomsty za jego śmierć. Mówił jak do głuchych, niepomni na mądre

przestrogi, jakie słyszeli niedawno od umierającego Panowa, gotowi byli wbrew woli wodza szukać nieprzyjaciela, musiał więc komendant zgodzić się z życzeniem załogi i obmyśleć wyprawę przeciw zdradliwym krajowcom, za to że nie zaczepieni przez nikogo, tak okrutnego dopuścili się morderstwa.

Wezwał Don Hieronima na naradę i dowiedział się od niego, że brzeg zachodni Formozy należy do chińczyków, że większa część jej kantonów jest jednak niepodległa i dość ucywilizowana, a tylko pewien procent mieszkańców dziki i okrutny; z temi właśnie mieliśmy na nieszczęście do czynienia. Zdaniem hiszpana małemi siłami, byle dobrze dowodzonemi, możnaby całą podbić wyspę i, oswobodzić ją nawet z pod panowania chińskiego. Uwaga ta zawróciła głowę naszemu podróżnikowi, który łatwo się zapalał do nowych, coraz na większe rozmiary obliczonych przedsięwzięć, rozumiał jednak, że należało przedewszystkiem skończyć ze sprawą pomszczenia zabitych, o co załoga nie przestawała dopominać się bardzo natarczywie.

Hiszpan obiecał doprowadzić euro-

pejczyków do głównego siedliska rabusiów, przyrzekł nawet, że oprócz własnej osoby dostawi na umówiony punkt 200 życzliwych sobie krajowców. Opierał się temu Beniowski w obawie, aby sprzymierzeńcy nie padli pod strzałami europejskich muszkietów, trudno ich było bowiem rozróżnić od nieprzyjaciół, ale i na to znalazł radę don Hieronim. Kazał swemu pułkowi przewiązać prawe ramię białą chustką, a po tym znaku łatwo było rozpoznać sprzymierzeńców nawet w wirze najzaciętszej walki.

Zawarłszy taką umowę pośpieszył hiszpan do wyspiarzy aby razem z nimi zrobić przygotowania do ataku, Beniowski zaś wrócił na okręt i korzystając z ciemnego już wieczora, holować go kazał łodziami aż do ujścia strumienia, to jest do miejsca, gdzie raniono Panowa. Tam zarzucono kotwicę, o 3 zrana wysiadło na ląd 46 towarzyszy pod dowództwem co najprzedniejszych oficerów i uszykowali się do bitwy, czekając tylko na przybycie oddziału don Hieronima. Jakoż nadciągnął on o czwartej i cały korpus ruszył w głąb wyspy. Po dwugodzinnym marszu zaczęła się potyczka, zakończona uciecz-

ką krajowców, którzy szukali schronienia na nadbrzeżnej skale. Nie ocaliło to jednak biedaków od śmierci, bo pozostali na okręcie towarzysze wyrychtowali przeciw nim armaty i kartaczami zmiotli w morze. Stracił nieprzyjaciel w tej rozprawie całe prawie wojsko, wśród którego wiele znajdowało się kobiet, uzbrojonych na równi z mężczyznami; Beniowski za to był tyle szczęśliwy, że nie stracił żadnego ze swych żołnierzy, samego zaś niewolnika zabrał 640 ludzi, ale nie chciał jeńców zachować dla siebie i wedle zwyczaju krajowego podzielił tę smutną zdobycz między uczestników walki, na samego hiszpana wypadło 50 ludzi. Broń tylko i inne wojenne rynsztunki kazał wódz odnieść na okręt.

Wspaniałomyślność Beniowskiego zjednała mu serca obdarowanych, to też gdy wyraził chęć przeniesienia się ze statku na ląd krajowcy wystawili dla europejczyków szereg wygodnych szałasów, a robota ta szła z takim pośpiechem, że jeszcze tego samego dnia przeniesiono do nich rannych towarzyszy wyprawy Panowa, kobiety i straż złożoną z 60 ludzi. Tego też dnia zaprezentował hiszpan swą rodzinę ko-

mendantowi i oświadczył mu, że Huapo, najwyższy pan kraju, mieszkający w mieście odległem o mil 30, puścił się już w drogę żeby osobiście podziękować zwycięzcy za zwalczenie jego nieprzyjaciół.

Huapo — wedle słów don Hieronima rządzi narodem cywilizowanym i może każdej chwili wystawić 25,000 wojska, z tem wszystkiem, mimo tak znacznych sił, napastowany bywa często we własnej stolicy przez partyę chińską i jej sprzymierzeńców. Hiszpan dodał w końcu, że Beniowski łatwo mógłby z jego monarchą zawrzeć sojusz założyć kwitnącą osadę na wyspie, która obfituje w złoto, kryształ, ryż, cukier, cynamon, jedwab, i tysiączne inne bogate produkty, zwłaszcza zaś w kosztowne drzewa; handel niemi, w zamian za upragnione od krajowców europejskie norymberszczyzny żelaztwo i płótno, olbrzymie przyniósłby zyski.

Właśnie toczyła się o tem rozmowa kiedy adjutant komendanta zameldował mu przybycie Baminiego, czyli generała Huapy. Wybiegł naprzeciw gościowi hiszpan, Beniowski zaś kazał oficera Huapy powitać trzema salwami z ręcznej broni. Rozbito namiot gene-

rała w pobliżu szałasów europejskich i dygnitarz ten zasiadł na rozpostartym kobiercu, miejsce obok siebie oddał komendantowi, i spytał przez tłomacza skąd przybywa, a także z jakich powodów wylądował na Formozę.

— Jestem generałem potężnego europejskiego mocarstwa — odpowiedział Beniowski — zabrany do niewoli wybiłem się z niej razem z garstką towarzyszy. Wracam teraz do ojczyzny, jeśli zaś zawinąłem do Formozy to tylko dla zaopatrzenia okrętu w wodę. Niegodziwie przez mieszkańców tutejszych skrzywdzony musiałem pomścić śmierć towarzyszy, zadośćuczyniwszy jednak temu obowiązkowi gotów jestem natychmiast opuścić tutejsze brzegi.

— Nie czyń tego, odłóż swój odjazd aż do przybycia mego pana, który posłyszawszy o rycerskich twych czynach spieszy cię poznać — prosił Banini i na znak przyjaźni uczęstował Beniowskiego herbatą. Ubrany był generał w długą suknię czerwonego koloru, a z pod niej wyglądał krótki czarny żupanik, na ten strój zaś miał narzuconą żółtawą jedwabną opończę, u której zamiast guzów wisiały wielkie korale oprawne w złoto. Głowę dygnitarza okrywał

słomiany śpiczasty kapelusz, przyozdobiony buńczukiem z włosia końskiego pomalowanego na czerwono. Broń, którą nosił składała się z szabli, dzidy, łuku i sajdaku z 25 strzałami. Żołnierze generała byli prawie zupełnie nadzy, przepasani tylko na biodrach błękitną jakąś materyą, uzbrojenie ich stanowiły włócznie i łuki.

W oczekiwaniu przyjazdu króla kazał Beniowski otoczyć szałasy wałem, i zatoczyć na niego armaty przeniesione z okrętu, a także przygotować sztuczne ognie, żeby zabawić niemi monarchę; domyślając się zaś że najwięcej zajmować go będą ćwiczenia wojskowe, ściągnął całą załogę z okrętu i kazawszy się jej przybrać w jednakowe suknie, zapowiedział na dzień następny wielkie manewry.

Jakoż z uderzeniem 8 godziny rano dojrzała straż zdala na drodze tuman kurzu i hiszpan przybiegł oznajmić, że Huapo się zbliża, Beniowski wysłał na jego powitanie dwóch swoich oficerów z sześciu żołnierzami eskorty, sam zaś wszedł na wzgórek dla przyjrzenia się orszakowi monarchy.

Jechało przodem sześciu jeźdźców ze sztandarami, za niemi szedł silny od-

dział piechoty z dzidami w ręku, potem postępowało około 40 jezdnych, a potem drugi oddział piechoty uzbrojonej w łuki, dalej korpus wyspiarzy z maczugami i siekierami, dopiero za niemi monarcha na koniu, otoczony orszakiem oficerów i dworzan. Za królem śpieszyła hurmem reszta wojska, nie zachowując najmniejszego porządku.

Don Hieronim zaprosił Beniowskiego aby się udał przed oblicze monarchy, oblicze to wydało się wodzowi szlachetnem, a jakże się zadziwił kiedy król, bez żadnych wstępów, oświadczył mu odrazu że ma go za cudzoziemca zwiastowanego od dawna przez proroków, który dlatego przybył do Formozy, aby na czele swych nieustraszonych hufców oswobodzić całą wyspę od nieznośnego jarzma chińczyków. Że więc, on Huapa, przychodzi nietylko odwiedzić Beniowskiego, ale w ręce jego złożyć swą potęgę i władzę, a wojsko i naród gotowi są przysięgą na posłuszeństwo dla cudzoziemca poprzeć królewskie słowa.

Łatwo wyobrazić sobie zdziwienie naszego bohatera. Nie wiedział on, że tę szczególną propozycyą zawdzięcza don Hieronimowi, który Beniowskiego przedstawił Huapie jako króla potężnego

państwa przybyłego na Formozę umyślnie dla wypędzenia z niej chińczyków.

— Dzięki ci, monarcho, za pochlebną o mnie opinią — odpowiedział komendant ze zwykłą sobie przytomnością umysłu — ale tak ważna sprawa odłożona być musi do stosowniejszej pory i traktowana w tajemnicy, tymczasem zapewnić cię mogę tylko, monarcho, że dość będzie dla mnie zaszczytu, gdy dopomogę do uszczęśliwienia szlachetnego twego narodu, który szczycić się powinien, że tak światłego i cnotliwego ma rządcę.

Mowa Beniowskiego, przetłomaczona przez hiszpana, podobała się bardzo monarsze, a gdy okazał on chęć obejrzenia europejskiego obozu udano się natychmiast do oszańcowań, z których na przyjęcie tak znakomitego gościa, zahuczały wszystkie armaty. Biedny Huapo! Toż pierwszy raz obiła się o jego i uszy jego koni spiżowa muzyka dział. Niemal wszyscy oficerowie z monarszego orszaku zwalili się na ziemię i nie zdradzali wcale ochoty do dalszego pochodu w stronę okopów, bo walono z nich raz po raz, na przemian z salwami ręcznej broni.

Król więc tylko i trzej najznakomi-

tsi jego oficerowie, weszli do szałasu komendanta, poczem obejrzano cały obóz, podziwiano sprawność wojska i wszystkie urządzenia okrętu, który Huapo zwiedził także. Najmniej zachwyciły monarchę sztuczne ognie, mówił bowiem, że i chińczycy umieją podobne urządzać fajerwerki, był jednak bardzo wzruszony przyjęciem i chcąc się za nie wywdzięczyć ofiarował Beniowskiemu kosztowną własną szablę z pendentem na znak,że dzieli się z nim swą władzą i komendą nad wojskiem. Wynosiło ono wtedy 8000 piechoty a 660 jazdy.

Po odjeździe monarchy zwołał Beniowski radę z najprzedniejszych oficerów i powtórzył im oświadczenie Huapy. Dodał, że wedle jego mniemania otwiera się dla wszystkich związkowych obfite żniwo zysków i korzyści, jeśli bowiem waha się jeszcze przed wplątaniem w dość ryzykowną wojnę, to jednak pragnie oddać Huapie rzeczywiste usługi, żeby ułatwić sobie możność, za powrotem z ojczyzny założenia na Formozie potężnej osady pod proktecyą, któregokolwiek z mocarstw europejskich. W celu więc pozyskania życzliwości króla, za zgodą rady, wybrał Beniowski

upominki dla monarchy. Składały się one z dwóch armat, które służyły dotąd jako balast na okręcie, z 30 pięknych muszkietów, 6 baryłek prochu, 200 kul, 50 funtów lontu, 30 pałaszów japońskich i karabelę przepysznej roboty dla samego króla, oraz 20 skromniejszych szabli dla przedniejszych oficerów i urzędników.

Właśnie ukończono rozkładać dary w szałasie komendanta, kiedy przybiegł hiszpan z wiadomością, że zbliża się do mieszkania wodza sam Huapo celem przedstawienia mu spraw wielkiej wagi. Wypytał Beniowski poczciwego don Hieronima o zamiary króla i rozważywszy to co usłyszał przygotował w myśli odpowiedź na żądania monarchy. Przybył on około dziesiątej godziny i rozkazał ustawić przepyszny namiot obok szałasu, a także zasłać go bogatymi kobiercami. Potem podziękował Beniowskiemu za hojne dary i wręczył mu przygotowane przez sekretarza zapytania, na które miał komendant stosowne dać odpowiedzi:

PYTANIA KRÓLA.

1 pytanie. Czy Beniowski zgadza się zostawić część swojej załogi na Formozie?

2 pytanie. Czy może przyprowadzić z sobą z Europy pewną liczbę żołnierzy uzbrojonych w strzelby i wyćwiczonych w sztuce strzelania z armat, oraz ile kosztować będzie utrzymanie tysiąca żołnierzy.

3 pytanie. Czy może dostarczyć do Formozy kilka okrętów wojennych ze wszystkiemi potrzebami oraz z oficerami wyćwiczonymi w służbie żeglarskiej?

4 pytanie. Czy przyjmie na wieczne czasy z absolutną władzą prowincyę Hawangsin ze wszystkiemi jej wsiami, osadami i miastami, pod warunkiem dopomożenia królowi do zupełnego wygnania chińczyków z Formozy, za co w nagrodę otrzyma dostojność królewską i władzę najwyższą nad całem państwem?

5 pytanie. Czy posiłkować zechce króla w pewnej tajemnej wyprawie, przeciw jednemu z sąsiadów, za co hojnie

ODPOWIEDZI BENIOWSKIEGO.

1 odpowiedź. Mając daleką jeszcze przed sobą podróż, nie dozwala mi ostrożność osłabiać sił przez uszczuplanie załogi.

2 odpowiedź. Podejmę się sprowadzić z sobą wojsko i armaty, ale zaciąg taki i transport tysiąca ludzi kosztować będzie 1500 funtów złota, na roczne zaś utrzymanie podobnego korpusu potrzeba corocznie 500 funtów złota.

3 odpowiedź. Mogę przystawić takie okręty, lecz każdy okręt o 20 armatach najmniej 500 funtów złota kosztować będzie.

4 odpowiedź. Przyjmę inwenstyturę prowincyi Hawangsin, za co chętnie przyrzekam wszelkiemi siłami pomagać w wojnie przeciwko chińczykom, aż do zupełnego ich z całej Formozy wypędzenia, co się zaś tyczy najwyższego nad wyspą zwierzchnictwa i panowania tych nigdy nie przyjmę i pragnę by król zatrzymał je przy sobie.

5 odpowiedź. Lubo spóźniona pora roku do odjazdu mnie nagli, przecież dla dania dowodu monarsze Huapie jak rzetelnie do niego przywiązany jestem chętnie dopomogę mu w wyprawie, bez żadnej za tę przysługę nagrody, wy-

złotem i innymi drogimi podarunkami wraz z całem rycerstwem obdarowany zostanie?

6 pytanie. Na ostatek czy ma ochotę zawrzeć z monarchą Huapem wieczne przymierze?

Po zobopólnem odczytaniu pytań i odpowiedzi wniósł monarcha, aby stwierdzić wzajemną przysięgą wierną przyjaźń, co też uczyniono przez wrzucenie do rozpalonego ogniska kilku kawałków drzewa. Nie tu był jednak koniec ceremonii, przyniesiono dwie kadzielnice napełnione wonnościami, Beniowski i monarcha kadzili z nich obróceni ku wschodowi, oddając tem na swój sposób hołd Najwyższemu, poczem obaj rzucili przekleństwo na tych, którzyby targnęli się złamać zawarte świeżo przymierza i zagasiwszy ogień utkwili swe szable w ziemi aż po rękojeście.

Wszyscy przytomni zaczęli rzucać kamienie póki nie przywalili niemi pogrzebanych pałaszy wodzów i na tem skończył się ten dziwny obrządek przysięgi. Zró-

jąwszy podarunku jaki mu jego wspaniałość podyktuje dla moich towarzyszy za ich trudy.

6 odpowiedź. Gotów jestem zawrzeć przymierze i ufam, że byle król szczerze ze mną postępował, ujrzę go wkrótce panem całej Formozy i że pomści on na cesarzu chińskim prześladowania, krzywdy i zniewagi, które od tego mocarstwa odebrał.

---

wnał on Beniowskiego co do władzy i praw z Huapą, stwierdził to król uściskawszy sprzymierzeńca jak brata, zrównali się nawet ubiorem, bo na żądanie monarchy, przywdział komendant ofiarowany mu bogaty strój indyjski i tak przybrany obszedł obóz króla, gdzie witano go okrzykami radości, a potem zasiadł wraz z Huapą i wszystkimi swymi oficerami, do wspaniałej biesiady, którą zastawiono pod kapiącym od złota namiotem.

Nie tu był koniec tryumfów naszego bohatera, po skończonej uczcie, do której nieustannie przygrywała muzyka i warczały bębny, zaproponował mu monarcha konną przejażdżkę. Udano się znów do obozu, a tam wszyscy oficerowie pozdrawiali nowego zwierzchnika,

dotykając lewą ręką jego siodła, co było oznaką najwyższego uszanowania, Huapo zaś wyznał Beniowskiemu dlaczego potrzebuje jego pomocy.

Rzecz tak się miała: Hapuasingo, rządca udzielny sąsiedniego kraju, a sprzymierzeniec i hołdownik chiński, uroiwszy sobie pretensye do Huapy, że jego mieszkańcy mącą mu spokojność, żądał natychmiastowego ukarania śmiercią poddanych, których o zaczepkę obwiniał. Huapo odmówił zuchwałym wymaganiom sąsiada i to wplątało go w wojnę; zwyciężony musiał zgodzić się na zapłacenie haraczu, lecz mimo regularnego dopełniania tej smutnej powinności rządca chiński, korzystając ze słabości Huapy, żądał wypłacenia sobie dodatkowej sumy złota na koszta wojenne, a pod tym pozorem, z pomocą Hapuasinga zagarnął mu najżyzniejszą prowincyę.

Huapa znosił dotąd cierpliwie różne krzywdy i zniewagi, ale teraz miał nadzieję za sprawą Beniowskiego, powetować szkody i zemścić się na wiarołomnym sąsiedzie.

Bohaterowi naszemu niełatwo przychodziło odmówić pomocy tam, gdzie prosił o nią skrzywdzony w imię spra-

wiedliwości i wiekuistego obowiązku ratowania bliźniego w potrzebie. Przytem bystry umysł Beniowskiego roił znów śmiałe plany na przyszłość, marzył o założeniu szeregu kolonii od wysp Aleutskich zaczynając, a kończąc kto wie gdzie? Gdzie poniosą go jeszcze losy?, jakie zdoła zhołdować sobie prowincye?

Należy podziwiać niezwalczoną dzielność żeglarza, który umiał wyjść zwycięzko z każdego położenia i coraz nowe zdobywał na swej drodze laury.

Wypytał tymczasem Huapy o siły jego przeciwnika. Według zdania monarchy wojsko Hapuasinga wynosić miało 6000 ludzi oprócz tysiąca sprzymierzonych chińczyków, z których zaledwie 50 uzbrojonych było w muszkiety. Stolica Hapuasinga oddaloną była od miejsca, gdzie Huapo założył obóz, o półtora dnia drogi, a prowadził do niej wyborny gościniec.

Wiadomość o zamierzonej wyprawie wprawiła w zachwyt całą załogę okrętu, nalegała ona na wodza o natychmiastowe wyruszenie przeciw nieprzyjacielowi Huapy, jakoż tego jeszcze dnia wydał Beniowski rozporządzenia co do uformowania korpusu, który miał wyruszyć w drogę i kazał rozdać broń ca-

łemu odziałowi, polecając aby każdy z żołnierzy zaopatrzył się w okute maczugi, tak żeby w razie potrzeby można łatwo zatknąć je w ziemię.

Huapo ze swej strony przygotowywał się także do wymarszu. Kazał zwinąć namioty i za poradą Beniowskiego wysłał 400 ludzi z przedniej straży, polecając im oczyścić drogi przed wojskiem i ułatwić przeprawę przez rzeki.

O czwartej z rana ruszono w pochód, droga wiodła przez dobrze uprawne pola, widać było zdala rozrzucone w dolinie miasteczko, ale wojsko maszerowało tylko do dziewiątej, i rozłożyło się pod lasem aby przeczekać upał w cieniu drzew.

Konie napasione ryżem parskały; „na dobrą wróżbę“ powiedzianoby w Polsce, ludzie obiadowali dopiero o dziesiątej wieczór, gdy upał był mniej dokuczliwy. Rozdano między żołnierzy mięso z 12 wołów, niezmierną ilość owoców i ryżu, kilkanaście baryłek wódki, a o 3 rano rozpoczął się znów pochód, tym razem już wśród nieprzyjacielskiego kraju, co łatwo było poznać po zupełnem wyludnieniu wiosek i miasteczek, przez które przechodził Huapa ze swojem wojskiem.

Na szczęście ryby nie zlękły się groźnej jego armi i nałapano wiele przewybornych w wielkich stawach. Dopiero trzeciego dnia o świcie hiszpan, dowodzący przednią strażą spostrzegł nieprzyjacielski podjazd, który w 40 koni przemykał się bokiem, widocznie wysłany na zwiady.

Pognał za nim Beniowski razem z don Hieronimem i 6 towarzyszami. Jeźdzcy udawali, że nie widzą pogoni póki ta nie zbliżyła się na strzał muszkietowy. Wtedy dopiero nieprzyjaciel nawrócił i w pełnym biegu, z nastawionemi spisami, natarł, ale komendant kazał dać ognia, utraciwszy dwóch rannych, podjazd nieprzyjacielski poszedł w rozsypkę.

Ranni, badani przez hiszpana, wyznali, że niebawem całe wojsko Hapuasingi rozpocznie atak broniąc swojej stolicy, która odległą jest już tylko o sześć godzin marszu.

Jakoż około drugiej z południa ukazała się od prawego skrzydła dywizya nieprzyjacielska z 50 jeźdzców złożona, a wkrótce potem wysunął się z za lasu cały korpus Hapuasinga, który liczył około 11,000 ludzi, w tem bardzo jednak mało kawaleryi.

„Spostrzegłszy przeciwnicy nasi, że

nie ruszamy się z miejsca — pisze Beniowski — snadź w mniemaniu, że lękamy się ich, poczęli przygotowywać atak. Uszykowałem moją awangradę w ten sposób, aby nieustanny szedł ogień. Wnet potem około wpół do czwartej mały oddział ich kawaleryi uderzył na moją pikietę. Kazałem go przypuścić na kilkanaście kroków i jeden wystrzał takiego nabawił ich strachu, że w cwał uciekli. Ośmieleni tem, że nie goniono za nimi, powrócili ze zdwojoną siłą, ale zdziesiątkowani musieli nareszcie podać tył i szukać ratunku w ucieczce.

„O jedenastej dopiero w nocy nadciągnął Huapo, który o cały dzień drogi pozostał za mną w tyle. Złożyliśmy radę wojenną, na której postanowiono, że teraz z kolei my przejdziemy do ataku. Stosownie do tego o drugiej jeszcze nade dniem poczyniłem rozporządzenia; po obu skrzydłach umieściłem oddziały moich towarzyszy, sam objąłem komendę nad środkową dywizyą.

„O trzeciej ruszyliśmy na nieprzyjaciela, lecz na pierwszy huk naszych strzelb, nie dotrzymał on placu i uciekł a tem większe poniósł straty, że nie zapewnił sobie wprzód odwrotu.

„Żołnierze Huapy, ośmieleni powo-

dzeniem, prosili teraz aby pozwolono im ścigać wroga, — ale ledwie ten spostrzegł z kim ma do czynienia, odwrócił się na miejscu i tem śmielej natarł, że my, stojąc z tyłu, nie mogliśmy użyć muszkietów. Już się nawet zwycięstwo chwiać zaczęło, kiedy zdołałem nareszcie dopaść nieprzyjaciela, który za pierwszym wystrzałem cofnął się szybko.

„Pędziliśmy uciekających aż pod samą stolicę. Idąc za radą hiszpana, wysłałem na drugi koniec miasta swoich żołnierzy dla opanowania przeprawy na rzece.

Właśnie Hapuasingo zmykał w tamtą stronę wraz ze swemi 4 żonami, kiedy zastąpiono mu drogę i schwytano, a zdobycz ta roztrzygnęła wojnę.

Biedny królik przejęty strachem, przysiągł hiszpanowi, że zgodzi się na wszystkie warunki Huapy, byle ten darował życie jemu i jego rodzinie, na co oświadczyłem, iż jako mój jeniec może być spokojnym o swój los, byle wynagrodził krzywdy Huapie wyrządzone.

„Tym sposobem o godzinie jedenastej wszystko ucichło i ani śladu już nie było wojny, wysłałem zaraz gońca do Huapy z doniesieniem o skutku wy-

prawy i że sam pragnę Hapuasingę w ręce jego oddać. Nie dowierzał mojemu raportowi dobry ten monarcha, a lękając się być świadkiem mordów i krwi rozlewu, nadciągnął dopiero około południa. Przyprowadziłem mu zwalczonego przeciwnika pod warunkiem jednak, że nie dopuści uczynić jeńcom najmniejszej zniewagi ani przykrości, i że wspaniale się z nim obejdzie.

Gdy tak wszystkie operacye wojenne były już ukończone, oznajmiłem królowi, że muszę niezwłocznie na okręt powracać, spóźniona bowiem pora roku nagli abym jaknajprędzej w dalszą puścił się żeglugę.

Zmartwiło Huapę wielce takowe postanowienie, nic mnie jednak odwieść od niego nie zdołało, na gorące życzenie don Hieronima zgodziłem się tylko, aby zostawić mu do pomocy na Formozie młodego Łoginowa, brata zabitego tu towarzysza. Miał on nauczyć się miejscowego języka i dopilnować przygotowań, jakie krajowcy poczynią na powrót nasz z Europy.“

Tak skończyła się wojenna wyprawa Beniowskiego na Formozie, utrwalił nią przyjazne stosunki z Huapą i wpoił w mieszkańców przekonanie o swej po-

tędze, a zdobył dla załogi hojne dary. Składały się one z kilku bardzo pięknych brylantów, z ośmiu centnarów srebra i dwunastu funtów złota, osobno zaś, na wyłączną własność komendanta, wręczono mu piękną szkatułkę pełną złota, ważącego przeszło 13 funtów.

Bamini, znany nam już z poprzedniego opowiadania dowódca, otrzymał od Huapy zlecenie aby w 120 koni odprowadził Beniowskiego i jego towarzyszy nad brzeg morski, a to dla dostarczenia europejczykom potrzebnej żywności, poczciwy zaś don Hieronim z własnej ochoty, przez przyjaźń, do chwili odjazdu nie odstąpił także komendanta.

Nastąpiło potem uroczyste pożegnanie z Huapą, które wycisnęło temu dobremu monarsze szczere łzy wdzięczności za doznaną pomoc. O czwartej kazał Beniowski ruszyć swemu rycerstwu w stronę morza, sam zaś obdarował jeszcze króla niezużytą w wyprawie amunicyą, gdyż przywiózł znaczny jej zapas z okrętu, sądząc, że wojna dłużej potrwa. Polecił także opiece Huapy młodego Łoginowa, który zostawał na wyspie z tytułem generała artyleryi wojsk królewskich, i pośpieszył nareszcie sam za swoją komendą. Bamini,

na czele konnicy, ani na chwilę nie opuścił szanownego sprzymierzeńca, dbając o wszystkie jego i jego wojska wygody, a rozstając się z nim nad brzegiem morza wręczył komendantowi, w imieniu króla, przepyszne siodło perłami szyte, bogaty namiot i kosztownie wyrobiony kobierzec.

Wniesiono te cenne przedmioty na statek. Beniowski przekonał się z prawdziwem zadowoleniem, że załoga okrętu przez cały czas pobytu jego na lądzie, zachowywała się jaknajprzykładniej, nawet Stefanow nie zdążył popełnić żadnego szaleństwa. Została też za to hojnie wynagrodzoną, bo Beniowski, dając dowód bezinteresowności swojej, rozdał wszystko złoto i srebro Huapy, między towarzyszy. Co zaś do brylantów i skrzyneczki ze złotem na swą wyłączną własność otrzymanej, to te ofiarował wspaniałomyślnie oficerom i kobietom znajdującym się na okręcie, sobie nic nie zostawiając. Nie chcieli na to przystać towarzysze i w jednej chwili złożyli dla komendanta znaczną część otrzymanych bogactw, ale on nie przyjął ich ofiary, choć wzruszyła go szczerze jej myśl.

— Wesprzecie mnie złotem, gdy znaj-

dę się w ciężkiej potrzebie, teraz zachowajcie je dla siebie — powiedział z prostotą i postępkiem tym zjednał serca wszystkich, nawet najzuchwalszych.

„Przekonałem się przy tej okazyi — pisze — że większą przewagę ma nad pospolitymi umysłami czyn prawdziwie wspaniały, dokonany w stosownej chwili, niż najgenialniejsze nawet słowa.“

Ale choć statek był już do wyruszenia gotowy, załoga ociągała się z odjazdem i wkrótce powtórzyła się znów ta sama, co przy wyruszeniu z każdego etapu podróży, scena.

Przyszła do Beniowskiego delegacya od towarzyszy, żeby go nakłonić do pozostania na Formozie, komendant jednak nie dał się do tego namówić i jasno zamiary swoje zgromadzeniu przełożył. Starał się on przekonać wszelkimi sposobami, jeżeli nie całą załogę, to przynajmniej znamienitszych oficerów, że plan jaki ułożył jest jedynym, i że warto poświęcić mu swoje siły.

Mówił mianowicie o tem co zamierza uczynić dla pozyskania protekcyi któregokolwiek wielkiego mocarstwa, a raz tę protekcyą uzyskawszy, łatwo wyjedna i pomoc bo przedstawi jak wielkie korzyści wypłynąć mogą z założenia sze-

regu osad w Azyi, zaczynając od wysp północnych, sąsiadujących z Kamczatką a wcale jeszcze Europie nieznanych.

— Gdyby nawet europejskie dwory odmówić miały pomocy — mówił Beniowski — nikt nam nie przeszkodzi własnym kosztem wyekwipować wtedy okręty i ogarnąć cały niemal handel futrzany, od wysp Aleutskich prze wyspę Wodną, archipelag Legnejo, a także znaczną część handlu z Japonią, której pomocy możemy być pewni.

Trzeba jednak na to bardzo znacznych funduszów, trzeba siły, którąby zasłoniła nas przed prześladowaniem współzawodników, a ci łatwo znaleść się mogą, jak tylko istotne pozyskamy korzyści.

— Oto dlaczego pragnę przedewszystkiem spróbować zawiązania przyjaznych stosunków w Europie — kończył Beniowski, — a gdy cała załoga przyznała mu słuszność utrudzony marszami ostatnich dni, których dokonać musiał wśród nieznośnych skwarów, poszedł spocząć i przeciw swemu zwyczajowi spał nazajutrz aż do godziny dziesiątej.

Jeszcze leżał kiedy weszli do niego delegowani od załogi z prośbą aby komendant, przez wzgląd na własne i za-

łogi zmęczenie, przystał na spędzenie jeszcze kilku dni w porcie. Dni te miały być wyłącznie poświęcone odpoczynkowi, na co gdy Beniowski pozwolił zawieszono niebawem wszystkie roboty i oddano się wesołej rozrywce.

Wielu żeglarzy, korzystając z nadarzonej sposobności, zwiedziło wewnętrzną część wyspy, niestrudzony zaś komendant poświęcił czas wolny na opisanie Formozy i poczynienie swoich uwag co do najkorzystniejszego wyzyskania jej płodów, dla mającej w przyszłości powstać tam europejskiej osady.

Jako pierwszy zaś warunek doprowadzenia tej osady do kwitnącego stanu było, zdaniem Beniowskiego, tak tu jak wszędzie, zjednanie sobie zaufania i życzliwości miejscowych mieszkańców. Oswoić ich z swojemi prawami i zwyczajami, wykazać onych korzyści, oto na czem zależy mądrość naczelnika kolonii, nie będzie on wtedy potrzebował utrzymywać, dla zasłonięcia od zamachów na osadę, żadnych sił zbrojnych, siły takie kosztują bardzo wiele i wprowadzają nieznośny stan wzajemnego rozdrażnienia, na którem tracą równie krajowcy jak i założona wśród nich kolonia.

— Bodźcem wszelkiego działania — kończy swoje uwagi Beniowski—powinna być zawsze cnota, sprawiedliwość, dobra sława i honor.

Czytając piękne jego słowa chciałoby się porównać zasady polityki rycerza i podróżnika z końca XVIII wieku z zasadami na jakich w dwudziestym najpotężniejsze mocarstwa ugruntowywują swą władzę na zabranych przemocą terytoryach. Warto przypomnieć, co się dzieje w koloniach niemieckich w Afryce. Ale też Beniowski dokonywał odkryć i korzystnych aliansów pod banderą polską, a słusznie mówi Konopnicka w imieniu ojczyzny:

«Gniazda mojego prastare obrońce—
Orły, za wolność i chwałę
Latały w słońce
I nie zniżyły lotu, aż w błękity
Ostatni powiał, jak sztandar przebity.»

Nie zniżyły się nigdy hufce, pod znakiem tego orła walczące, do zaborczej i krzywdzącej wojny. Broniły wiary, ojczyzny i wolności ludów, cześć za to i wdzięczność należy się im w dziejach ludzkości.

ROZDZIAŁ IX.

„Oświadczyłem moim towarzyszom, że mam zamiar płynąć do Makao, osady portugalskiej leżącej na południowem wybrzeżu Chin — pisze Beniowski.

W czasie żeglugi z Formozy napotkał on łodzie rybackie, które otoczyły okręt i cały swój zapas ryb sprzedały załodze za 12 piastrów. Pomiędzy rybakami było dwoch portugalczyków, zgodził ich Beniowski, pamiętny przygody na nieznanych brzegach wyspy Usmay Ligon, aby retmanili okrętowi aż do samego Makao.

Z porady tych sterników statek trzymał się odtąd ciągle brzegów chińskich i zawinął na dłuższy postój do zatoki Tanasoa. Potrójnym wystrzałem z armat powitał Beniowski nadbrzeżną fortecę, na co odpowiedziano z wałów taką samą liczbą salw, poczem oficer chińczyk badał komendanta skąd przybywa okręt pod nieznaną płynący banderą.

— Europejczyk i szlachcic jestem — odpowiedział Beniowski — okręt mój należał dawniej do Rosyi, ale zdobyty jest teraz moją własnością. Powracam

z Kamczatki, płynę do Europy, mam zamiar zawinąć do Makao.

Oficer zapisał pędzelkiem na tabliczce odpowiedzi hrabiego, nie mógł się dość nadziwić jego losom i zapytał czy nie zbywa na czem załodze, pozwolił też aby część jej wysiadła na brzeg dla zaopatrzenia się w potrzebną żywność i wodę. Wywdzięczając się grzecznością za grzeczność wysłał komendant w prezencie dla gubernatora jedną skórę niedźwiedzią i dwa sobole futra.

Kuzniecow, który dar ten zawiózł, wrócił z wiadomością, że mandaryn nader mile przyjął prezent i wywzajemnił się zań serwisem porcelanowym. Oprócz tego załoga otrzymała dwie paki herbaty, sześć krów, dwanaście świń oraz niezmierną ilość drobiu.

Przywiózł także z sobą Kuzniecow sto gatunków rozmaitych konfitur, różne drobiazgi bardzo misternie wyrobione, a zachęcał Beniowskiego do przesłania mandarynowi większej ilości futer, które on nabyć pragnie.

Jakoż zawarto umowę na 150 skór niedźwiedzich i 300 sobolich, za które chińczyk zapłacił 6,000 piastrów, odesłał zaś należność w trzech baryłkach,

co daje nam miarę, jak uciążliwem było wówczas przechowywanie pieniędzy, kiedy dziś, za przekazem na bank, bez żadnej trudności, w najdalsze nawet krańce ziemi, wysyłać je można.

Szczęśliwie zawarty układ o futra przekonał Beniowskiego jak wielkie szkody wyrządziła mu woda, niszcząc co najprzedniejszy towar, toż majtkowie sprzedawali chińczykom za wysoką cenę same szczątki skór niedźwiedzich zbierane po wszystkich kątach okrętu.

Zatrzymał się jeszcze kilka dni w porcie Tanasoa, ale z pobytu tego nie notuje żadnego ważniejszego wypadku, wspomina tylko o wielkiej ilości spotykanych tam wężów, kilka z nich zdołano schwytać, chińczycy zaś zjadali je z wielkim apetytem.

Nadszedł wreszcie dzień 23 września, dzień w którym Beniowski, mógł po tylomiesięcznej żegludze, powitać dawno niewidzianych europejczyków i zacząć żyć na nowo wedle zwyczajów do jakich przywykł za młodu. To też mimo bardzo miłych wspomnień, z pobytu w Japonii, na wyspie Usmay Ligon, a nawet na Formozie, cieszył się oddając wizyty dygnitarzom portugalskim i odbierając od nich oznaki jaknajżywszego

zainteresowania. Było ono szczere, bo załoga przypływająca z Kamczatki wzbudzała ogólną ciekawość. Brzegi północne Azyi mało wtedy były jeszcze znane, a przygody Beniowskiego, jego tak nadzwyczajne wyłamanie się z niewoli, wywołało powszechny zachwyt.

Zwłaszcza sam gubernator, pan Saldagna przyjął naszego bohatera ze wszystkimi należnymi mu względami i obiecał ułatwić załodze statku najęcie dogodnego mieszkania w mieście, zanim znajdzie się właściwa sposobność odpłynięcia do Europy.

Ale zaraz na wstępie tak zwanego cywilizowanego świata, doznał Beniowski przedsmaku przykrości, jakie go niejednokrotnie potem spotykały, urzędnicy portowi, przytomni rozmowie z gubernatorem, zaczęli podawać w wątpliwość opowiadania podróżnika i budzić do niego nieufność.

Bystry umysł komendanta spostrzegł od razu grożące mu niebezpieczeństwo, zapobiegając więc skutkom poduszczeń ludzi złej woli oddał swój okręt pod rozkazy gubernatora, oświadczając, że prosi aby aż do wyjazdu załogi z Makao, wszelka jej broń, jako armaty, pistolety, pałasze, tudzież amunicya wo-

jenna, zostały złożone w zamku pod strażą. Gubernator wdzięczny za tę powolność, wyznaczył młodego francuza Hissa do pomocy Beniowskiemu, we wszystkich jakieby mógł mieć interesach i trudnościach, a spotkał się z niemi komendant jeszcze przed opuszczeniem okrętu.

Upały były nieznośne, spragnieni owoców majtkowie tak niepomiarkowanie raczyli się niemi, że wybuchła na statku prawdziwa epidemia, skutkiem której zmarło kilkanaście osób z załogi, a kilkadziesiąt dłuższy czas walczyło ze śmiercią.

Sam nawet Beniowski doznał jak niezdrowemi są południowe brzegi Chin. Dostał bardzo silnej gorączki i tracił przytomność, kiedy doradzono mu zjeść pomarańczę, ugotowaną we własnym swym soku z cukrem i imbirem.

Jakoż po zażyciu pomarańczowego lekarstwa spocił się bardzo silnie i natychmiast wyzdrowiał, a środek tak prosty okazał się równie skutecznym dla kilku innych osób z załogi, które także zapadły na gorączkę. Z pomocą Hissa najęto wreszcie dwa obszerne domy, w których wszyscy towarzysze, zarówno słabi jak zdrowi, znaleźli wygodne po-

mieszczenie. Dnia tego obiadował Beniowski u gubernatora i siedział przy stole z mnóstwem różnych księży świeckich oraz zakonników do rozmaitych należących reguł. Usłyszawszy, że załoga komendanta składa się przeważnie z wyznawców religii prawosławnej, zapałali oni chęcią nawrócenia jej do kościoła katolickiego i rozpoczęli pracę od chorych, których, gdy się wyleczyć nie dało, z wielką uroczystością, przy odgłosie trąb i kotłów grzebano potem na katolickim cmentarzu.

Reszta dnia zeszła Beniowskiemu na składaniu wizyt biskupowi, prezydentowi Makao, rozmaitym klasztorom i przedniejszym obywatelom miasta. Dla większej zaś powagi wobec tych dygnitarzy zalecił aby wszyscy związkowi i oficerowie, za własnym komendanta idąc przykładem, w jednakowe, białe z amarantowem przybrali się mundury. Pierwszy i ostatni raz zapewne, występowało w Chinach wojsko noszące polskie narodowe barwy!

Należało wreszcie zająć się sprzedażą futer, bo jak wiemy w tym właśnie celu dobił Beniowski do chińskich brzegów, jakoż dopełniono łatwo tranzakcyi. Cały zapas towaru wynosił 490

skór niedźwiedzich, 500 sobolich i 190 tuzinów skórek gronostajowych za co wypłacono ogółem towarzystwu 28,440 piastrów, sumę znaczną wprawdzie, ale znacznymi okazały się też wydatki ponoszone w Makao na utrzymanie i leczenie załogi.

Trzeba było za wszystko płacić gotówką, topniała więc prędko i Beniowski pewnie nieraz wspominał gościnność dobrych wyspiarzy, którzy, nie pytając o zyski, biegli z usługą i darami dla podróżnych. A przecież europejczyków wyznawców wiary Chrystusowej, obowiązuje przedewszystkiem to pierwsze z siedmiu przykazań miłosierdzia: „podróżnego w dom przyjąć“.

Beniowski i jego przygody, nie przestały być przedmiotem zaciekawienia, nietylko dla całego Makao, ale dla dyrektorów różnych kompanii handlowych, którzy pragnęli wyzyskać jego znajomość brzegów Azyi. Ułakomieni widokiem kosztownych futer, sądzili zapewne, że pozyskawszy sobie względy komendanta, będą mogli, za jego pośrednictwem nawiązać stosunki handlowe, choćby w samej Kamczatce.

Jakoż miasto Makao przysłało naszemu bohaterowi tysiąc piastrów w zło-

cie, czterdzieści sztuk materyi błękitnej i dwanaście sztuk czarnego atłasu z prośbą na piśmie, aby w archiwach prezydenta złożył kopię dziennika swej podróży. Dziennik ten zawierał istotnie cenne wskazówki dla żeglarzy, bo Beniowski nie opuścił ani jednego dnia bez zanotowania spostrzeżeń swoich, zarówno dotyczących głębokości morza, jak kierunku prądów, ich właściwości, a także położenia geograficznego danych okolic.

Streszczając dziennik omijałam takie szczegóły, jako mało zawierające interesu dla czytelnika, ale notatki te oddać mogły wówczas pierwszorzędne usługi każdemu, ktoby z Makao urządzał wyprawę na północ.

Znał wartość swego dziennika Beniowski, nie chciał też za żadną cenę, a tem więcej za cenę towarów, odstępować go miastu, przyrzekł jednak udarować prezydenta streszczonym opisem podróży.

Ze wszystkich osób, jakie komendant poznał w Makao, największe wzbudzał w nim zaufanie biskup. Był on rodem francuz, nazywał się Le Bon i usprawiedliwiał postępowaniem swoje nazwisko. To też hrabia odwiedzał dość często duchownego i zwierzył mu chęć udania

się wraz z całą załogą pod protekcyę rządu francuskiego by tem łatwiej i tem bezpieczniej do Europy dopłynąć.

Biskup przyrzekł w tem swoją radę i swoją pomoc, jakoż tego jeszcze dnia wygotował Beniowski listy do dyrektorów kompanii francuskiej, w których prosił o udzielenie jego okrętowi bandery francuskiej i pomyślną na to żądanie otrzymał odpowiedź, odtąd przestała powiewać na maszcie statku chorągiew konfederatów Barskich!

Beniowski czyniąc tak postąpił roztropnie, a jednak mimowoli nasuwa się myśl, że zmiana flagi nie przyniosła mu szczęścia. Towarzyszyło ono dotąd stale jego kilkomiesięcznej pełnej przygód wyprawie, biały orzeł prowadził statek po burzliwych morzach i na gościnne niósł brzegi, zobaczymy z czasem, że wierność liliom Burbońskim*) stała się przyczyną wielu klęsk dla naszego bohatara.

Że zaś umiał im być wiernym dał tego dowód jeszcze w Makao. Już piewszych dni października, otrzymał Beniowski propozycyę kompanii angielskiej, w której zaręczono mu wszelką

---

*) Herbem dawnym królestwa francuskiego — były *lilie*.

pomoc i obiecywano przewieść bez żadnej zapłaty do Europy, byle tylko powierzyć chciał dyrektorom tejże kompanii wszystkie manuskrypta i notatki i zaręczył, że przed żadnym innym rządem nie wyjawi odkryć swych na morzu.

Propozycya była korzystna, Beniowski mógł, gdyby chciał wytargować jeszcze lepsze dla siebie warunki, nie uczynił tego jednak, został wierny banderze francuskiej, a choć nie wspomina o tem w pamiętnikach, łatwo domyśleć się można skąd wzięły początek te tak wyraźne jego sympatye. Konfederat barski miał za towarzyszy broni francuzów, bo jak wiemy, wielu ochotników dążyło wtedy z nad Sekwany do Polski. Był między nimi i sławny później generał Dumouriez. Braterstwo broni, braterstwo wspólnie wielbionej idei wolności, zostawiło niezatarte ślady w sercu Beniowskiego. Dlatego to pewnie odrzucił propozycye angielskie, a także robione mu później holenderskie, i został wierny Francyi, choć niestety zawiódł się na tym sojuszu i gorzko go potem żałował.

Anglicy nie dali jednak za wygraną, ponowiono propozycyę, obiecując wypłacić 15,000 gwinei w zamian za od-

stąpienie rękopisów ale i ta wysoka cena nie skusiła naszego bohatera. Pod jednym tylko warunkiem decydował się przyjąć służbę w wojsku Wielkiej Brytanii a mianowicie: gdy cała załoga i wszyscy oficerowie z jego okrętu będą mieli zapewnioną dożywotnią pensyą, on zaś sam otrzyma pomoc w założeniu osad na wyspach, które za najodpowiedniejsze uzna.

Warunki stawiane przez komendanta wydały się anglikom zbyt twarde, nie porzucili jednak myśli zawładnięcia rękopisami podróżnika, chociaż na mniej prostej chcieli je zdobyć drodze. Jakoż tego samego jeszcze dnia otrzymał Beniowski ostrzeżenie tajemne od gubernatora, że anglicy zawiązali konszachty z jego załogą. Ostrzeżenie okazało się prawdziwem. Rozjątrzeni kupcy, źli, że nic wskórać z komendantem, nie mogą pobuntowali na niego towarzyszy, w czem wybornie dopomógł im dawniej tylko lekkomyślny, a teraz już zdradziecki Stefanow.

Właśnie odebrał był Beniowski zawiadomienie od dyrektora kompanii francuskiej, że może już wraz z towarzyszami przenieść się, na okręty „Laverdi“ i „Dauphin“, oraz, że okręty te

wyjdą wkrótce pod żagle, kiedy ostrzegł go Krustjew o spisku jaki odkrył wśród załogi.

Łatwo się domyśleć, że Stefanow stał na czele zmowy, Stefanow przekupiony przez anglików, którym za cenę 5000 funtów miał wydać rękopisy wodza. Dowodem, potępiającym niepoprawnego łotra był znaleziony w jego kuferku list dyrektorów angielskich panów Hume i Begs'a. Przyrzekali wypłacić natychmiast umówioną sumę, jak tylko Stefanow dotrzyma słowa i wręczy im wiadome manuskrypta.

Postępek szaleńca dotknął boleśnie Beniowskiego. Zabezpieczając się przed rabunkiem, zebrał niezwłocznie wszystkie swoje papiery, zapieczętował je i w tajemnicy oddał biskupowi Le Bon do przechowania. Potem zgromadzić kazał załogę i oświadczył jej, że mając w ręku dowody, jako między związkowemi wielu jest niezadowolonych z jego zarządzeń, w chwili wyjazdu do Francyi zostawia każdemu z towarzyszy swobodę postąpienia wedle woli i obrócenia swych kroków, gdzie się komu spodoba. Dodał przytem, że nie sądzi aby załogą mogła rościć do niego jakąkolwiek pretensyę, wszystkie bo-

wiem odebrane przez czas podróży usługi opłacił sowicie na Formozie, oddając towarzyszom skarby od Huapy otrzymane.

Jeszcze nie skończył mówić Beniowski, kiedy porwał się Stefanow i zaczął lżyć wodza. Zarzucał mu, że przez zachowanie dla siebie rękopisów pozbawia załogę korzyści, jakie papiery te dać mogą. Nie dość tego, zaczął podżegać towarzyszy do otwartego buntu.

— Zrzućcie jego jarzmo — wołał szaleniec — zabierzcie papiery, a każdy z was piękny zdobędzie majątek, zapewni swój los od śmierci!

Gardził Beniowski wrzaskami zdrajcy, jakaż jednak była jego boleść, gdy spostrzegł, że słowa Stefanowa znajdują uznanie wśród najdawniejszych jego towarzyszy niedoli, że ci, na których przyjaźń liczył, łączą się z odstępcą.

Nie mógł wstrzymać gniewu i wzgardy i uniesiony oburzeniem wyrzucił związkowym ich niewdzięczność, a na dowód jak podłemu dali się uwieść człowiekowi pokazał zgromadzeniu list własnoręczny Stefanowa, w którym ten żądał wypłacenia sobie 5000 funtów i pod pozorem służenia załodze wyłu-

dział na własny rachunek pieniądze od anglików.

Powstał hałas między zebranymi; teraz dopiero zrozumiano podstęp łotra, większa część towarzyszy, przekonana dowodem zdrady, chciała związać Stefanowa, ale nie było go już wśród zgromadzonych. Głuchy na wyrzuty wymknął się niespostrzeżenie z jedenastu najwierniejszymi swymi stronnikami i nim Beniowski spostrzegł jego nieobecność, nim domyślił się zuchwalstwa, wybił drzwi od pokoju komendanta i porwał szkatułę, w której mniemał, że są zamknięte papiery.

Niewdzięczność towarzyszy, zdrada Stefanowa, przyprawiły Beniowskiego o chorobę. Zdał komendę okrętu na Krustjewa, sam zaś przyjął propozycyę gubernatora, który, widząc go cierpiącym, ofiarował mu własny dom i zapewnił w nim wszelkie wygody.

Choroba przeciągnęła się aż do ostatnich dni listopada. Przez cały ten czas doznawał komendant starań pana Saldagna, a nawet ustrzegł on go swą opieką wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa. Panowie Hume i Begs oskarżyli bowiem Beniowskiego przed chińczykami, jako dezertera rosyjskiego i pirata

skutkiem czego wice-król kantoński wystosował do gubernatora rozkaz uwięzienia komendanta, albo zmuszenia przynajmniej do natychmiastowego opuszczenia brzegów chińskich.

Wobec tak niechętnego usposobienia władz chińskich należało zachować wszelką ostrożność, Beniowski zaraz więc opuścił mieszkanie gubernatora. Udał się tylko jeszcze na okręt dla uporządkowania skrzyń ze zbiorami, ale jakże bolesny i tu czekał go zawód! Skrzynie, zawierające ciekawe kolekcye wartościowych, lub rzadkich przedmiotów, były próżne! Po długiem śledzeniu pokazało się, że zbiory te sprzedał Stefanow, żydowi, faktorowi angielskiej kompanii, a nie znając się na ich wartości za 1500 piastrów wszystko zmarnował, kiedy same perły przeszło sześć razy taką miały cenę.

Wypadek ten do reszty obrzydził Beniowskiemu pobyt w Makao, gdzie tylu bolesnych doznał zawodów i na tyle natknął się podłości.

Dziesiątego grudnia zgromadził on załogę okrętu, doniósł obecnym o postępku Stefanowa i dodał, że za pięć dni wyrusza do Europy na francuskim okręcie, radzi sprzedać statek, jako na ra-

zie przynajmniej do żeglugi niezdatny, w końcu zaś proponuje, jeśli będzie to życzeniem związkowych, towarzyszenie mu do Francyi, gdzie ma nadzieję uzyskania od rządu pomocy w założeniu osady, na wyspach oceanu Spokojnego.

Z ochotą przyjęła wierna część załogi wniosek wodza, Stefanowowi tylko nie przebaczył on zdrady i nie pozwolił na wyjazd do Francyi, postępując zaś ze zwykłą sobie hojnością przez wzgląd na pamięć przyjaciela Panowa, obdarzył go jeszcze sumą 4000 piastrów. Stefanow jednak i teraz nie stracił na fantazyi, przyjął pieniądze i ofiarował swoje usługi kompanii holenderskiej, której dyrektor pan l'Heureux w mniemaniu, że zasięgnie od niego ważnych o żegludze do Kamczatki wiadomości, przyjął zdrajcę bardzo uprzejmie i do Batawii na wyspę Jawę odesłał.

Dnia 20 grudnia odebrał wreszcie Beniowski ratyfikacyę umowy, zawartej z panem Saint Hilaire, kapitanem okrętu francuskiego i wydał towarzyszom rozkaz gotowania się do odjazdu.

Mocą tej umowy zobowiązał się Beniowski zapłacić 115000 liwrów za transport swój i towarzyszy Kamczatskich, ze wszystkiemi ich ruchomościami, kom-

pania zaś francuska poręczała dostawienie całej załogi na umówione miejsce i czas.

Nic więc nie stało już na przeszkodzie w opuszczeniu Makao, którego klimat okazał się zgubnym dla znacznej części związkowych. Wiemy, że zmarło ich kilkunastu skutkiem zarazy, jaka wybuchła zaraz po wylądowaniu w tej kolonii portugalskiej, a którą felczer okrętowy przypisywał przejedzeniu się owocami.

Późniejszy jednak pobyt w Makao był równie niefortunnym dla towarzyszy Beniowskiego. On sam chorował na uporczywą gorączkę i tylko staraniom gubernatora, pana Saldagna, winien był życie, a jednocześnie z nim zapadło kilkunastu żeglarzy, kilku z nich ocalić zdołano, reszta zaś wkrótce zmarła.

Tak więc nawiązanie stosunków z europejczykami, zdjęcie z masztu bandery konfederatów barskich z herbem polskim zaznaczyło się żałobą na statku.

Znikło piękne godło z wysokiego masztu, na którym powiewało dotąd. Nie pisze Beniowski co się stało z banderą; kto wie czy przewieziona do Francyi nie służyła potem legionistom w ich bohaterskich bojach, to pewna tylko,

że z chwilą jak odleciał orzeł ptak i orzeł bohater po opuszczeniu własnego okrętu, traci rozmach, z jakim opisywał dotychczasowe swoje przygody. Nie brakło mu wprawdzie energii w zwalczaniu przeciwności losu, pozostał dzielnym do końca, ale rzadko kiedy odzyskuje pióro Beniowskiego swobodę i fantazyę, którą podziwiać należy w szczegółach wydobycia się z niewoli, albo wyprawy wojennej na Formozie.

Dnia 2 stycznia 1772 r. kupiec portugalski nabył okręt kamczacki za sumę 9000 piastrów, ale wypłacił ją tylko w połowie, resztę należności musiał Beniowski zakredytować.

Pozostały zapas amunicyi jako nieużyteczny darował hrabia gubernatorowi, wypłacając mu się tem za wielokrotne przysługi. Należało jeszcze kończyć rachunki za przejazd załogi do Francyi i opłacenie jej pobytu w Makao, po ostatecznym obliczeniu i uiszczeniu wszystkich zobowiązań został Beniowski prawie bez szeląga, tembardziej więc śpieszył z podróżą.

Jakoż trzynastego stycznia pożegnał biskupa, gubernatora i przedniejszych obywateli miasta i tego samego dnia wieczorem przy 21 wystrzałach danych

z fortecy dla jego uczczenia, wsiadł wraz z załogą na dwa okręty francuskie. Pierwszy z nich o 64 armatach zwał się „Le Dauphin“ i komenderowany był przez pana St. Hilaire, drugi zaś zwał się „Laverdi“ a miał tylko 50 dział. Najbliższym punktem, do którego dążono była wyspa francuska (Ile de France), gdzie po przepłynięciu równika przybito też szczęśliwie w zupełnem zdrowiu dnia 16 marca.

„Zaledwie nasze okręty na kotwicach stanęły—pisze Beniowski—natychmiast gubernator wyspy, kawaler la Roche, uwiadomiony o moim przybyciu wysłał po mnie rządową szalupę z prośbą, iżbym na ląd wysiadł. Spełniłem jego wolę, a gdym przez miasto jechał witano nas ze wszystkimi wojskowymi honorami. Gubernator przyjął mnie bardzo uprzejmie i ofiarował mieszkanie we własnym domu. Tem chętniej grzeczność tę przyjąłem, iż znając doświadczenie tego oficera pochlebiałem sobie, iż on najlepiej objaśnić mnie potrafi w jaki sposób zawiązać mam stosunki z dworem królewskim we Francyi i z jej ministrami.

Dzień ten cały poświęciłem spoczynkowi, nazajutrz zaś, razem z guberna-

torem, obejrzałem przedniejsze na wyspie budowle fabryki i osady. Jakkolwiek wszystko w należytym znalazłem porządku zaraz jednak spostrzegłem, że nigdy wyspa ta znacznych swemu rządowi nie przyniesie zysków, a cała jej korzyść w wygodnym porcie, do którego tak wojenne, jak kupieckie zawijać mogą okręty.

„Dnia 1 kwietnia ostrzegł mnie kapitan Saint Hilaire, że najdalej 4-go rozwinie żagle. Zaczem poczyniłem przygotowania do dalszej podróży, w czem dopomógł wspaniałomyślnie gubernator, który na moje słowo pożyczył mi pewną sumę pieniędzy. Czwartego wsiadłem na okręt, odprowadzony do portu przez gubernatora i trzech przedniejszych jego oficerów. Wieczorem opuściliśmy wyspę.

„Dnia 12 kwietnia zawinęły nasze okręty do Madagaskaru. Wysiadłem natychmiast na ląd, bo zaciekawiony opowiadaniami gubernatora wyspy Ile de France, kawalera la Roche, miałem ochotę poznać jaknajdokładniej tę ludną, piękną i ogromną wyspę. Lecz nieszczęściem pomyślne wiatry wprędce kazały mi ją opuścić i ruszyliśmy w dalszą drogę dnia 14, a 27-go ominęliśmy przylądek Dobrej Nadziei.

„Dnia 24 maja ujrzeliśmy dwa okręty angielskie na wysokości wyspy Świętej Heleny, a 18 lipca skończyła się nareszcie nasza podróż u wyspy francuskiej Ś-go Krzyża, do której portu zawinęliśmy. Skoro tylko okręta na kotwicach stanęły, wysłałem natychmiast oficera mojego do namiestnika królewskiego w Port-Louis (departament Morbihan w Bretanii), żeby mi wolno było z moją załogą do miasta tego przenieść się i zabawić aż do rezolucyi ministra.

„Przyjęto moje żądanie. Zaraz więc nazajutrz, to jest 19 lipca, wysiadłem wraz z mymi ludźmi na ląd, gdzie grzecznie od komendanta przyjęty, wyprawiłem kurjera z papierami, zaadresowawszy je do ministra, króla Ludwika XV-go, księcia d'Aiguillon.

„Dnia 2 sierpnia przybył kurjer gabinetowy z listem od tego ministra, w którym zapraszał mnie, bym niebawem do rezydencyi króla francuskiego, to jest do Wersalu podążył. Pospieszyłem więc na zawołanie i grzecznie przez księcia d'Aiguillon przyjęty, zaraz na pierwszym wstępie odebrałem propozycyę, wejścia w służbę króla Ludwika XV-go. Z ochotą ją przyjąłem, pod warunkiemj aby król jego-

mość użył mnie do zakładania osad na Oceanie Spokojnym.

„Podobało się ministrowi moje żądanie i otrzymałem tymczasem regiment dragonii. Nader szczęśliwem dla mnie zdarzeniem, zastałem, za tą bytnością we Francyi, stryja mojego hrabiego de Beniow, który był komendantem miasta i zamku Baru, komandorem królewskiego orderu Ś-go Łazarza i kawalerem orderu św. Ludwika. Pomoc tego zacnego krewnego i wspaniałość króla sprawiły, że jeszcze tego samego roku w grudniu zaproponowano mi, przez księcia d'Aiguillon, abym się zatrudnił założeniem osady na wyspie Madagaskarze, pod tymi samymi warunkami, które podałem względem wyspy Formozy. Podjąłem się tego zlecenia i ochoczo przyjąłem żądanie ministra, dla którego do schyłku życia dochowam wdzięczność, szacunek i osobiste przywiązanie".

Zobaczymy z późniejszego opowiadania, że Beniowski wprędce stracił złudzenia do wszystkich ówczesnych dygnitarzy francuskich, nie wyłączając i księcia. Tymczasem jednak snuł złote plany na przyszłość, bo dzielnemu, a po części awanturniczemu jego usposobieniu, uśmiechała się nadzieja nowej

do nieznanych lądów wyprawy. Zapewniano hrabiego, że nigdy opuszczonym nie będzie, że życzeniem króla jest założenie na Madagaskarze kolonii dla zniewolenia wodzów i królików olbrzymiej tej, bo prawie 600 kilometrów kwadratowych obszaru liczącej wyspy, do wezwania protekcyi króla francuskiego i poddania całego kraju pod jego berło.

W myśl ułożonych powyżej planów skończył Beniowski w styczniu 1773 roku zaciąg ochotników.

Dziwnem jest, iż nie wspomina przytem wcale, czy w poczet tego zaciągu weszli dawni jego towarzysze kamczatcy, przeciwnie zdaje się iż składał go nowozwerbowany żołnierz.

Co więc stało się z Krustjewem, Windblatem, Bielskim, Kuzniecowem? na to nie znajdujemy odpowiedzi w pamiętnikach. Przyczyny tego milczenia wytłomaczyć trudno. Przypisać ją chyba należy wielkiemu zainteresowaniu się Beniowskiego nowem przedsiewzięciem, pobieżności jego notatek z tej epoki bo jak widzieliśmy w kilkudziesięciu wierszach zamknął opis podróży z Makao do Francyi, a także może rozgoryczenia wodza, który, w tymże Makao, tak źle został wynagrodzony za swą bezin-

teresowność i haniebnie okradziony przez Stefanowa.

Bądź jak bądź w lutym 1773 roku skończył już Beniowski przygotowania swoje do wyprawy na Madagaskar i przedstawił księciu d'Aguillon ułożone przez siebie następujące 7 punktów dotyczących założenia osady na tej wyspie:

Artykuł I. Raczy minister wydać rozkaz przetransportowania komendanta wraz z całym korpusem ochotników do wyspy francuskiej (Ile de France) i opatrzenia tegoż korpusu w żywność, ubiór i płacę z góry za cały rok.

Artykuł II. Wyda minister rozkazy do rządców wyspy Ile de France, aby na żądanie komendanta dostarczyli mu dwóch okrętów od 150 beczek każdy. Jeden z tych okrętów zostanie pod rozkazami komendanta dla prowadzenia nadbrzeżnego handlu i utrzymania komunikacyi z różnymi tej wyspy krajami, drugi zaś powróci do Francyi dla uwiadomienia ministra o stanie i skutku expedycyi i o innych okolicznościach, o których komendant uzna za stosowne donieść.

Artykuł III. Minister zaleci rządcom wyspy (Ile de France), aby ci, wedle

żądania komendanta, dostarczyli mu towarów wartości 200,000 liwrów, niemniej amunicyi wojennej, artyleryi, sprzętów szpitalnych, tudzież wszelkich rzemieślników z potrzebnemi narzędziami do wystawienia wygodnych pomieszkań dla żołnierzy króla jegomości.

Artykuł IV. Dla zapobieżenia chorobom, którychby nabawić mógł niezdrowy klimat Madagaskaru w czasie budowania pomieszkań na miejscu, zechce minister rozkazać rządcom wyspy (Ile de France), aby bez załogi, na pierwsze żądanie komendanta, dostawili gotowe cztery drewniane domy, z których jeden służyć będzie za tymczasowy magazyn, drugi za szpital, trzeci za koszary, a czwarty dla wygody komendanta.

Artykuł V. Minister przyda ze swego ramienia osoby, którym powierzone będą interesy skarbowe, rachunkowe i handlowe, a to dlatego aby komendant miał więcej czasu zająć się głównymi celami osady.

Artykuł VI. Rozkaże minister rządcom wyspy (Ile de France), aby w każdej potrzebie komendanta dostarczyli mu pomocy w ludziach, żywności, amunicyi, rozmaitych towarach, a nawet

pieniądzach na żołd dla korpusu, gdyby kiedykolwiek wypłata z Europy spóźnić się miała.

Artykuł VII. Raczy minister pierwszego roku nadesłać komendantowi 120 rekrutów dla zasilenia osady. Ostateczne i urzędowe omówienie stosunku Madagaskaru do jego metropolii nastąpi po nadesłaniu objaśnień przez komendanta za jego przybyciem już na wyspę.

Beniowski zaręczył księciu, że jeżeli rząd wypełni wiernie żądania komendanta, wyłuszczone w siedmiu powyższych artykułach, on pewnym jest pomyślnego rezultatu wyprawy, mianowicie założenia osady na Madagaskarze i pozyskania zaufania krajowców. Co zaś dotyczy dalszych zamiarów rządu komendant był zdania, że dokonanie ich wymaga koniecznie dokładnego obznajmienia się z miejscowymi warunkami.

Za przybyciem więc dopiero na Madagaskar obiecywał Beniowski zająć się przedewszystkiem ułożeniem topograficznych map wyspy, opisem miejscowych praw, zwyczajów i rządów, stosownie zaś do poczynionych obserwacyi prześle księciu swoje wnioski, oraz żądania,

od których przyjęcie przez rząd, zależeć będzie powodzenie tak ważnego zamiaru, jak całkowite opanowanie wyspy.

Wygotowany przez Beniowskiego referat i objaśnienia ustne dane księciu ministrowi, znalazły zupełne jego uznanie, mógł więc śmiało liczyć hrabia, że na niczem zbywać nie będzie jego wyprawie. Lecz czekał go na tym punkcie jeden z najboleśniejszych zawodów.

„O jakże się myli ten — pisze w swych pamiętnikach — kto wierzy pochlebnym o sobie słowom ludzi, od których jest zależny. Niczego oni nie zaniedbają ażeby ująć sobie potrzebnego człowieka, a skoro raz go w moc swoją dostaną staje się on igrzyskiem ich kaprysu, albo zupełnego zaniedbania. 19 marca odebrałem z rąk ministra list króla z wyrażonemi w nim życzeniami co do założenia osady na Madagaskarze, kopię listu wysłanego do rządców wysp francuskich, oraz polecenie udania się pospiesznie, razem z korpusem, do portu Orient, gdzie odebrać miałem dalsze rozkazy co do wypłynięcia na ocean.

„Przeczytanie kopii listu do rządcy Ile de France otworzyło mi oczy jak zostałem omaniony, zobaczyłem bowiem z jego treści, że całą moją ekspedycyę

oddano na dyskrecyę tych panów, tak dalece, że byleby im nie spodobały się moje zamiary, a dopieroż gdyby najmniejsze między nami zaszło nieporozumienie, wyprawa nietylko zostałaby spóźniona, ale zupełnie chybiona. Przełożyłem ministrowi moje obawy, prosząc go o zniesienie niektórych wyrażeń listu do rządców wyspy Ile de France. Odpowiedziano na wielkie moje zdziwienie, że dyspozycye królewskie raz uczynione odmieniane już być nie mogą, trwogi zaś i wątpliwości są próżne, gdyż gorliwi i pełni dobrych chęci rządcy wysp Francuskich nie dopuszczą aby mi na czemkolwiek zbywać miało. Dla osłodzenia tej przykrej rezolucyi minister dodał w końcu, że sam wyda rozkazy dostawienia wszystkiego, co tylko zdawać mi się będzie potrzebnem do pomyślności i wygody osady, nakoniec, że wolą króla jest abym przyśpieszył mój odjazd. Pożegnałem więc ministra ze ściśnionem sercem, a umysłem pełnym przewidywań przyszłych niepowodzeń i przykrości na jakie niechybnie, wraz z moją załogą miałem być narażony.“

Beniowski niestety przekonał się wkrótce jak słuszne były jego przewidywa-

nia. 22 września przybył szczęśliwie na wyspę Ile de Frances i udał się natychmiast do administratorów, aby wręczyć im rozkazy ministra i żądać żywności oraz pomocy koniecznej do uskutecznienia powierzonej mu przez króla ekspedycyi.

Lecz król został w Wersalu, a on tymczasem stał się igraszką urzędników, którym wcale nie w smak była misya cudzoziemca, człowieka niepospolitych zdolności, mogącego kontrolować ich postępowanie i przesyłać rządowi francuskiemu swoje nad nimi uwagi. Beniowski doznał losu, jaki jest po tysiąc razy udziałem nas polaków, kiedy chcemy, chociażby najużyteczniejszą dla kraju przeprowadzić sprawę.

Stara burbońska Francya nie lepszych miała urzędników od biurokracyi współczesnej, paraliżowali też niejedno, chociażby najlepsze zamierzenie rządu i popchnęli swą ojczyznę nad brzeg przepaści, z której wydobył Francyę geniusz Napoleona i bohaterstwo jej obywateli.

Wyprawa Beniowskiego wypadła na czas największego rozprzężenia rządów burbońskich, Ludwik XV, stary i niedołężny dogorywał w Wersalu, a ulubieńcy jego obdzierali naród i zakażali swojem zepsuciem.

O sprężystości i dzielności w wykonaniu rozporządzeń monarchy nie mogło być mowy w tych warunkach, bo i same te rozporządzenia wydawane były pod dorywczym wpływem jednego ulubieńca, a niszczone kiedy inny faworyt brał w umyśle króla przewagę nad poprzednim. Czar, jaki zdolnościami swymi i przymiotami roztaczał Beniowski, przechylił chwilowo na jego stronę szalę losu, ofiarowano mu rzadkie, zwłaszszcza dla cudzoziemca, stanowisko, otwoorzono przed nim tak szerokie horyzonty, że mógł się do nich zapalić, ale widzieliśmy, że zapał ten ostudzono zaraz połowicznem zaufaniem, które oddawało hrabiego w ręce zarządców wysp. Dali mu się oni też okropnie we znaki. Pragnął najrychlej odpłynąć do Madagaskaru, bo ciężyła mu bezczynność, paliła chęć rychłego przystąpienia do wielkiego dzieła, a tu pod tysiącznymi pozorami, odmawiano mu okrętów do przewiezienia wojska, żywności, żołdu, amunicyi, broni, dla tego wojska koniecznych.

W końcu przy wykrętnych wybiegach, obliczonych na zwłokę czasu i doprowadzenie interesanta do rozpaczy, oświadczyli rządcy wyspy Beniowskiemu, że nie pojmują jakim sposobem król dał się

skłonić do tak szkodliwej wyprawy dla wysp Ile de France i Bourbon, których kupcy prowadzą zyskowny handel z Madagaskarem i obawiają się więc, aby ze zmianą stosunków nie zostali pozbawieni korzyści, jakie odnosili dotąd. —

„Omal nie straciłem przytomności na to oświadczenie, — pisze Beniowski. Ziściły się obawy moje, jeszcze w Wersalu doznawane, chociaż minister nazwał je nieuzasadnionemi.

Spostrzegłem teraz widocznie, ale już zapóźno, że oddany jestem na łaskę i niełaskę całej partyi, która zazdrosną będąc o swoje dotychczasowe wszechwładztwo, bez żadnego skrupułu wręcz przeciw wyprawie Madagaskarskiej działać będzie, nie zaniecha wszelkich sposobów i intryg, byle w niwecz obrócić moje nadzieje i moje widoki“.

I nie omylił się Beniowski. Odwoływanie się jego na rozkazy ministra, pozostało bez skutku. Odpowiadano mu, (a znane są nam tego rodzaju odpowiedzi) że rozkazy ministra nie są dość wyraźne, że zatem niepodobna jest rządcom wyspy na nich się oprzeć.

Wszystkie te szykany doprowadzały Beniowskiego do rozpaczy, zrozumiał, że nie pozostaje mu nic więcej, jak przy-

śpieszyć swój odjazd do Madagaskaru, chociażby miał narazić się tam na ostatnią nędzę, a potem czekać cierpliwie póki król wprost z Francyi nie przyśle mu posiłków.

Opuszczam z umysłu nieskończenie długi opis krzywd, szyderstw, zawodów jakich doznał jeszcze hrabia. Przytaczać te szczegóły byłoby to powtarzać jedne i te same wykręty niesumiennych urzędników. Przybycie reszty korpusu ochotników Beniowskiego, którzy w pierwszych dniach grudnia wylądowali na wyspie Ile de France, rozstrzygnęło ostatecznie sprawę wyjazdu hrabiego.

Widząc wzmożone jego siły, rządcy zmienili taktykę, uderzyli w pokorę, obiecując nagrodzić dotychczasowe swe postępowanie, dostarczając wszystkiego, coby do założenia osady było potrzebne. Mógłże Beniowski nie ufać słowom ludzi piastujących tak wysokie i tak odpowiedzialne wobec narodu stanowisko? Dał się więc znów wziąć na piękne słówka, a tymczasem była to tylko nowa intryga przewrotnych urzędników. Chcieli oni zyskać na czasie, ażeby zbuntować korpus komendanta i wysłać do Madagaskaru emisaryuszów, dla ostrzeżenia naczelników tej wyspy, że Beniowski chce

ich podbić i, że więc wzbronić mu powinni wylądowania.

I przewrotne intrygi odniosły chwilowo przynajmniej pożądany dla oszustów skutek, bo wielka część ochotników korpusu komendanta opuściła jego służbę, niektórzy nawet oficerowie, pod pozorem choroby, nie stawili się do apelu.

Zadrżał Beniowski na postępowanie swych nieprzyjaciół. Działając ze zwykłą sobie energią, nie daje czasu szerzyć się potwarzy, zgromadza natychmiast cały korpus i tak silnie zbija podstępnie rozsiewane fałsze, tak wymownie przemawia do serc i honoru francuzów, że wywołuje jednomyślny okrzyk zapału.

I nie dość na tem, zapał ten udziela się samym mieszkańcom wyspy, zbiegł się tłum ludzi rozmaitego zajęcia, prosząc, aby towarzyszyć mogli wyprawie na Madagaskar. Stawiano jej jeszcze najróżnorodniejsze przeszkody, aż nareszcie dnia 2 lutego 1774 r. dał Beniowski rozkaz swoim ochotnikom, aby przy odgłosie muzyki i z rozwiniętemi chorągwiami maszerowali do portu.

Trudno wypowiedzieć zarówno radość korpusu, jak złość nieprzyjaciół hrabiego. On sam pisze o sobie, że nigdy ochoczej nie wsiadał na okręt, a choć

wiatry przeciwne zmusiły statek zawinąć do wyspy Bourbon; już 14 lutego dobił do portu Antongyl na brzegach Madagaskaru. Miał się tu odegrać ostatni akt zadziwiającego dramatu, jakim śmiało nazwać możemy niezwykły bieg życia młodego podróżnika-bohatera.

CZĘŚĆ III.

Na Madagaskarze.

ROZDZIAŁ X.

14 lutego 1774 roku Beniowski wylądował na Madagaskarze i zajął się zaraz wyszukaniem sposobów poprawienia doli swojej, a także swoich podwładnych.

Los ich nie wiele był lepszy od losu Robinsona wyrzuconego na brzeg, bo, dzięki intrygom i egoizmowi rządców wyspy Ile de France, zbywało naszemu bohaterowi zarówno na pożywieniu, jak na najniezbędniejszych wygodach.

Zachodziła gwałtowna potrzeba wystawienia magazynu, szpitala, mieszkania dla wojska, wreszcie jakiegoś schronienia dla samego komendanta. Wszystkie budowle mogły być wzniesione tylko z pomocą miejscowych mieszkańców, których Beniowski nazywa murzynami. Należało więc pozyskać ich zaufanie.

Beniowski zgromadził w tym celu całą ludność wybrzeża i rozdał im różne podarki. Odstąpiono mu też zaraz kilka chałup, w których pomieścił oficerów i żołnierzy, aż do czasu kiedy zbudowane będą koszary; poczem przystąpił do wylądowania z całym korpusem. Że zaś zbiegł się tłum wyspiarzy na to widowisko, skorzystał z tej ich ciekawości, i kazawszy wojsku wysiadać w paradzie, potrafił wzbudzić poszanowanie dla swej maleńkiej armii.

Należało z kolei przystąpić do przeładowania na brzeg ruchomego majątku nowej kolonii i teraz dopiero okazała się w całej pełni niegodziwość urzędników francuskich. Mimo uroczystych przyrzeczeń, mimo pozornej gorliwości w wypełnianiu zleceń monarchy, zadrwiono z nich w najsmutniejszy dla Beniowskiego sposób, dostawiono bowiem na jego okręt mało i tylko drugorzędnej wartości przedmiotów, najmniej zaś zwłaszcza żywności, za to dużo węgla, bez którego, przy obfitości drzewa na wyspie, wybornie obejść się było można.

Na szczęście kapitan okrętu miał do sprzedania żywność, napoje i lekarstwa, zakupił je Beniowski za cenę 1400 li-

wrów,*) dając w zamian przekaz na skarb królewski, a kiedy tego kapitan przyjąć nie chciał, zapłacił rewersem, wystawionym na własne imię.

Żądał jeszcze słusznie Beniowski od kapitana, aby użyczył mu na jakiś czas cieśli i innych rzemieślników dla przyśpieszenia robót około budowy mieszkań, a gdy się ten wzdragał z tą przysługą, mówiąc, że rządcy wyspy Ile de France, niechętni byliby takiej jego powolności dla nowej kolonii, na mocy władzy danej przez króla, przyniewolił zuchwalca do spełnienia swoich rozkazów.

Taki był początek osiedlin na nieznanej a olbrzymiej wyspie, zamieszkałej przez ludność złożoną z różnorodnych plemion, a więc tem trudniejszą do pozyskania. Osada, którą nazwano Louisburgiem, sąsiadowała bezpośrednio z prowincyą Antimaroa, tam też najprzód kazał obwieścić wolę króla, co do założenia kolonii na Madagaskarze i zawarcia związków przyjaźni z tubylcami.

Było jednak mocno wątpliwem, jak ci tubylcy zapatrywać się zechcą na nieproszonych sąsiadów, to też hrabia

---

*) Liwrem nazywano wówczas jednostkę monetarną we Francyi, dzisiejszy frank.

dał na wszelki wypadek rozkaz, aby artylerya była w pogotowiu i dla zatoczenia jej na wały kazał obwarować swoją twierdzę. Nad wszelkie spodziewanie przeszło 200 murzynów przyszło dobrowolnie ofiarować pomoc przy robocie, nosili darń z faszyną, z której nietylko usypano szańce pod armaty, ale ubito tamę na rzece i osuszono pobliskie błota.

Robota ziemna była właśnie skończona, kiedy 1-go marca dano znać Beniowskiemu, że zwierzchnicy prowincyi Antimaroa zbliżają się pod Louisbourg. Przyjął ich o kilkaset kroków od palisady, otaczającej mieszkania, wśród świty oficerów i trzydziestu szeregowców, składających jego orszak. Wodzowie murzynów byli w liczbie 28, a 2000 uzbrojonych żołnierzy służyło im za eskortę. Ustawili się w półkole, Beniowski stanął w pośrodku i oświadczył otaczającym, że zamiarem jego króla jest, sprzyjać obywatelom Madagarskim i wziąć ich pod opiekę swojego berła, że więc, pełniąc wolę monarchy, ma on założyć między nimi osadę, bronić ich od nieprzyjaciół i zarazem strzedz magazynów i składów, w których każdego czasu, za jak najniższą cenę, dostaną wszelkich po-

trzebnych towarów, jako to: płótna, likierów, prochu, kul, wymieniając je za produkta kraju, a zwłaszcza za ryż.

„Własny więc interes nakazuje wam— kończył Beniowski — zająć się uprawą roli i dostarczaniem do faktoryi jaknajwiększej ilości zboża, król zaś jegomość, w zamian za korzyści, jakie ze związku otrzymacie żąda:

I. Zawarcia ze mną traktatu przyjaźni i przymierza, odstąpienia kawałka gruntu na założenie osady, pozwolenia sprzedawania ziemi francuzom, którzy tu osiedlić się zechcą.

II. Dopuszczenia, abym swobodnie mógł wybudować szpitale i magazyny w głębi kraju, przy ujściu rzeki Tingballe.

III. Zobowiązania, że bronić będziecie mojej osady od obcej napaści.“

Oświadczenie Beniowskiego, powtórzone wodzom przez tłumacza, przyjęte zostało głośnymi objawami radości.

Najstarszy w zgromadzeniu oświadczył uroczyście, że nikt z obecnych nie wątpi o dobrych chęciach króla, który przysyła im wojsko i pomoc na obronę przeciw ich nieprzyjaciołom, że wdzięczni za taką przysługę od tej chwili uznają go swym przyjacielem i chętnie

zezwalają na odstąpienie potrzebnych gruntów do założenia osady, byleby Beniowski zobowiązał się nigdy na ich ziemi nie budować twierdzy. Co się zaś tyczy miejsca żądanego w środku kraju na szpitale i magazyny, przyrzekł mówca, iż niebawem na to dadzą swe zezwolenie.

„Za tak wielką naszą powolność — powiedział wreszcie wyspiarz—tego tylko wymagam, imieniem własnem i moich kolegów, aby pan twój żadnego sobie nad nami nie przywłaszczał prawa i poprzestając na tytule sprzymierzeńca, lub przyjaciela, dostarczył pomocy przeciw wspólnym naszym wrogom“.

Po tak pomyślnie rozpoczętych układach łatwo nastąpiła zgoda, którą obie strony uroczyście zaprzysięgły. Obrządek ten, w języku krajowym Madagaskaru zowie się *cabarre*.

Beniowski udarował nowych sojuszników beczką wódki, która wypita na miejscu dobrze usposobiła mieszkańców Antimoroa, wrócili oni do swoich wiosek zachwyceni monarchą francuskim i jego namiestnikiem.

Miał też Beniowski tę radość, że już w pierwszych dniach kwietnia wysłał na statku „le Dauphin“ znaczny ładu-

nek ryżu do Ile de France, gdzie produkt ten bardzo był pożądany, jednocześnie zaś zawarł korzystny układ z wioskami leżącemi dokoła Louisbourga i wypłaciwszy umówioną cenę wszedł w posiadanie całego nadbrzeża, co zabezpieczyło osadę od ponawiających się dość często napadów na magazyny rządowe.

Znaleźli się jednak niechętni między murzynami, których oburzył szybki wzrost osady i choć przyjęli zaliczoną przez Beniowskiego sumę, nie mogli darować swego upokorzenia i przysięgli zemstę za stracone grunty. Ostrzegł o tem hrabiego pewien wolny murzyn, donosząc, że jego współziomkowie postanowili wytruć cudzoziemców. Łatwo by im to przyszło, jako dostawcom żywności, zwłaszcza zaś owoców, rozkazał więc Beniowski, aby nie ważono się kupować od wyspiarzy żadnych artykułów spożywczych, inaczej jak po uprzedniem skosztowaniu towaru przez sprzedającego.

Próbę zdrady przypłacił śmiercią jeden z murzynów, bo padł trupem skosztowawszy owoców, które przyniósł na sprzedaż, ale smutne to zdarzenie miało tę dobrą stronę, że przeraziło samych

zdrajców, opuścili oni dawne swoje stanowiska i przenieśli się na drugi brzeg rzeki.

Nie zaniechali jednak zemsty, o czem francuzi mieli się wkrótce przekonać, Jakoż w parę dni potem, okryły rzekę gałęzie drzew ze świeżymi i bardzo pięknymi owocami. Zawsze ostrożny Beniowski, nie dowierzając podstępnym sąsiadom, kazał pilnie śledzić przyczynę dziwnego zjawiska i wnet doszedł, że owoce te, to *tanguin*, najsilniejsza na Madagaskarze trucizna.

Zdradziecki wódz murzynów umyślnie kazał zarzucić rzekę gałęziami tanguinu, żeby zatruć wodę, której osada używała do gotowania. Zapobiegł niebezpieczeństwu Beniowski przez natychmiastowe oczyszczenie rzeki, poczem wyprawił kilkuset ochotników murzynów z rozkazem wycięcia wszystkich drzew tanguinu, które rosły w pobliżu osady i rzeki.

Dziennik Beniowskiego z tej epoki podaje wiadomości o różnych pracach, wiadomości te pozbawione większego interesu czytelników, bo zbyt ogólnikowe, dają jednak miarę, jak wytężoną musiała być działalność namiestnika, wystawionego na nieustanne troski, a obar-

czonego odpowiedzialnością za powodzenie wyprawy.

30 marca notuje pomyślną wiadomość, odkrył bowiem obfite kopalnie miedzi w okolicy Manambii i pośpieszył donieść o tem bogactwie ministrowi. Zaraz jakoś we dwa dni potem, spostrzegł ubytek w szeregach swych żołnierzy, jakoż przekonał się istotnie, że część załogi w zmowie z wyspiarzami, zamierzała zburzyć osadę i powrócić do Europy.

Zaledwie uporał się ze spiskowcami, których zasłużona spotkała kara, znów występować musiał w roli potężnego wielkorządcy, darzącego swą opieką sąsiednie prowincye. Mimo fałszywych wieści, rozsiewanych przez rządców Ile de France, jeszcze przed przybyciem Beniowskiego do Madagaskaru, ludność tego kraju coraz chętniej śpieszyła pod opiekę namiestnika, umiejącego zjednać sobie jej zaufanie.

Doniesiono raz hrabiemu, że Hiawa, królik potężnej prowincyi, żąda usilnie jego przyjaźni, przyrzekając, na co tylko go stać, aby dopomódz francuzom do założenia osady w obrębie państwa którem włada, równocześnie zaś przybyli posłowie z wyspy Ś-tej

Maryi z takiemi samemi propozycyami, gotowi natychmiast zaprzysiądz wierność swą i puścić w niepamięć krzywdy i okrucieństwa, jakich niejednokrotnie doznawali od francuzów, handlujących z Madagaskarem.

Nawet najoporniejsza dotąd prowincya Safirobajów, z którą niejednokrotnie krwawe wynikały zatargi, pierwsza zażądała zgody.

Dwudziestu dwóch przedniejszych jej wodzów przybyło do obozu na czele 2000 murzynów i wodzowie ci uroczystą złożyli przysięgę, jako nigdy już nie dopuszczą do żadnych nieprzyjacielskich kroków i nie zgwałcą przymierza zawartego z Beniowskim.

Tak zapewniwszy sobie ze wszech stron spokój, — umyślił namiestnik zbadać wewnętrzne położenie kraju, gdzie, jak mówiono, miały się znajdować obszerne równiny i spławne rzeki korzystne dla handlu.

Wysłał zatem porucznika fregaty, pana de Saunier, zalecając mu, żeby płynął w górę rzeki Tingballi i obejrzał jej brzegi. Tenże wrócił ze swojej wyprawy 26 kwietnia, donosząc, iż rzeka jest spławną, na 10 mil od ujścia dzieli się na dwie odnogi, także spławne w

znacznej części, okolice zaś, które zdołał przebyć, okryte są pięknemi i dobrze uprawnemi roślinami, a góry, leżące nad niemi, porosłe lasem, który łatwo i małym kosztem będzie można dostawić wodą aż do Louisbourga.

Dnia 29 tegoż miesiąca, wysłał nową wyprawę w głąb wyspy dla zawiązania stosunków handlowych z prowincyą Bombatok, która obfituje w bydło i bawełnę. Dowodził wyprawą pan Mayer, a towarzyszył mu sierżant oraz 150 murzynów dostawionych w tym celu przez rozmaitych sprzymierzonych wodzów.

Kiedy Beniowski, nie bacząc na trudy, a działając w myśl otrzymanych od króla Ludwika XV instrukcyi, rozszerza swą działalność na coraz dalsze okolice Madagaskaru w samem Louibourgu tymczasem nowe czekały go troski. Umarł dozorca magazynu przysłany przez rządców wyspy Ile de France, którego wierność wydawała się zawsze namiestnikowi bardzo wątpliwą. To też zaraz po śmierci magazyniera polecił hrabia opieczętowanie składów i skrzyń, oraz zdwojenie przy nich straży. Skutek okazał jak słusznemi były te zarządzenia, przy rewizyi bowiem i spisie inwentarza magazynu, wyszła na jaw

nietylko niezgodność z rejestrami, ale i same księgi rachunkowe znaleziono w największym nieładzie.

Liczyć na pomoc rządców Ile de France, odpowiedzialnych w części za czyny swych protegowanych, było czczą mrzonką, zapomnieli oni bowiem o kolonii Madagaskarskiej, tak solennie przez króla oddanej sobie w opiekę, a co gorsza z zupełną samowiedzą kolonią tę zdradzili i to w chwili kiedy spadły na nią nieprzewidziane klęski.

Mniemał Beniowski, że miesiąc maj, tak zbawienny w Europie, przywróci i na Madagaskarze siły żołnierzom, bo siły te, nadwątlone upałami, wyczerpywały się nieustanną pracą przy fortyfikowaniu osady i osuszaniu otaczających ją bagien, zatruwających okolice Louisbourga.

Stało się jednak przeciwnie, rozchorowali się niemal wszyscy ochotnicy, stan zaś zdrowia oficerów niewiele był lepszym. Na domiar złego brakowało lekarstw w szpitalu, brakowało zdolnych lekarzy i felczerów, osada nie posiadała nawet filtrów do oczyszczania wody, niosącej z sobą nieuniknioną zarazę. Beniowski własną osobą starał się zastąpić wszystkie braki, czuwał nad bez-

pieczeństwem osady, pielęgnował chorych, ale padł też wreszcie ofiarą gorliwości swej i współczucia nad cierpiącymi, bo zaraził się od nich zgubną w tamtych okolicach febrą.

Cały tydzień wytrzymywał codzienne paroksyzmy gorączki i nieznośny ból głowy, w końcu jednak oddał komendę korpusu majorowi, a sam kazał się przewieść na wyspę d'Aguillon i ta zmiana powietrza tak mu pomogła, że mógł, zastępując felczera, drżącą jeszcze ręką, pielęgnować najsłabszych, wrócił też zaraz z miejsca wypoczynku przerażony wiadomością o napadach na osadę, jakich pod jego nieobecność dopuszczali się murzyni.

Niespodziewany ten powrót rzucił popłoch między niekarną ludność okolicy, która zaniechała zaraz rabunków, ale nawet wodzowie sąsiednich prowincyi przybyli do Louisbourga z oświadczeniem radości z powodu ozdrowienia namiestnika. Jako wyraz tej radości wyprawiono publiczne zabawy, w czasie których spełniono gęste wiwaty za pomyślność hrabiego.

Śmierć jednak, mimo wiwatów, gospodarowała uparcie w obozie, to też Beniowski, nauczony własnem doświad-

czeniem, wysłał jednego z oficerów na czele silnej eskorty, dla upatrzenia w głębi wyspy zdrowego i bezpiecznego miejsca dla przewiezienia wszystkich chorych, a dania wypoczynku rekonwalescentom.

Jakoż oficer wrócił, niosąc radosną wiadomość, że o 8 mil angielskich od Louisbourga znalazł równinę, zwaną przez wyspiarzy „Doliną Zdrowia".

Wydała mu się najodpowiedniejszą do założenia tymczasowego tam schroniska dla chorych, a następnie osady. Obronność jej stanowiłby zamek zbudowany na wyniosłości, która górowała ponad całą okolicą.

Raport oficera ucieszył bardzo Beniowskiego, bo dogadzał w zupełności jego widokom przeniesienia się z Louisbourga w miejsce zdrowsze i lepiej zabezpieczone od napadów krajowców. Wyprawił też natychmiast oddział żołnierzy na „Dolinę Zdrowia", gdy ci zaś istotnie bardzo prędko odzyskali siły, polecił panu Corbi, aby zabrawszy z sobą odpowiednią liczbę rzemieślników, zbudował w tej szczęśliwej dolinie szpital dla chorych i mieszkania dla zdrowych.

Takie poczyniwszy rozporządzenia

sprobował Beniowski raz jeszcze zmiękczyć serca rządców Ile de France, skłonić ich do wypełnienia woli króla, przez dopomożenie, tak ważnej jak Madagaskarska kolonii, do możliwego dla niej rozkwitu. Rozkwit zaś, jak wiemy dobrze, zależał wyłącznie od pomocy, przyobiecanej tylokrotnie, a nieuskutecznionej nigdy.

Dnia 28 maja odbijał właśnie do Ile de France okręt „Bourbon", wysłał więc namiestnik jednego ze swych oficerów i zaopatrzywszy go w odpowiednie piśmienne żądanie, polecił mu ustnie jeszcze dopominać się o niezbędnie potrzebne przedmioty dla nowopowstającej osady.

Lista ich była długa, chodziło jednak przedewszystkiem o filtry do oczyszczania wody, o lekarstwa, felczerów, ludzi zdatnych do służby szpitalnej, o trunki i różne towary. Zaręczał w liście swym Beniowski, że jeśli otrzyma to czego żąda będzie w stanie bardzo niedługo dostarczyć w zamian zarządowi Ile de France około miliona funtów ryżu białego i trzy tysiące wołów. Przedstawiał dalej namiestnik, że służba królewska koniecznie tego wymaga, aby mu niezwłocznie dostawiono dwie ga-

lioty, dla wywozu i transportu ryżu i innych towarów.

Do tych uwag dodał Beniowski żądanie aby mu wypłacono 96,166 liwrów, które to pieniądze winien był prywatnym kupcom za lekarstwa, towary i żywność. Żądał także aby nie broniono jego oficerowi, umyślnie w tym celu do Ile de France wysłanemu, zaciągnąć żołnierzy i rzemieślników i jeśli ci okażą do tego ochotę, zabrać ich z sobą na Madagaskar.

Dnia 1 lipca 1774 r. ruszył „Bourbon" pod żagle, unosząc z sobą wszystkie nadzieje namiestnika, który rozumiał doskonale, że bez pomocy wszechpotężnych, bo cieszących się zaufaniem króla, rządców Ile de France, utrzymać się nie będzie mógł w swej kolonii.

Utwierdziło go w tem przekonaniu nowe, a bolesne doświadczenie. Wiadomość o wyniszczeniu chorobami obozu europejczyków obudziła w mieszkańcach Madagaskarskich wrodzoną im dla białych przybyszów niechęć, sąsiedni wodzowie łamiąc przymierze, czynili już przygotowania do napadu.

„Szczęściem—pisze Beniowski—ostrzeżony przez przychylną mi starą murzynkę, którą z Ile de France przywiozłem,

szybko zarządzić zdołałem środki przeciw zamachowi, żołnierz mój, aczkolwiek osłabiony chorobą, z takiem potykał się męstwem, że w mgnieniu oka zdobyto okopany wśród lasu obóz napastników którzy strachem przejęci poszli w rozsypkę, lub zginęli od szabli moich żołnierzy".

Ukończono tymczasem ważną bardzo pracę około zbudowania silnego zamku w Louisbourgu. Otaczała go wysoka palisada, głębokie rowy, a strzegły po rogach warowne reduty, czyniąc groźnym i bezpiecznym.

Twierdzę tę oddał Beniowski pod komendę pana de Vienne, pierwszego porucznika z oddziałem pięćdziesięciu ludzi, sam zaś w towarzystwie trzydziestu sześciu osób, przychodzących już nieco do sił, udał się na „Dolinę Zdrowia, gdzie założył zaraz targ na ryż, bydło i drzewo.

Przyznać należy, że siedlisko to stworzone było dla chorych i chociaż żołnierze mieszkać musieli w naprędce skleconych chatach, które ich nawet od deszczu zasłonić nie mogły, po kilku dniach już doznali znacznego polepszenia na zdrowiu. Resztę lipca poświęcono też budowaniu wygodniejszych mie-

szkań dla wojska, wzniesieniu zamku, który od swego imienia nazwał Beniowski fortem Augusta i uprawie roli, bo żyzność ziemi pozwalała obiecywać sobie setne plony. Coraz żywsze stosunki z tubylczemi plemionami zdawały się usprawiedliwiać nadzieje króla, położone w namiestniku, że potrafi ugruntować na wyspie wpływ metropolii i zamieni ją z czasem w bogatą francuską osadę.

Stałoby się tak niezawodnie, gdyby nie intrygi biurokracyi kolonialnej, korzystającej bezpodzielnie z niezależnego swego położenia i niekontrolowanej właściwie przez nikogo. Wszechmocni dotąd rządcy wyspy Ile de France musieli z coraz większą nienawiścią patrzeć na owocną pracę Beniowskiego.

Jeśli uda mu się zawładnąć Madagaskarem, olbrzymia ta i niezmiernie urodzajna wyspa, nabierze znaczenia, jakiego nigdy mała Ile de France mieć nie mogła. Tem samem rządcy jej stracą przewagę, z której dotychczas korzystali, i dostaną się pod kontrolę, a kto wie czy z czasem nie pod zwierzchniczą władzę hrabiego.

Małoduszne i nieszlachetne zapatrywania! Toż dobrzy obywateli francuscy,

za jakich rząd miał swoich urzędników w koloniach, powinni byli cieszyć się ze szczęśliwej okazyi zdobycia dla ojczyzny nowej i tak bogatej jak Madagaskar prowincyi.

Niestety, były to czasy, jak mówiłam już zresztą, upadku i zepsucia obyczajów we Francyi. Przykład panujących zaraził naród zbytkiem, rozpustą, przekupstwem. Lud, wyzyskiwany i uciemiężony cierpiał nędzę, a niesumienni urzędnicy ze szkodą skarbu państwa myśleli tylko o zyskach dla siebie.

Tak właśnie postępowali też rządcy Ile de France. Przychodziło im to tem łatwiej, że oddaleni od ojczyzny mogli bezkarnie łupić co się da. Żegluga, zdana wtedy na łaskę pomyślnych lub niepomyślnych wiatrów, bo parowe dopiero w pół wieku później krążyć zaczęły po oceanach, żegluga niebezpieczna i niepewna, utrudniała rządowi francuzkiemu kontrolę nad urzędnikami, na dalekim krańcu Afryki, pełniących swe obowiązki. Oni zaś mieli wszelką łatwość szkodzenia Beniowskiemu wobec króla i ministrów, bo przez ich ręce przechodziły zarówno jego raporty, jak rozkazy rządu dotyczące zaopatrywania Madagaskaru w potrzebne mu przed-

mioty i towary. Łudzili obietnicami dostawy tych niezbędnych zapasów, a tymczasem, nietylko, że nie dawali pomocy, ale przez swoich agentów buntowali wodzów wyspy przeciw namiestnikowi.

Podstępne te intrygi nie odnosiły skutku, bo Beniowskiego znaczenie i wpływ rosły z każdą chwilą. Jeżeli zdarzyły się nawet napady krajowców jak np. 15-go sierpnia, kiedy murzyni z prowincyi Nawanu wpadli, żeby zrabować ryż suszący się pod gołem niebem, to napady te załoga europejska odpierała z łatwością, gdyż w pomoc szły jej przyjazne plemiona, które na wyprawę przeciw zbójeckim sąsiadom dostawiały po kilkaset, a nawet po kilka tysięcy sprzymierzonych żołnierzy.

„Należało mi korzystać z tak szczęśliwego przywiązania do mnie tubylców — pisze Beniowski — a zważywszy, że położenie moje stawało się codzień krytyczniejsze przez intrygi nienawistnych nam rządcy Ile de France, którzy przez nasyłanych emisaryuszów nie przestawali podburzać przeciwko naszej osadzie mieszkańców Madagaskaru, umyśliłem użyć wszelkich sposobów do ściślejszego przymierza ku wspólnej obronie od nieprzyjaciół.

Jakoż po krótkiej umowie ułożyliśmy się nawzajem, utrzymywać w ciągłej gotowości korpus z 1200 ludzi złożony.

Ale odbierając takie usługi od moich sprzymierzeńców, winienem był myśleć o oświeceniu tego narodu, który choć z natury szlachetny, niejednokrotnie jeszcze dopuszczał się czynów barbarzyńskich. I tak: od najdawniejszych czasów, zachowywany był na wyspie zwyczaj zabijania dzieci, które rodziły się w dni uważane przez mieszkańców za fatalne, albo też rodziły się z jakiemś naturalnem kalectwem, topili je najczęściej sami rodzice.

Przypadek zrządził, że wracając z Równiny zdrowia rzeką do Louisbourga, natrafiłem na tę okropną przeciw naturze zbrodnię. Niesiono już do wody troje maleńkich ofiar nieszczęśliwego zabobonu, kiedy właśnie nadjechałem i przeszkodziwszy ohydnemu dzieciobójstwu; zabrałem niemowlęta do Louisbourga. Zaraz też sprosiłem naczelników sąsiednich prowincyi na wielką ucztę, wyprawiłem ją celem poruszenia ważnej kwestyi tyrańskiego zabobonu.

Zbiegły się hurmem i kobiety; zasłyszawszy, że o dzieci miała być wytoczona sprawa, jakoż zabrałem głos i

wymogłem od naczelników, że nie dopuszczą odtąd w obrębie swego zwierzchnictwa tego niesłychanego barbarzyństwa. Wykonano też natychmiast przysięgę jako nigdy, pod żadnym pozorem nikt zabijać dzieci nie będzie, gdyby zaś znaleść się miała przestępująca to prawo wiarołomna niewiasta, jako niegodna naszego towarzystwa, zaprzedana zostanie w niewolę obcym narodom. Co się zaś tyczy niemowląt rodzących się z kalectwami, które dotąd śmiercią karano, postanowiono aby rodzice odsyłali takie do osady, gdzie kosztem publicznym chowane i utrzymywane będą.

„Pierwsza to była chwila na Madagaskarze, w której prawdziwą rozkosz uczułem, że za mojem wstawieniem się zniesiony został, okrutny, przeciwny Bogu i społeczeństwu zwyczaj“ — pisze Beniowski.“

I radość jego słuszną podzielić musi każdy dobrze myślący człowiek.

Akt powyżej opisany nasuwa mimowoli pocieszającą myśl, jak to z biegiem czasu rozwijają się poglądy ludzkie i stają się sprawiedliwszymi z pokolenia na pokolenie.

Bo zastanówmy się tylko: Beniowski potępia rodziców topiących dzieci dla zabobonu, a sam ustanawia prawo, mocą którego wiarołomna matka murzynka ma być zaprzedana w niewolę,—murzynka! gdyż nikomu nie przyszłoby na myśl zastosować tak srogą karę do kobiety białej.

Jest więc Beniowski daleko sprawiedliwszym i litościwszym od mieszkańców Madagaskaru, ale o wiele mniej sprawiedliwym jednak niż przeciętny dzisiejszy człowiek cywilizowany, bo dziś rozumieją już, że nietylko zaprzedanie człowieka w niewolę, ale każda przymusowa nie oparta na wolnej woli człowieka praca, jak była nią naprzykład pańszczyzna, jest krzywdą względem bliźniego. Postąpił więc świat ku dobremu od 1774 r.

Z kolei zaś, wy młodzi, którzy opowiadanie to czytać będziecie, powinniście też dążyć do coraz sprawiedliwszego pojmowania obowiązków waszych względem innych ludzi. Niech miłość rozjaśni wasze sumienia, pchajcie dalej z posad bryłę świata, aby na nowe wszedłszy tory, dążyła drogą chrześcijańskiego rozwoju, do urzeczywistnie-



nia obietnicy Bożej przyjścia królestwa Chrystusowego na ziemię.

Ale wróćmy do Beniowskiego!

Czytelnicy, którzy znają już historyę wielkich podróżników Vasco de Gamy, albo Ferdynanda Korteza, muszą przyznać naszemu bohaterowi wyższość nad tymi sławnymi zdobywcami, bo kiedy ostatni z dwóch zwłaszcza zapisał krwawo swe imię w Meksyku i zostawił po sobie wspomnienie genialnego łupieżcy, Beniowski używa niepospolitych zdolności dla podniesienia moralnego i materyalnego bytu tubylców na Madagaskarze.

Nie obciążał on ludności kontrybucyami, nie wydzierał im przemocą posiadanych bogactw, wiedział, że urodzajna ziemia kryje ich dość w swem łonie, trzeba tylko wydobyć je umiejętną pracą i ułatwić ich zbyt w faktoryach.

Faktoryi tych, to jest obronnych zameczków, w których pod osłoną załogi dokonywano wymiany towarów, zbudował już Beniowski kilkanaście w różnych punktach wyspy, zwłaszcza nad brzegami rzeki Tingballe i w okolicy „Doliny Zdrowia". Teraz należało połączyć osady wygodnymi gościńcami, bo nic tak nie wpływa na bogactwo kraju,

a nawet na złagodzenie obyczajów ludności, jak wygodne drogi. Ktokolwiek widział w czasie jesiennych deszczów lub wiosennych roztopów naszego wieśniaka unurzanego w błocie i męczącego się nad wydobyciem ciężkiego wozu z dołów i kałuży zalegających polskie gościńce, kto słyszał jego przekleństwa, bicie zmordowanych koni, ten łatwo zrozumie jakiem dobrodziejstwem są wygodne i bezpieczne gościńce, o których budowanie i dobre utrzymanie od lat 40-u tak mało dba się u nas.

Pozbawieni możności poprawienia naszego bytu, przywykamy niestety do tych ciężkich warunków kulturalnych. Dziczeje więc wieśniak w brudzie, uczy się krzywdzić zwierzęta, przeklinać swój los, to też z tem większem uznaniem mamy prawo wspomnieć zasługi Beniowskiego, który używał swej władzy nie na zniszczenie zajętej wyspy, ale na podniesienie jej dobrobytu.

Drobne te jednak gospodarskie czynności i rozporządzenia, sumiennie notowane w dzienniku, mało nadają się do barwnego opowiadania, którem umysł wasz zająć pragnę. Dziennik z tej epoki życia Beniowskiego wypełniają przeważnie trzy zasadnicze sprawy: 1) mata-

ctwa rządców Ile de France, łudzących swą pomocą i oszukujących ostatecznie wszystkie nadzieje namiestnika, 2) drobne zatargi z niechętnemi plemionami i 3) bohaterskie wysiłki hrabiego pozyskania jakichkolwiek środków, które, przy braku pomocy ze strony Francyi, pozwoliłyby jego osadzie zachować urok i znaczenie wobec na dziesiątki tysięcy ludzi licznych plemion Madagaskarskich.

I tak jeszcze w lipcu udało się Beniowskiemu nabyć od kupców francuskich statek ze wszystkimi towarami oraz 34 niewolników murzynów, potrzebnych mu przy pracach około budowy nowych fortów. Towary zaś, jako specyalnie zastosowane do gustu i potrzeb Madagarskarczyków, miały służyć hrabiemu za dary dla zjednania sobie względów ludności. Nie mógł on jednak pomimo wszystko zrywać stosunków z rządcami Ile France, zależało mu bowiem bardzo na tem, aby mieszkańcy Madagaskaru wierzyli, że jego potęgę Francya zawsze wesprzeć jest gotowa świeżym rekrutem i amunicyą.

To też ucieszył się Beniowski, odbierając nagle wiadomość, że przybył do portu okręt z Ile de France i przywiózł list od jej rządców, w którym zawiada-

miają jako wkrótce wyjechać ma na Madagaskar partya potrzebnych namiestnikowi oficyalistów, — a z nimi pan des Assises, w charakterze generalnego kontrolera magazynów królewskich, że przywiozą z sobą znaczny zapas amunicyi, oraz wszelkich potrzebnych towarów.

Jakoż zapowiedziany statek „la Belle Poule" przypłynął istotnie, ale zamiast spodziewanej pomocy zwiększył tylko kłopoty Beniowskiego.

Wydał on rozkaz, aby w przytomności pana des Assises spisano inwentarz żywności, towarów i sprzętów w magazynach, polecił także przygotowania mieszkań dla oficyalistów, wszystkie te jego zarządzenia nie zażegnały jednak burzy, jaką wywołali nowi przybysze, napadając na chaty murzyńskie, z orężem w ręku, dopuszczając się gwałtów nad mieszkańcami.

Beniowski musiał patrzeć przez szpary na te nadużycia, nie chciał bowiem zrażać sobie odrazu ludzi, istotnie bardzo mu potrzebnych, chodziło bowiem głównie o zorganizowanie porządnej służby szpitalnej, a właśnie między towarzyszami pana des Assises było kilku felczerów.

On sam od pierwszego rzutu oka, wydał się hrabiemu bardzo nikczemną figurą, jakoż takim też niestety miał go wkrótce poznać po jego czynach. Przedewszystkiem więc odmówił wypłacenia żołdu dla wojska, które od pół roku czekało na pieniądze. Tu jednak jeszcze winić nie można było stanowczo komisarza, zasłaniał się bowiem tem, że rządcy Ile de France, żołdu tego nie uiścili. „Pomiędzy dwoma siekierka zginęła“, — mówi przysłowie — godna siebie spółka nietylko tym razem zasłużyła, aby powiedzieć o niej wedle drugiego przysłowia, „Wart Pac pałaca, a pałac Paca“.

Rzecz tak się miała: życzliwa hrabiemu murzynka ostrzegła go o nowem niebezpieczeństwie; generalny kontroler magazynów królewskich zebrał potajemnie kilkunastu wodzów, których Beniowski nie znał, i obdarzywszy ich beczką wódki, doniósł im, iż został wysłany do Madagaskaru dla zasłonięcia murzynów przed tyranią namiestnika. Oburzyła hrabiego niegodziwość kontrolera i gorzrzkie mu za nią czynił wyrzuty, że jednak nie chodziło tu o dobro skarbu królewskiego, tylko o ubliżenie własnej jego osobie, puścił w niepamięć krzywdę, nie ukarał podwładnego, bo zawód

jakiego na nim doznał, wstrząsnął nim do głębi i o ciężką chorobę przyprawił. Tak ciężką, że lekarze zwątpili już, czy zdołają ocalić hrabiemu życie, z czego korzystając des Assises, zażądał od oficerów namiestnika, aby wydali mu jego sprzęty i papiery.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że oficerowie postąpili; jak na ludzi honoru przystało, odtrącili z oburzeniem propozycye kontrolera, zagrozili mu nawet zemstą, gdyby ośmielił się ponowić swoje żądania.

Ale pan des Assises należał do gatunku ludzi, którzy umieją milczkiem szarpać sławę drugich, odwagi jednak stawienia czoła niebezpieczeństwu nie mają. Oburzył więc nie tylko na siebie życzliwych Beniowskiemu oficerów, i w prawdziwą złapał się pułapkę, bo namiestnik po silnych żółciowych wymiotach doznał tak znacznej ulgi w zdrowiu, że mógł wstać z łóżka jeszcze tego samego dnia. Uwiadomieni o tem szczęśliwem zdarzeniu oficerowie, przybiegli wszyscy winszować zdrowia zwierzchnikowi, nie omieszkali też wypowiedzieć mu swego oburzenia z powodu zachowania się kontrolera i wyrażonych przez niego żądań.

On sam odwiedził także Beniowskiego, a przybrał na tę wizytę skruszoną i bardzo zafrasowaną minę, miał bowiem zakomunikować hrabiemu o wielkich jakoby kradzieżach, których dopuścili się niewiadomi złoczyńcy w magazynach królewskich. Szczęściem namiestnik nie dał się oszukać pokorą łotra, gdyż wiedział od życzliwych sobie stróżów magazynu, że sprawcą szkody był sam pan kontroler, który potajemnie wyprzedawał własność państwa.

Dla ukoronowania zaś wszystkich dotychczasowych intryg zaczął pan des Assis podburzać plemię Safiroba przeciw osadzie. Niesłychane to postępowanie miało na celu, zupełną zagładę wyprawy Beniowskiego.

Skracam smutne to opowiadanie. Nie pominęłam go dlatego tylko, żeby dać miarę trudności i zawodów z jakimi walczył Beniowski, chcąc dopiąć raz zamierzonego celu i usprawiedliwić zaufanie położone w nim przez władze francuskie. Ze wszystkich przymiotów charakteru, o które po cnocie i prawości najwięcej starać się powinniśmy, są energia i wytrwałość. Bez nich nawet dobroć, to słońce serc ludzkich, pozostanie bez znaczenia, dlatego pamiętajmy,

że nie należy pobłażać sobie, lecz w małych czy wielkich rzeczach dawać dowody hartu ducha, nie pieścić się z sobą, lecz pomnieć na słowa poety, że: „człowiek wart tyle, co sam z siebie zrobi“. Piękność, talent, tembardziej bogactwa nie są miarą naszej wartości, jest nią tylko wola silna, dostojeństwo szlachetnego człowieka, który nagrody za wierną służbę dla dobrej sprawy szuka w tem zadowoleniu, jakie mu daje świadectwo własnego sumienia, że wytrwał.

Beniowski wytrwał, oto dlaczego zajmują nas jego przygody, chociaż nie mają już w epoce Madagaskarskiej znaczenia z jakiem śledziliśmy początkowe opowiadania hrabiego.

Wspomnienie Polski zostało daleko po za nim, prawdopodobnie dla tego, że ojczyzna po pierwszym rozbiorze, zbierała dopiero siły do nowych walk, nie przedstawiała więc wówczas wielkiego interesu dla przedsiębiorczego usposobienia naszego bohatera. Mało był zdolny do mrówczej odbudowywania pracy, wolał zdobywać nowe światy zażartą walką, choćby przyszło użyć do niej oręża.

Tymczasem jednak nie dobył go jeszcze. Obrał owszem najszlachetniejszą drogę pozyskania przewagi na wyspie,

posiadł ją mądremi zarządzeniami, sprawiedliwością, podniesieniem rolnictwa i ułatwieniem wymiany produktów. Jednał tem stronników między wodzami różnych prowincyi, bo byli to ludzie rozumiejący do pewnego stopnia przynajmniej dobrodziejstwa cywilizacyi. Latarnia morska, którą postawił na wyspie d'Aiguillon, porty, jakie budował dla ochrony statków przed burzą, spławne kanały, któremi łączył rzeki, bagna zamienione przez osuszenie w urodzajne pola ryżowe, wygodne drogi, stanowiły jakoby praktyczną lekcyę poglądową, czego mianowicie spodziewać się może ludność Madagaskaru od osiadłych wśród niej europejczyków i ludność ta z coraz większem zaufaniem zwracała się do „Białego Wodza“, jak powszechnie zwano hrabiego. Wielu uważało go za czarownika, dla tego, że szczęśliwie umiał przeprowadzić każdy zamiar i stawić czoło niebezpieczeństwu, inni częstsze z Beniowskim mający stosunki, przywiązywali się do niego, tem wiernem przywiązaniem prostych natur, które tylokrotnie opisywane jest przez podróżników.

ROZDZIAŁ XI.

Rozeszła się w czasie największych intryg ze strony francuskich urzędników, dziwna pogłoska, którą życzliwy Beniowskiemu oficer, pan Corbi, przyniósł do osady. Była w służbie hrabiego stara murzynka Zuzanna, pielęgnowała go już w chorobie i dała mu niezliczone dowody wierności jeszcze z czasów pobytu na wyspie Ile de France, bo stamtąd pochodziła, a raczej tam w młodym wieku zaprzedaną została.

Zuzanna więc rozsiewać zaczęła wśród ludności wieść, iż towarzyszka jej, córka Ramini Laryzona, wodza najwyższego nad całym Madagaskarem, noszącego tytuł *Ampansakaby*, która wespół z nią była zabrana do niewoli na Ile de France i tam zaślubiona cudzoziemcowi, jest właśnie matką tego „Białego Wodza“, Beniowskiego.

Dziwaczna bajka znalazła prędko wiarę między ludnością, przychylną Ampansakabie, to jest królowi całej wyspy; tytuł ten bowiem i godność ustały od chwili, jak umarł ostatni monarcha Madagaskaru Ramini Laryzon, a potomstwo jego

wzięte przez francuzów w niewolę, przepadło bez wieści.

Urządzono zaraz kilka zgromadzeń narodowych, czyli tak zwane cabarre, i naradzano się na nich w sprawie mniemanego następcy tronu, naradzano tem żywiej, że jak bywa często w takich razach, znalazł się jakiś starzec, który prorokował w jasnowidzeniu bliską odmianę rządów na wyspie i twierdził, że nieznany dotąd potomek Raminiego nową wybuduje tu Palmirę.

Przepowiednie starca i pogłoski rozpowszechniane przez Zuzannę poruszyły cały lud sambaryów, że gotów już był uznać Beniowskiego potomkiem ostatniego Ampansakaby, a co zatem idzie ogłosić go królem Madagaskaru; w zamian za tę swą powolność spodziewali się sambaryowie od hrabiego pomocy przeciw seklawom, którzy właśnie wypowiedzieli im wojnę.

„Wodzowie Samboryi—pisze Beniowski — przybyli do mnie i zapytali ze smutkiem, gdzie są te posiłki, których od tak dawna oczekiwałem z Francyi i co ja pocznę jeśli atakowany będę przez seklawów?

Przekładali nadto niepodobieństwo z taką małą garstką żołnierza, skuteczny

dać opór licznemu i srogiemu nieprzyjacielowi, którego zapalczywości oni najpierwsi padną ofiarą, jako najwierniejsi przyjaciele osady. Odpowiedziałem, że sambaryowie powinniby mieć lepszą opinię o mojej odwadze, będąc jej tylokrotnie świadkiem, nareszcie oświadczyłem, iż wiem co mi czynić pozostaje, ale nie uspokoiły ich moje zapewnienia.“

— Ty nas opuścisz — mówili — odstąpisz nas, gdyż twój król nie nadsyła ci posiłków, a cóż się z nami stanie? Zginiemy za to, żeśmy stale do ciebie byli przywiązani.

„Do przemowy wodzów łączył się głos całego ludu, który ze wszech stron wołał na mnie bym zobowiązał się przysięgą jako go nigdy nie odstąpię.

Uczyniwszy to przyrzeczenie kilka dni podejmowałem wodzów, niczego nie zaniedbując, aby ich ufność pozyskać. Obudziłem tym sposobem ich męstwo, ale co się ze mną działo to opisać trudno!

Dręczył mnie srogi niepokój, kończył się rok 1775, zbliżała zła pora, a ja bez pomocy, bez wojska, bez zapasów, widziałem się zupełnie opuszczonym.

Nie tracąc jednak odwagi zająłem się natychmiast rozesłaniem kilkunastu ku-

ryerów na północ i południe wyspy' donosząc tamecznym wodzom, ażeby w gotowości trzymali swoje wojsko do wymarszu na pierwsze moje wezwanie. Oznajmiłem nadto, że ktokolwiek dobrowolnie i bez oporu na swoje grunta przyjmie seklawów, tego poczytam za nieprzyjaciela osady.

Już 13 stycznia 1776 roku odebrałem tajemne doniesienie, że wódz seklawów wysłał do Hiawego, wodza w Foul-Point, wezwanie, aby ten wszedł z nim w związek przeciwko mnie, ofiarowywując mu za tę pomoc zwierzchnictwo nad całym wschodniem wybrzeżem wyspy.

Odrzucił jednak tę propozycyę Hiawi, oświadczając, że podług jego rozumienia, niepodobna oprzeć się francuzom, bo ich czarnoksiężnicy mocniejsi są od czarnoksiężników murzyńskich, że nadto hrabia będąc astrologiem, wie zawsze o wszystkiem, co tylko przeciw niemu jest knowane, że nareszcie zobowiązał się już przysięgą do wierności osadzie, nie śmie więc popełnić wiarołomstwa, pewnym będąc, że przypłaciłby je natychmiastową śmiercią.“

„Dnia 22 stycznia donieśli mi poczciwi wodzowie sambarytów, że seklawowie zapraszali ich do połączenia się z

nimi przeciwko białym, lecz że ich naród, zamiast odpowiedzi, posłał im kule, proch i skałki co według miejscowych zwyczajów, znaczyło wypowiedzenie wojny. Poczytując zaś moich nieprzyjaciół za swoich, nie chcą fatygować seklawów przybyciem na sambaryjskie posiadłości, tylko sami szukać ich niezwłocznie pójdą i dadzą przykład, jak dotrzymać sojuszu, jak ochotnie spieszyć należy na obronę sprzymierzeńców. Nie dosyć na tem, wysłali kilkunastu najznakomitszych swych wodzów do rozmaitych prowincyi, zapraszając mieszkańców, aby wiązali się ze mną sojuszem i oświadczając, że ktokolwiek tego nie uczyni, za ich nieprzyjaciół uważany, będzie siedziba jego ogniem i mieczem spustoszoną zostanie.

Tak wielki dowód przywiązania do mnie wiernych sambaryów do żywego mnie przejął i pocieszył w części po niecnych intrygach rządców Ile de France.

Dnia 3 lutego wodzowie antamburscy i safirobajscy oświadczyli iż pałając chęcią okazania mi swego przywiązania, przysyłają 1500 zbrojnych ludzi na pomoc przeciw seklawom.

„Dobra nowina! — zawołałem — przy-

kład walecznych moich sambaryów skłoni i inne ludy do naśladowania."

Nie zawiódł się Beniowski w swoich nadziejach na pomoc wiernych krajowców. Dnia 23 lutego przyciągnęli do Louisbourga wodzowie prowincyi Antiwari i Angontzi na czele 500 ludzi, których oddali do dyspozycyi hrabiego, co zaś ważniejsza jeszcze, Lambonina, wielki wódz północy, przysłał posłów z oświadczeniem, iż gotów jest atakować seklawów i, że żąda za to tylko, aby osada europejska weszła z jego prowincyą w handlowe stosunki i zapewniła mu pomoc przeciw wspólnym nieprzyjaciołom.

Pokrzepiony na duchu przez tak korzystne związki, wyjechał Beniowski na przegląd wszystkich swoich posterunków, odebrał był już bowiem wiadomość, że seklawowie wyruszyli ku granicy jego posiadłości. Znalazł artyleryę i forty w jaknajwiększym porządku, rozporządził więc tylko aby w okolicy fortecy Louisbourga wycięto drzewa, które zasłaniać mogły zbliżanie się nieprzyjaciela. Kazał nadto przygotować jaknajwiększą ilość kul karabinowych, rac i granatów, ażeby było czem odeprzeć seklawów, i do napadów na osadę zrazić.

Kraj, przez potężne to plemię zamieszkiwany, rozciągał się na zachodniem wybrzeżu wyspy, a odznaczał zdrowem powietrzem, żyznością ziemi, i rozległymi stepami, na którym pasały się niezliczone stada bydła. Gdyby naczelny wódz seklawów posiadał przywiązanie narodu, mógłby z łatwością wystawić 30000 armię, ale znienawidzony dla swego okrucieństwa nie rozporządzał na szczęście tak licznem wojskiem.

Stanowiło ono jednak bądź co bądź bardzo groźną siłę, i Beniowski utrzymywał zawsze zbrojne posterunki na granicy kraju seklawów, których nie udało mu się dotąd zjednać, a którzy teraz występowali do otwartej walki z białymi i ich sprzymierzeńcami.

Liczba tych ostatnich zwiększała się na szczęście z każdą chwilą. Kuryer przybyły z Foul-Point doniósł hrabiemu, że Hiawi przysyła do jego dyspozycyi 1200 ludzi, co zaś ważniejsze przybywa też wódz Louisburgu do Kunifal, prowadząc z sobą Rozaja, bliskiego krewnego wodza seklawów, który nieprawnie wypędzony ze swego kraju, przez zemstę ofiaruje białym swą pomoc.

Beniowski zaznaczył zjazd sprzymierzeńcom na dzień 8 maja, i zaprosił

wodzów ludów: Sambaryowskiego, Safirobajskiego, Antamburskiego, Antawaskiego. Otoczony dawnymi sojusznikami zawezwał hrabia do siebie Kunifala i Rozaja, a wtedy Kunifal w te odezwał się słowa:

„Kunifał, którego przed sobą widzisz, wódz nieszczęśliwego, a szlachetnego ludu, prawem wojny podległy tyrańskiemu berłu seklawów, przychodzi hołd powinny oddać potężnemu białemu wojownikowi, którego imię niech będzie błogosławione, a oręż wsparty opieką niebios. Wiedząc, że seklawowie chcą wypowiedzieć ci wojnę, spieszę ofiarować ci mój oręż i miecz moich poddanych, wola twoja będzie zawsze moją i moich dzieci wolą, nie chcemy znać odtąd innego pana nad ciebie.“

Po tej odezwie wojsko Kunifala, wynoszące 300 zbrojnych, podniosło okrzyk na cześć Beniowskiego, który gdy się uciszono taką dał nowemu sprzymierzeńcowi przychylną odpowiedź:

„Odgłos twej sławy i twoich nieszczęść, przyjacielu, od dawna godnym cię uczynił mojej opieki, bądź więc przekonanym, że oręż mój twojego będzie podporą. Co się zaś tyczy oświadczenia, które mi czynisz, to wiedz, że przeciwne

jest memu sposobowi myślenia, abym waleczne plemiona Madagaskarskie pod władzę moją miał zagarniać. Pragnę osobistej twojej przyjaźni i wierności w związku jednoczącym ludy, których tu widzę przedstawicieli. Wprzód jednak donieść ci muszę o wspólnych naszych sprawach, przedstawić korzyści z handlu i jednolitego rządu, potem zapoznać z temi drogami, na jakich ty i lud twój zdobyć możecie prawdziwe szczęście. Jeśli więc trwasz w chęci przystąpienia do ogólnego naszego związku, przysiąż, że wiernie go dotrzymasz, poczem dowiesz się z ust moich co ci czynić wypada.“

Zaledwie Beniowski przestał mówić przystąpił natychmiast Kunifal do zgromadzenia i oświadczył gotowość wykonania przysięgi, oraz ofiarował się płacić corocznie osadzie tę samą daninę, którą wymuszali na nim seklawowie, a także dostawić w pomoc kolonii tysiąc zbrojnego ludu.

Przystąpiono więc natychmiast do obrządku uroczystej przysięgi i dokonano go z największą powagą.

Teraz z kolei zbliżył się do Beniowskiego Rozaj z Kunifalem przybyły i w te przemówił słowa:

„Masz oto przed sobą prześladowanego Rozaja, księcia Bojany. Przymuszony szukać u cudzoziemca wsparcia przeciwko tyranii przywłaszczyciela mego tronu, który nienasycony w swem okrucieństwie więzi moje żony i dzieci, uciekam się pod skrzydła twojej opieki i szukam twojej pomocy. Zapewniono mnie, że najmilszym ci jest chlubny tytuł ojca nieszczęśliwych, nie odrzucisz więc pewnie prośby prześladowanego księcia, który całą swą ufność w tobie pokłada. Na znak mojego przywiązania odbierz moje uroczyste śluby i zalicz mnie od dziś dnia do najwierniejszych twoich przyjaciół“.

Na to odpowiedział Beniowski:

„Książę Rozaja! Wzywasz opieki osady i sprzymierzonych z nią ludów, bądź pewny stałej pomocy naszego oręża. Z tem żywszą chęcią dogadzam twemu życzeniu, że nieszczęście jakiemu uległeś, w każdej uczciwej duszy budzić powinny współczucie i chęć dopomożenia skrzywdzonemu. Możesz zatem, książę, zapewnić się przysięgą o naszej wspólnej opiece.“

Wesoła biesiada, wyprawiona na cześć nowych sprzymierzeńców, zakończyła uroczystość, poczem Kunifal i Rozaj

uzyskali pozwolenie Beniowskiego na rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich przeciw seklawom, zobowiązali się także, rozesłać posłów, do rozmaitych prowincyi podległych seklawom, ażeby skłonić je do łączenia się z partyą Rozaja.

Zaraz następnego dnia przypłynął do osady wódz Lambarolt, prowadząc na 12 zbrojnych łodziach 200 zbrojnego także ludu. Oświadczył, że chlubiąc się pochodzeniem swem od białego człowieka ofiarowywuje białym braciom swą pomoc. Wie zaś od poddanych, którzy właśnie wrócili z kraju seklawów, jako wojsko ich tylko o 5 dni drogi od Louisburga jest oddalone, o czem ostrzegając, sam gotów jest ze swymi żołnierzami śledzić ruchy nieprzyjaciela.

Na tę wiadomość odbył Beniowski wielką rewię sprzymierzonych wojsk. Podobała się powszechnie zręczność artylerzystów, co się zaś tyczy celnego strzelania, to mało znalazł wódz takich ochotników, którzyby o 200 kroków do naznaczonej nie trafili tarczy. Cała armia liczyła 16,373 bojowników, chociaż więc seklawowie rozporządzali o wiele liczniejszem wojskiem, szanse zwycięstwa były nieledwie równe ze względu, że sprzy-

mierzeńcami dowodził niezrównany w energii namiestnik.

Dnia 4 kwietnia stanął Beniowski obozem na równinie o milę od Louisburga i porozsyłał rozkazy wszystkim sprzymierzeńcom, ażeby w końcu miesiąca ściągnęli ze swemi siłami do Hirbay, wsi o 15 mil odległej od miejsca chwilowego pobytu wojsk. Uczynił zaś tak dla łatwiejszego wyżywienia 16,000 ludzi, którzyby bardzo prędko ogłodzili wszystkie sąsiednie osady, gdyby armia od samego Louisburga jedną kolumną maszerować miała.

Do Hirbay 2-go maja przybył do obozu brat Hiawy i przyprowadził z sobą 1200 wyborowego żołnierza, przeznaczając to wojsko do osobistej straży hrabiego, wodzowie zaś prowincyi Antimananhar, Angontri i Antiamak zawiadamiali, iż są już w marszu, prowadząc swoich żołnierzy, częścią lądem, częścią zaś wodą i przyrzekając nie odstąpić francuskich sztandarów, póki nie będzie wzięty w niewolę tyrański wódz seklawów, Cinamur.

30 kwietnia, tak właśnie, jak zapowiedział namiestnik, ruszyła jego eskadra pod żagle, a składała się ze 190 łodzi. D. 3 maja dał znać Kunifal, że kilka nie-

przyjacielskich oddziałów ukrywa się w okolicy i upatruje tylko sposobnej pory, by znienacka napaść na wojsko. Na nieszczęście silny prąd uniósł dwie szalupy naładowane amunicyą i rozbił je o skałę, a kilka innych na piasek zapędził, zaradzili jednak biedzie sprzymierzeńcy, dostarczając natychmiast potrzebną liczbę nurków i łodzi, tak dla uratowania zatopionej amunicyi, jak dla przewiezienia wojska na naznaczone miejsce do Hirbay.

5 maja stanął nareszcie Beniowski na czele wszystkich skupionych sił, że zaś należało lękać się głodu dla tak licznego wojska, postanowił przyśpieszyć natarcie, wysyłając natychmiast prawe skrzydło na opanowanie bezpiecznego przejścia przez góry.

W kraju tak nierównym i skalistym, największą pracą było transportowanie armat, przezwyciężono i tę trudność, poczem wódz dał zmęczonym żołnierzom dwa dni odpoczynku i założywszy w dolinie magazyn żywności pod strażą jednej dywizyi, ruszył trzema kolumnami przez las.

Ciągnął się on całe sześć mil, a ledwie drzewa rzednąć zaczęły, dojrzał Beniowski obóz seklawów. Znużone wojsko spę-

dziło noc pod zasłoną drzew, lecz jeszcze słońce nie zeszło, kiedy już maszerowało znów wprost na okopy nieprzyjacielskie.

Wypadli seklawowie ze swych szańców i uszykowani w zwarte kolumny, rozpoczęli silny ogień z karabinów, ale na rozkaz Beniowskiego, odpowiedziano nań kartaczami. Huk dział przejął takim strachem nieprzyjaciela, że cofnął się natychmiast, nie tylko z pierwszego, lecz ze wszystkich trzech swoich obozów, które też zaraz zajęli sprzymierzeńcy i obrócili w perzynę. Krwawa ta rozprawa kosztowała seklawów 80 ludzi, Beniowski miał tylko kilku rannych murzynów.

Uszczęśliwieni tak łatwem zwycięstwem, wodzowie prosili hrabiego o pozwolenie ścigania nieprzyjaciela, na co tem chętniej przystał, że ciągła obecność tylu sprzymierzonych dygnitarzy ciężyć mu zaczynała, a piękna dolina porosła lasami pomarańcz i bananów zachęcała do odpoczynku.

Nie trwał on jednak długo, bo raz po raz wracał któryś z wodzów, przynosząc szczegóły zadanej seklawom klęski. Opowiadali podobno, że nie francuzi ich pokonali, tylko czarci między nimi bę-

dący, którzy z gardzieli żelaznych straszne przed siebie miotali ognie. Strach armat musiał być istotnie wielki, bo już w dwa dni po bitwie przybył do Beniowskiego jeden z wodzów seklawskich; miał głowę i brodę ogoloną na znak upokorzenia i błagał, aby przyjęto jego przysięgę na wierność, obiecując płacić roczną daninę, byle mu zostawiono rządy jego prowincyi, na co hrabia chętnie przystał.

Beniowski pragnął założyć kilka faktoryi w tej urodzajnej i obfitującej w najpiękniejsze owoce prowincyi, ale dano właśnie znać z Louisburga, że tak długo oczekiwany statek z depeszami dworskiemi przybył nareszcie. Niosły one hrabiemu pożądaną wieść, że minister wyprawił przecie z Francyi okręt „Syrenę“ z amunicyą, skórami, suknem, różnymi drobnymi towarami, bronią, tudzież pieniędzmi na zakup potrzebnych zapasów żywności, i że oprócz tych posiłków inne nierównie ważniejsze wysłane mu będą.

Niestety, radość Beniowskiego niedługo trwała, nadeszły bowiem zaraz listy z Ile de France, z doniesieniem, że „Syrena“ rozbiła się, że więc żadnej pomocy stąd oczekiwać nie można. Dla utru-

dnienia zaś jeszcze i tak krytycznego położenia, wręczono hrabiemu rozkaz ministra, który zalecał aby, aż do dalszych rozporządzeń królewskich, namiestnik zaprzestał rozszerzania wpływów swoich na wyspie i pozostał tylko przy dawniejszej swojej osadzie.

Zniewolony zawiesić na czas jakiś wszelkie wojenne kroki, musiał Beniowski jak niepyszny wrócić do Louisburga, ku wielkiemu żalowi sprzymierzonych, wodzów, zwłaszcza zaś Rozaja i Kunifala którzy słusznie obawiali się zemsty i zapalczywości seklawów. Rozaj za nic nawet odstąpić hrabiego nie chciał, aż ten dał mu słowo, że natychmiast wyśle posłańców do seklawów, dopominając się u nich wydania jego żon i dzieci.

Ostatnie dni w zdobytej świeżo prowincyi poświęcił Beniowski na rozdanie podarunków i dzielenie łupów na nieprzyjacielu zdobytych, pomiędzy sprzymierzonych wodzów, resztę czasu obrócił na zredagowanie raportu do ministra o odniesionem zwycięztwie. Odrywały go od tej pracy bankiety i festyny, które kolejno wyprawiali sprzymierzeńcy dla uczczenia białego wodza, pod którego sztandarem tyle chwalebnych dokonali czynów.

22 czerwca eskadra zawinęła z powrotem do portu w Louisburgu. Przybyli żołnierze tańczyli z radości, wyskoczywszy na ląd. Tegoż wieczoru nadciągały też łodzie sprzymierzonych wodzów, a równocześnie dogoniło hrabiego poselstwo naczelnego wodza seklawów, błagając o zawarcie pokoju jaknajkorzystniejszego dla francuzów. Było to hasłem ogólnej radości i tryumfu, to też reszta miesiąca zeszła na uroczystościach i biesiadach, które znacznie zmniejszyły zapasy osady Louisburskiej.

Nie można się też dziwić Beniowskiemu, że zachęcał sprzymierzonych wodzów do rozjechania się wraz z wojskami, oni jednak wręcz odrzucili jego propozycye i za nic odstąpić nie chcieli swego białego sprzymierzeńca. Udało się nareszcie hrabiemu wyjaśnić przyczynę dziwnego tego uporu. Hiawa odebrał też list z Ile de France, w którym mu donoszono, że Beniowski ma być wkrótce odwołany z Madagaskaru i odesłany do Francyi, gdzie mu wytoczą proces za nadużycia swej władzy na wyspie.

Brat Hiawiego uwiadomił o tym mniemanym zamachu wodzów różnych prowincyi i ci pod przysięgą zobowiązali się nie dopuścić, choćby przyjść

miało do otwartej walki z francuzami, aby uwięziono ich przyjaciela.

Rozrzewniła Beniowskiego troskliwość i dobroć poczciwych Madagaskarczyków, niemniej budziła w jego sercu smutne przeczucia i zatruła goryczą dni tryumfu, a tryumf był zupełny, bo właśnie naczelny wódz seklawów, powtórnie przysłał poselstwo z prośbą o pokój. Chcąc zaś dać dowód swej dobrej woli, uwolnił przy tej sposobności całą rodzinę księcia Rozaja i odesłał ją stroskanemu małżonkowi. Sześćdziesięciu niewolników i 300 sztuk wołów były darem, jakim pobici seklawowie pragnęli zjednać sobie względy i opiekę wszechpotężnego „Białego Wodza“.

ROZDZIAŁ XII.

„Dnia 16 sierpnia 1776 r. doniósł mi rano mój adjutant, iż wodzowie Raul, Raffangur z Ramaromb w imieniu swoich ludów, w ważnej bardzo sprawie żądają u mnie publicznej audyencyi“ — tak w pamiętnikach swych zaczyna Beniowski opowiadanie zdarzeń, jakie niespodzia-

nie zaskoczyć go miały i wpleść w życie przygodę, dziwniejszą od wszystkich poprzednich.

Wojna z seklawami okryła hrabiego nowym urokiem w oczach ludów wyspy. Podziwiano nietylko odwagę, dzielność, umiejętność wodza, który tak szczęśliwe odniósł zwycięstwo, ale wspaniałomyślność z jaką zyskane łupy rozdał między żołnierzy, zwłaszcza zaś jego względność dla pokonanych. Nie szukał nad seklawami zemsty, i wodzom zdobytej prowincyi zarząd nad nią zostawił, zobowiązując tylko do przyjaznego związku i opierając ten związek na wzajemnej wymianie bagactw ziemi, na wyściganiu się wszystkich plemion madagaskarskich w dążeniu do coraz wyższego stopnia oświaty, a co za tem iść powinno — uszlachetnienia serc.

I w takiej to właśnie chwili, rząd francuski, podburzony przez podstępnych urzędników, nietylko nie poparł w niczem zamierzeń swego namiestnika, ale paraliżował jego wielkie zamiary. Tu jak wiemy, rozchodziły się pogłoski o odwołaniu Beniowskiego z Madagaskaru, może o uwięzieniu w nagrodę za poniesione trudy. Zdarza się, że ludzie najwięcej zasłużeni widzą zniszczone dzieło

swego życia, dość przypomnieć wielkiego odkrywcę nowych światów, Krzysztofa Kolumba; w kajdanach wrócił on do Hiszpanii, od której należała mu się wdzięczność i cześć po wiek wieków.

Nie myślę naturalnie porównywać Beniowskiego z Kolumbem, bo porównanie takie ośmieszyłoby mego bohatera, chciałam tylko historycznym i bardzo znamiennym przykładem dowieść, że pełna zasług praca nie zawsze bywa należycie oceniana i, że wielu już ludzi padło z tej samej ręki, którą wzbogacić i uszczęśliwić chcieli.

Niesprawiedliwość rządu francuskiego względem Beniowskiego, tłomaczy się tem, że jeszcze 1774 roku umarł król Ludwik XV, nastąpił po nim wnuk, Ludwik XVI, a ze zmianą monarchy zmieniło się i ministeryum, zmienili ludzie, używający wpływów u dworu. Nowi dygnitarze nie znali osobiście Beniowskiego, cudzoziemca, a więc wzbudzającego mniejsze zaufanie, niż rządcy wyspy Ile de France. Wiemy zaś do czego byli zdolni ci ostatni i w jakiem świetle starali się przedstawić władcy niedogodnego im namiestnika Madagaskaru.

Przytaczam w streszczeniu własne opowiadanie Beniowskiego o pamiętnym

dniu, który miał dla niego mieć jaknajsmutniejsze następstwa.

„Tak osobliwsze a nadewszystko ceremonialne zgłoszenie, zdziwiło mnie niepomału. Sądząc, że wodzowie stoją już przed fortecą, chciałem wyjść do nich, ale adjutant uwiadomił mnie, że są jeszcze w obozie i czynią przygotowania do uroczystego jakiegoś obrządku. Temwięcej zdumiony zaprosiłem wszystkich oficerów mojego korpusu, tudzież całą administracyę, aby raczyli być przytomni ceremonii, sposób bowiem, w jaki deputowani do mnie się zgłosili, przekonywał, iż szło o rzecz wielkiej wagi. O 10-ej straż zamkowa spostrzegła dwa zbrojne oddziały, które maszerowały ku twierdzy uszykowane w kolumny, przy biciu w bębny i z rozwiniętemi chorągwiami i zaalarmowana tym widokiem krzyknęła „do broni“. Ale oficer warty, jak mi sam potem powiedział, wtajemniczony w całą sprawę, nie kazał sprzeciwiać się nadchodzącym wyspiarzom, pobiegł tylko uwiadomić mnie o ich przybyciu.

„Ujrzałem też niebawem oddział złożony z 1200 żołnierzy, szli na jego czele wodzowie i deputowani ludu otoczeni właściwymi każdej prowincyi sztanda-

rami. Na placu parady przed moim domem deputowani złożyli broń i razem z wodzami wprowadzeni zostali do mnie przez moich oficerów. Po pierwszych wzajemnych powitaniach kazałem podać krzesła (niskie stołki, których w tym kraju podczas podobnych używają obrządków) trzech tylko wodzów na nich usiadło, poczem Raffangur wstał i stojąc, taką miał do mnie przemowę:

„Błogosławiony niechaj będzie dzień, w którym pierwszy raz światło ujrzałeś! Błogosławieni niech będą rodzice, którzy mieli starania o twem wychowaniu! Błogosławiona niech będzie godzina w której na tę wyspę wysiadłeś!

Wiedz, że cnotami ująłeś sobie serca nasze, kochamy cię i dowiedzieliśmy się ze smutkiem, iż król francuski zamierza innego na twoje miejsce zesłać zwierzchnika. Zgromadziliśmy się zatem i zwołali cabare dla zdecydowania co czynić należy, jeśliby się ta fatalna nowina sprawdzić miała. W imieniu ludów naszych mam ci dziś odkryć wielką tajemnicę twego urodzenia i donieść o niezaprzeczonych twoich prawach do panowania nad tą niezmierną krainą, której wszystkich mieszkańców już jesteś bożyszczem. Zdumiewają cię te wyrazy?

Tak jest jednak, a nie inaczej. Oto ja sam, Raffangur, poczytywany dotąd za jedynego przy życiu pozostałego potomka pokolenia Raminich, zrzekam się tego świętego zaszczytu i ogłaszam ciebie prawym dziedzicem ukochanej monarszej familii.

Duch Najwyższego, który naszym przewodniczy zjazdom, natchnął wszystkich wodzów i wszystkich deputowanych ludu, iżby przysięgą zobowiązali się ogłosić cię swoim Ampansakabą, to jest monarchą całego Madagaskaru i nie odstępować póki im tchu stanie, przelać krew swoją w obronie twojej osoby przeciwko wszelkim francuskim gwałtom i zamachom. Żądam, iżbyś naznaczył publiczne cabare, na którym złożymy ci hołd naszej wierności i naszego posłuszeństwa. Polecono mi także zanieść do ciebie prośbę, abyś odtąd nie rozwijał chorągwi białej, tylko błękitny sztandar Madagaskaru, na znak, że chętnem sercem przyjmujesz naszą pełną uszanowania odezwę“.

„To rzekłszy, usiadł — pisze Beniowski — i czekał mojej odpowiedzi, a jakże była trudną, jak ważną!“

Któż nie zrozumie uczuć, które w tej stanowczej chwili miotały sercem naszego bohatera! Słała mu się do stóp

kilkudziesięciutysięczna ludność olbrzymiej wyspy, która rozległością swą dorównywa prawie Francyi, otwierała sposobność do owocnej działalności nad ucywilizowaniem przywiązanych do niego madagaskarczyków. Wiedział jednak, że każdy krok postawiony na tej nowej drodze, będzie przez rządców wyspy Ile de France tłomaczony jako chęć wyłamania się z pod władzy królewskiej i w ten sposób przedstawiony w Wersalu. Nie dziw też, że wzruszenie odebrało Beniowskiemu możność dania natychmiastowej odpowiedzi. Wyraził jednak swą wdzięczność Raffangurowi i prosił o zwołanie cabaru, na którym oznajmi zgromadzeniu, jakie powziął postanowienie.

Wielka była radość poczciwych wyspiarzy, gdy usłyszeli oświadczenie białego wodza. Złożyli głęboki ukłon przed Beniowskim na znak swej względem niego podległości. Został nareszcie sam, ale samotność ta niedługo trwała, wkrótce weszło 3 oficerów na czele kilkudziesięciu żołnierzy.

Czego oni przyszli żądać ode mnie? — pomyślał Beniowski i tysiące okropnych przypuszczeń przebiegło jak strzała jego skołatany umysł. Jakże się jednak

zdziwił, kiedy oficerowie oświadczyli mu w imieniu swojem i żołnierzy, że zawarłszy związki małżeńskie z mieszkankami wyspy, pragną osiąść na Madagaskarze i oddać się rolnictwu. Co zaś najważniejsza, pragną do ostatniej kropli krwi bronić swego namiestnika przed intrygami rządców i niesprawiedliwością władz francuskich. Zostawiły one osadę bez żadnego ze swej strony ratunku, narażając wszystkich europejczyków na wyrżnięcie. Tylko cnotom Beniowskiego przypisać należy, że los ten nie spotkał dotąd całej załogi od wyspiarzy, przeświadczonych o słabych siłach kolonii.

Naznaczył więc Beniowski zebranie wodzów, czyli cabare, na dzień następny. Liczne wystrzały z armat dały znać osadzie i jej okolicom, że zgromadzenie wkrótce się rozpocznie. Zwinięto biały sztandar przed domem namiestnika, a zawieszono na nim niebieską chorągiew madagaskarską, poczem udał się Beniowski na dolinę, gdzie już zajęło swe miejsca 62 wodzów, a lud pod bronią w największym porządku, otaczał plac posiedzeń.

Pierwszy Manonganon, wódz malgagosów w imieniu swych towarzyszy, ofia-

rował Beniowskiemu godność Ampansakaby, zaklinając, by raczył przyjąć wysoki ten stopień, na co hrabia odpowiedział, że uczyni zadość jego prośbie, w nadziei uszczęśliwienia narodu madagaskarskiego, któremu chce poświęcić wszystkie swoje siły.

Odpowiedź tę ogłoszono natychmiast ludowi; wzniosły się głośne okrzyki, pomieszane z licznymi wystrzałami muszkietów, poczem drugi wódz, nazwiskiem Sance zabrał głos i oświadczył, że cały naród madagaskarski żąda od Beniowskiego, aby porzucił służbę francuską i powiedział w której prowincyi chce obrać sobie siedlisko, gdyż natychmiast zbudowane tam będzie dla niego mieszkanie odpowiednie piastowanej godności.

„Nie wpierw wykonam przysięgę — powiedział Beniowski — jak po przybyciu komisarzy królewskich, w których ręce złożę moją dymisyę, co zaś do wyznaczenia miejsca na przyszłą rezydencyę, to sądziłbym za rzecz najwłaściwszą zbudować ją w środku wyspy, aby każdej prowincyi było blisko do stolicy państwa. Raz zaś przyjąwszy dostojeństwo Ampansakaby, najpierwszą moją powinnością będzie ustanowić dobre prawa, utrzymać pokój i spokojność we-

wnętrzną, obwarować brzegi wyspy od napadów, dać pilną baczność nad zaprowadzeniem handlu i udoskonaleniem rolnictwa. Sam nie wydołam tak licznym zatrudnieniom, spodziewam się po gorliwości zwierzchników narodu, że zechcą dzielić ze mną ważną pracę, wspierając mnie radą, zarówno w rządzie, jak w sprawach dotyczących wojska i marynarki".

Na tem zakończono zgromadzenie. Wodzowie zdali komendę wojsk Sancemu, sami zaś obowiązali się strzedz osoby Beniowskiego, aby aż do przybycia komisarzy królewskich nie wyrządzono mu jakiego gwałtu. Beniowski wyszedł z cabare, a za jego ukazaniem się na placu, wojsko zwiesiło sztandary, żołnierze opuścili broń do ziemi i przyłożeniem lewej ręki do piersi okazywali gotowość służenia Ampansakabie.

Tymczasem 11,000 ludu zgromadziło się w dolinie dla uczczenia przyszłego monarchy, kazał więc Beniowski zarżnąć 20 wołów i rozdać 12 beczek wódki. Dla wodzów zastawiono osobną biesiadę.

Zasiedli właśnie do stołu, kiedy wśród okrzyków i przy odgłosie muzyki wojennej, nadciągnął cały korpus europejski, żeby złożyć dawnemu swemu wodzowi

powinszowanie z powodu jego monarszego dostojeństwa. Wielu oficerów i żołnierzy miało przy kapeluszach niebieskie kokardy na znak, że pragną osiąść na Madagaskarze.

Reszta dnia zeszła na rozrywkach; około wieczora dopiero przybyło 1200 niewiast i dziewczyn, obdarzono je wszystkie chustkami, książkami i cukrem, poczem nastąpiły ochocze tańce.

Dnia 18 przywołał Beniowski wodzów i radził im, aby do swoich wrócili siedzib, zostawiając Sancego na czele 3,000 żołnierza, a było to koniecznem, przybyły bowiem z wyspy Ile de France, kupiec do Foul-Point i utrzymywał, że mówią tam publicznie, jakoby z Wersalu przysłano rozkaz aresztowania namiestnika.

Pożegnał więc Beniowski wodzów, umówiwszy się z nimi, że w razie grożącego mu niebezpieczeństwa, rozpali ognie na górze Mangabey, każdy z nich z nich uczyni podobnie na swoich górach i wybrzeżach, aby zaalarmowana wyspa mogła, jak jeden mąż stanąć w obronie swego monarchy.

Przywiązanie madagaskarczyków nie małą stanowiło dla hrabiego osłodę w dręczących go troskach o los osady i los

własny. Spodziewał się lada chwila stanowczego wystąpienia ze strony rządu francuskiego, pogłoski rozsiewane przez kupców, sprawdzić się mogły z pierwszym przypływającym okrętem.

Jakoż jeszcze w październiku dano sygnał, że jakiś statek o trzech masztach żegluje ku wyspie; istotnie wieczorem tego samego dnia, stanęła w porcie fregata la Consolante, a przybyli na niej panowie: de Bellecombe i Chevreau, komisarze króla Ludwika XVI, zażądali od hrabiego, aby natychmiast na okręt pośpieszył.

Odpowiedział, że gotów jest stosownie do woli króla, złożyć komendę korpusu w ręce komisarzy, lecz póty póki nie poda swojej dymisyi, ma obowiązek pozostawać przy osadzie.

Do tej urzędowej odpowiedzi dołączył Beniowski prywatny list do p. de Bellecombe, w którym zapraszał go na ląd bez żadnej eskorty, obiecując we wszystkiem, co tylko uzna być zgodne z pojęciami honoru, stosować się do jego żądań. W myśl tego listu 22-go października, pp. Bellecombe i Chevreau wylądowali w porcie. Beniowski prezentował im swój korpus, uznając p. de Bellecombe jego najwyższym komendantem.

Komisarze podali potem namiestnikowi pismo królewskie, zawierające 25 punktów, na które podług zaleceń rządu, kategoryczną miał dać odpowiedź.

„Resztę dnia—pisze Beniowski—straciliśmy na rozmowie o rozmaitych szczegółach, dotyczących osady, a nazajutrz złożyłem w ręce komisarzy odpowiedź moją dla rządu, także z 25 punktów się składającą, poczem p. Bellecombe zwiedził ze mną fortecę, budynki publiczne i szpital, pan Chevreau zaś przeglądał rachunki.

Następnie komisarze udali się w głąb wyspy dla obejrzenia zamku Ś-go Jana i zamku Augusta w Dolinie Zdrowia, a 26-go odbyli naradę z wodzami, wezwanymi w tym celu na ich żądanie. Nie byłem przytem obecny, chcąc obu stronom dać zupełną swobodę wypowiedzenia swoich opinii.

27 października, komisarze wręczyli mi jaknajpochlebniejsze świadectwo co do mojego urzędowania na wyspie, pokwitowali ze wszystkich rachunków i z sumy 450,000 fr., które wyłożyłem dla skarbu, poczem zabrali się do powrotu na okręt, ja zaś wręczyłem moją dymisyę panu de Bellecombe, komendę korpusu w ręce p. de Sanglier.

Na to odebrałem już z okrętu prośbę panów inspektorów, abym nie przestawał pracować dla dobra osady, gdyż oni ani mają prawo, ani chcą przyjmować mojej dymisyi, zaczem obowiązany jestem spełniać obowiązki urzędu, aż do nadejścia wyraźnych rozkazów królewskich, które niechybnie będą wysłane.

Na tem skończyła się korespondencya z komisarzami królewskimi, którzy natychmiast ku Foul-Point odpłynęli, ja zaś udałem się do jednego z moich pomieszkań. Czekało tam na mnie dwóch wodzów, wysłanych w deputacyi od ludu, który błagał, abym wykonał przysięgę Ampansakaby.

„Nadchodziła więc ta ważna i uroczysta chwila. Miałem mój los związać nazawsze z losami Madagaskaru, pracować odtąd dla jego szczęścia i rozwoju, zarówno materjalnego jak duchowego. Ale zanim dopełniłem uroczystego i wiążącego me sumienie obrządku, musiałem przyjść do zupełnej zgody z sobą samym w kwestyi zobowiązań moich względem rządu francuskiego.

„Po długim namyśle, chcąc zapobiedz wszelkim oszczerstwom, postanowiłem pojechać do Francyi i tam osobiście przed-

stawić prawdziwy stan osady, zniszczyć, jeżeli się da, uprzedzenia ministra.

„Wiedziałem, że narażam się tym krokiem na niebezpieczeństwo, lecz szło o mą sławę, szło o szczęście narodu, który mnie tak chętnie obrał swym rządcą, wahać mi się więc nie wypadało. Działając w ten sposób, zrzucałem z siebie zarzut, a cała wina nieudanego przedsięwzięcia spadała na niebacznego ministra, który szkodził Francyi, choć służyć jej, tak jak i ja był obowiązany.

„Takie powziąwszy postanowienie, umyśliłem trzymać się go póki tchu życia w piersiach i to wróciło mi spokój.

„5 listopada odebrałem od wodzów liczne podarunki w niewolnikach, bydle i ryżu, co wszystko zaraz rozdzieliłem między mych ochotników. Zwołałem także kolonistów, osiadłych za moim wpływem na Madagaskarze i oświadczyłem im, że zaopatrzeni będąc w żywność i pewni zupełnej spokojności ze strony tubylców, nie potrzebują już opieki mojej, zatem składam wszelką nad nimi władzę.

„Nie! nie puścimy cię, ojcze, z pośród nas! — wołali koloniści.

„Wykrzyk ten był miarą ich przywiązania, ale nie zmienił mego postano-

wienia. Chciałem oddać resztę życia, wyłącznie dla szczęścia szlachetnego narodu, który mi wspaniałomyślnie zaufał.

Nadszedł nareszcie dzień 6 października. Straże doniosły, że sześciu wodzów na czele znacznej liczby zbrojnych, przybyło na dziedziniec zamkowy i pragnie widzieć się ze mną.

— Jesteśmy eskortą, która ma towarzyszyć ci do twoich ludów, o Ampansakabo! — powiedział najstarszy z wodzów, a na to wezwanie usunąłem się do swego pokoju, żeby przyoblec strój indjanina — pisze Beniowski, nie rozwodząc się dłużej w pamiętnikach nad ważnością pozornie błahego szczegółu, jak zmiana europejskiego ubrania na suknie madagaskarczyka.

A jednak chwila ta decydowała o przyszłych jego losach. Przywdzianie stroju krajowców było milczącem przyznaniem, że Beniowski uważa się sam za powołanego na monarchę wyspy i przyzwala, aby widziano w nim istotnego spadkobiercę przywilejów rodziny Raminich.

Wiedział przecież, że ani kropla krwi indyjskiej nie płynie w jego żyłach, że historya opowiadana przez Zuzannę, była wymysłem, czy przywidzeniem starej murzynki, przywidzeniem, któremu ła-

twowierna ludność, tak chętnie dała wiarę. Wiedział, a jednak nie zaprzeczał kłamstwu!

Rola samozwańców, przywłaszczających sobie nazwisko i prawa innej osoby, słusznie nie budzi sympatyi w umysłach szlachetnych, zwłaszcza, że takie przywłaszczenie dzieje się zwykle ze szkodą innych, często więcej uprawnionych osób. Tu nie było tego wypadku. Beniowski nie czynił nikomu szkody, przystając na rolę mniemanego potomka Raminich. Niemniej prawa jego natura, cofać się musiała przed nieszczerością postępku, do którego skłaniała go chęć zyskania władzy nad wyspą bez krwi rozlewu i bez gwałtu.

Król Madagaskaru, to jest władza państwa niemal tak rozległego jak Francya, a bogatego w najcenniejsze płody ziemi, mógł przy sprzyjających okolicznościach, stać się potężnym monarchą, w całem tego słowa znaczeniu, wywyższyć siebie i swoją dynastyę nie kosztem mordów, ani przemocą narzuconych więzów, lecz dzięki rozumnemu i sprawiedliwemu wykonywaniu władzy. Myśl taka, dzielnemu i żądnemu czynu człowiekowi, uśmiechać się mogła.

Niema dla natur energicznych więk-

szego cierpienia, jak ograniczenie ich działalności. Wiemy to dobrze, my polacy, bo od dawna odjęto nam możność wyróżnienia się na wielu polach działalności publicznej. Beniowski odwagą, stanowczością, bystrością umysłu dopiął już jednego, dla wielu niedościgłego celu — skruszył kajdany swoje i swoich towarzyszy. Teraz otwierały się przed nim tak szerokie horyzonty, o jakich nigdy nie marzył, nadarzała sposobność umoralnienia i nawracania do prawdziwej wiary wszystkich plemion, ciemnych ale dobrych wyspiarzy.

Złudzony świetnemi nadziejami, niedawny generał konfederacyi barskiej, major wojsk króla francuskiego zrzucił bez wahania mundur oficera, a przywdział białą szatę indyjskiego Ampansakaby-monarchy.

Posłuchajmy jakie obrządki towarzyszyły uroczystości wyniesienia na tron madagaskarski, wielkiego następcy Raminich. Na niezmierzonej równinie, stał w dwie linie uszykowany bez końca długi szereg wyspiarzy i witał okrzykami Beniowskiego, wzywając na jego osobę błogosławieństwo wielkiego Zahanhara. Otaczali hrabiego przyjaźni mu oficerowie i niemal wszyscy urzędnicy osa-

dy. Wjechał w obręb obozu, gdzie wodzowie wprowadzili przyszłego monarchę do przygotowanego umyślnie na ten cel namiotu, sześć mniej ozdobnych, czekało na ludzi jego orszaku. Odtąd codziennie 200 żołnierzy zaciągało wartę przed mieszkaniem przyszłego Ampansakaby, a sześć czterofuntowych armat, zatoczonych przed namiotem, strzegło jego bezpieczeństwa.

„Dnie następne 7, 8 i 9-go, spędziłem na tłomaczeniu wyspiarzom, jakie są moje zamiary co do ustanowienia trwałego rządu na wyspie — pisze Beniowski — dziwiło ich każde wyrzeczone przezemnie słowo, ale słuchali uważnie i tak nadszedł nareszcie 10 października.

„Ledwie świtać zaczęło, obudził mnie potrójny wystrzał z dział. O szóstej z rana wszedł do mego namiotu Raffangur z sześciu innymi wodzami. Byli wszyscy, tak jak i ja, biało ubrani. Raffangur padł przede mną na kolana i prosił aby wolno mu było zabrać głos.

Zezwoliłem.

Wtedy wyraził mi ponownie życzenia ludów Madagaskaru, którzy z ufnością losy swe składają w moje ręce, powierzając najwyższą nad całą wyspą władzę.

„Skończył, prosząc abym udał się za

nim, co też uczyniłem. Poprowadzono mnie na obszerną i piękną równinę, którą otaczał dokoła lud w liczbie około 30,000. Dziwiłem się porządkowi w uszykowaniu tego tłumu. Między pokoleniem a pokoleniem był wszędzie mały przedział, nie przekroczył go nikt. Na czele każdego pokolenia stali jego wodzowie, a w pośrodku niewiasty.

Powitano mnie okrzykami radości, wodzowie opuścili natychmiast swe miejsca, a Raffangur tak przemówił do zgromadzenia:

„Niechaj będzie błogosławiony Zahanhar, bo nie zapomina On o swoim ludzie! Błogosławiona niech będzie krew Raminiego, której winniśmy nasze przywiązanie! Niechaj błogosławione będą prawa ojców naszych, które nam rozkazują być posłusznymi prawemu z krwi Raminich potomkowi! Tak jak i nasi ojcowie, tak samo i my doświadczyliśmy, iż niezgoda największem dla rozdrobnionych plemion jest nieszczęściem.

„Od chwili, gdy Zahanhar pozbawił nas zwierzchnika ze świętego pokolenia Raminich, żyliśmy jak dzikie zwierzęta, mordowani przez naszych braci, lub mordując ich nawzajem. Osłabieni niezgodą, byliśmy łupem najmocniejszego, złość

zastąpiła sprawiedliwość, a zbrodnia cnotę. Prawdziwy to obraz nieszczęść naszych. Dopełniła się ich miara, kiedy ci, co krew Raminich przelali, wezwali przeciw braciom francuzów, aby gnębili i niszczyli wspólną naszą ojczyznę.

„Przypomniałem wam te wszystkie okropne zdarzenia, abyście tem chętniej zgodzili się na braterskie zjednoczenie, a dla utrwalenia tej jedności, byli posłuszni prawu przodków waszych, które was uczy być podległymi potomkowi Raminiego. Oto stoi on przed wami... Spojrzyjcie z uszanowaniem na niego. Oddaję mu ten miecz, na znak, iżby tylko on jeden jest naszym Ampansakabą na wzór ojca naszego, Raminiego.

Słuchajcie głosu mojego, wy ludy Madagaskaru! Słuchajcie, oto mówię wam, uznajcie w potomku Raminiego swego Ampansakabę, poddajcie się jemu z radością, słuchajcie wyroków jego, bądźcie posłuszni prawom, które on wam nada, a staniecie się szczęśliwi.

„Niestety, przyjaciele moi, wiek mój podeszły nie pozwala mi mieć nadziei, abym dzielił waszą pomyślność, ani martwe serce moje nie odczuje objawów waszej wdzięczności, kiedy uczcić zechcecie zastygłe me zwłoki za dobrą ra-

dę, którą wam dziś daję. — To rzekłszy Raffangur odwrócił się do mnie i tak dalej mówił:

„Ty zaś godny potomku krwi Raminiego, wezwij pomocy Najwyższej Istoty, iżby zawsze oświecała twój umysł i serce. Bądź sprawiedliwy, kochaj twój naród, jak własne dzieci, niechaj jego szczęście będzie twoją radością, a nadewszystko nie patrz obojętnie na potrzeby ludu i na jego troski. Rządź i wspieraj światłem twem zdaniem wszystkie plemiona, nie robiąc różnicy, słowem postępuj tak aby twoi poddani nie panem, lecz ojcem cię swym zwali. Tak czynił nieśmiertelnej pamięci ojciec twój, Ramini, i błogosławieństwo ludu spoczywa na jego wspomnieniu.

„Skończył mówić Raffangur, potem złożył mi głęboki ukłon i wręczył na znak władzy szablę. Wszyscy wodzowie kolejno składali mi te same oznaki hołdu, a lud cały padł przede mną na kolana.

„Teraz ja z kolei zabrałem głos, oświadczając, iż uznaję nad sobą najwyższą Niebios opiekę, która mnie, syna Raminiego, powróciła na ziemię mych ojców, że słuchać całe życie nie omieszkam tego, czem mnie natchnie Bóg dla szczęścia wszystkich bez wyjątku moich pod-

danych. Prosiłem potem wodzów, ażeby wspierali mnie swojemi radami, zachęcałem ich do wiernego wypełniania moich rozkazów, obiecując słodzić niedolę niewolników, a oręża używać tylko dla dobra kraju. Skończyłem nareszcie na oświadczeniu, że za najpierwszy mój obowiązek uważam ustanowić rząd, mogący zapewnić spokój wszystkim mieszkańcom i zapewnić spokojność publiczną i szczęście każdego tej ziemi mieszkańca.

„Przyprowadzono tymczasem wołu, którego musiałem własną zarżnąć ręką, wymawiając przy tej ofierze słowa uroczystej przysięgi. Wodzowie maczali końce szabli w krwi i przysięgali także, ale była to dopiero pierwsza część dziwnego obrządku. Drugi akt krwawego ceremoniału stanowiło nacięcie lewego ramienia, co każdy z obecnych uczynić sam na sobie był obowiązany, poczem jeden drugiemu, aż do ostatniego szeregowca, wysysał krew z rany, rzucając przytem najsroższe przekleństwa na tych, którzyby złamali przysięgę, a czcząc tych, którzy dochowają swych ślubów.

„Ceremonia trwała dwie godziny, zakończyły ją modły, wznoszone dla wezwania ducha Bożego i podziękowania Zahanharowi za jego dobroć i opiekę.

Odprowadzony do namiotu przez najprzedniejszych wodzów zatrzymałem ich u siebie na obiedzie i kazałem dla reszty zgromadzenia wytoczyć ze składu cztery beczki wódki".

Niewiasty przysięgały później przy świetle księżyca, wśród tańców i skoków; noc zeszła na grach i śpiewaniu, a zaraz nazajutrz wezwał Beniowski wodzów, aby pod jego przewodnictwem odprawione zostało pierwsze cabare, na którem spisano w języku miejscowym, ale łacińskiemi literami, urzędowy akt wzajemnego zobowiązania i wzajemnych przysiąg z wymienieniem nazwisk wszystkich wodzów i wszystkich przedstawicieli ludu, którzy brali udział w tej pamiętnej uroczystości.

Akt brzmiał jak następuje:

„Akt przysięgi książąt, wodzów i naczelników narodu madagaskarskiego wykonanej 10 października 1776 r., a potwierdzającej wyniesienie Maurycego Augusta hrabiego Beniowskiego na godność Ampansakaby, czyli najwyższego rządcy narodu. My, książęta, wodzowie i naczelnicy zgromadzeni na cabare, w obliczu Boga i obecnego tu ludu, dopełniwszy ofiary i wykonawszy przysięgę krwi, oświadczamy, ogłaszamy i uzna-

jemy Maurycego Augusta najwyższym naszym rządcą Ampansakabą, która to dostojność ustała z wygaśnięciem świętej familii Raminich, a wskrzeszamy ją w nim i jego rodzinie.

„W dowód czego postanawiamy wznieść w prowincyi naszej, Mahawelon, pomnik uwieńczający pamięć naszej jedności i świętej przysięgi, a to w tym celu, aby wnuki wnuków naszych, aż do najpóźniejszego pokolenia, posłusznymi byli poświęconej rodzinie Ampansakaby, poświęcamy ją zaś naszą dobrowolną dla niej uległością i poddaniem się jej rządom.

„Przeklęte niechaj będą te dzieci nasze, które się poważą sprzeciwiać wyrażonej powyżej woli naszej! Przeklęty niechaj będzie ich majątek i owoce ziemi, na której zamieszkają. Niech nareszcie spotka ich to, co jest największem dla każdego narodu nieszczęściem — niewola!

Przysięga ta, po trzykroć w głos przeczytana, podpisana została imieniem całego narodu madagaskarskiego przez wszystkich wodzów, z najstarszym między nimi Rohandognem na czele.

Resztę dnia spędził Beniowski na naradach z wodzami i przedstawicielami

różnych ludów, nad ustanowieniem nowej formy rządu, jaki zaraz nazajutrz chciał już zaprowadzić.

Lud tymczasem używał dalej zabaw i pląsów na kwiecistej równinie, pod cudnem południowem niebem Jego wesołość najlepszym była dowodem, że podobały mu się zaszłe dotąd zmiany. Budziły one i w europejczykach wiarę w szczęśliwą przyszłość wyspy. Tego samego bowiem dnia wręczono Beniowskiemu albo jak go zwano teraz, wielkiemu Ampansakabie, podanie od 38 żołnierzy, 3 oficerów i 6 oficyalistów z Louisburga, którzy prosili dawnego swego namiestnika, a obecnie króla wyspy, o pozwolenie osiedlenia się na Madagaskarze.

I król usprawiedliwiał zaufanie w nim położone, miał bowiem dokonać pierwszego swego na tronie, a najważniejszebo kroku dla każdego monarchy, dać ludowi swemu nową, sprawiedliwszą i odpowiedniejszą do jego potrzeb, formę rządu.

Stanął do tego uroczystego aktu wobec zwołanego poprzednio cabare, ubrany w poważne szaty z białej indyjskiej tkaniny w te odezwał się do zebranych słowa:

„Wybór mojej osoby na dostojność Ampanšakaby, wkłada na mnie wielki ciężar, ale chętnie go podźwignę przez wdzięczność, jaką wam winien jestem. Kiedy zastanowiłem się nad obowiązkami, przywiązanymi do urzędu, który noszę, przyrzekłem sam sobie, że najpierwszem staraniem moim będzie szczęście narodu. Niema szczęścia w kraju, w którym niema stałego i jednolitego rządu. Oto jaki dla ludów madagaskarskich za najodpowiedniejszy uważam:

„Należy wybrać radę, której członkowie znani byliby wszystkim ze swej pracowitości, roztropności i cnoty. Rada ta wszelką mieć będzie władzę, jej także przysługuje prawo zwołania, za zgodą na to Ampansakaby, generalnego zgromadzenia narodu. Radę składać mogą zarówno indyanie, jak europejczycy osiedleni na wyspie, z członków rady wybierani będą gubernatorowie prowincyi, zarówno jak ministrowie, których ustanawia się sześciu, mianowicie: minister wojny, marynarki, sprawiedliwości, handlu, rolnictwa i skarbu. Nie mniejsza jest potrzeba Rad prowincyonalnych, w których zasiadać powinien gubernator wraz z wybranymi w prowincyi konsyliarzami.

„Wszystkich władz rządowych będzie obowiązkiem czuwać, ażeby wojska obce zakładające osady na brzegach, nie poważyły się najmniejszego czynić zamachu przeciwko wolności madagaskarskiej, a także starać się, aby na całej wyspie zakwitł przemysł, handel i rolnictwo, zgoła żadne nie powinny być zaniedbane środki, w celu doprowadzenia naszej wspólnej ojczyzny do szczytu sławy i szczęścia.“

Beniowski skończył swoje przemówienie uroczystem zapewnieniem cabare, że za sprawą Bożą, ma nadzieję widzieć wkrótce pomyślność i bogactwo odrodzone na Madagaskarze i ufa, jako pod dobrym rządem cała wyspa uwolnioną niedługo zostanie od niezgody, nieszczęść, wojny i jęków niewoli; na co przytomni zawołali jednogłośnie: „Velou Ampansakaba! velou Ramini!“ to znaczy: niech żyje nasz pan! niech żyje potomek Raminiego; poczem wódz Raffangur powtórzył ludowi to, co mówił Beniowski i tłomaczył zebranym w dolinie tłumom, obietnice Ampansakaby. Wrócił potem do cabare, aby zapewnić wodzów, iż cały naród powierza z ufnością swe prawa i swobody w ręce Rady, ufając roz-

porządzeniom ukochanego przez wszystkich monarchy.

Jakoż Beniowski wprowadził natychmiast w życie ustanowienie jednolitego dla całej wyspy rządu i zamianował najprzód członków Rady Najwyższej. Miała się ona składać z 32 osób, wyznaczył więc do niej 8 wyspiarzy i 4 europejczyków, nominacye 20 pozostałych dygnitarzy odkładając na czas, kiedy pozna bliżej zdolności i przymioty wszystkich wyspiarzy i najgodniejszych z pomiędzy nich wybierze.

Po tej nominacyi, potwierdzonej radosnymi okrzykami całego ludu, odwołał Beniowski sesyę na dzień następny, a zajął się wybraniem miejsca na zbudowanie stołecznego dla wyspy miasta, w okolicach rzeki Mananguzon.

Uradzono także, aby kraj cały od portu Moroawy aż do przylądka Itapere, podzielić na dwanaście gubernii, projekt ten jednak odłożył na później, stosownie bowiem do raz powziętego postanowienia, pragnął hrabia, uporządkowawszy sprawy swoje na Madagaskarze, popłynąć do Europy, czuł zaś, że życzenie to napotka wielki opór w Radzie.

Żeby ją więc dobrze usposobić dla swego projektu, przedstawił członkom

najwyższego zgromadzenia konieczność zawarcia traktatu handlowego i przymierza z królem francuskim, lub innym jakim europejskiem mocarstwem, że skutkiem takiego traktatu byłby odbyt produktów madagaskarskich i zamiana ich na towary, niezbędne do wygodniejszego życia mieszkańców.

— Zbliżenie z Europą — przekładał Beniowski — ułatwiłoby wprowadzenie koniecznych szkół dla wychowania młodzieży i sposobienia jej do rzemiosł, sztuk, nauki, na chwałę wyspy.

Tak wyłuszczywszy swoje na tę sprawę zapatrywania, oświadczył potem, że należy w wyżej wymienionych celach, wysłać koniecznie do Europy kogoś doskonale w sprawach handlu obznajmionego i że, mając na oku jedynie dobro nowej swej ojczyzny, gotów jest sam w podróż tę się wybrać.

Ale na to niebacznie wyrzeczone słowo, zerwał się stary wódz Raffangur i wręcz oświadczył, że Ampansakaba opuszczać kraju swego nie powinien, jeśli to uczyni niezawodnie życie postrada.

Poczem szlachetny ten przyjaciel zachęcał wszystkich przytomnych na Radzie, aby złączyli się z nim dla przeszkodzenia niepomyślnemu wyjazdowi.

Nic jednak nie mogło zachwiać postanowienia Beniowskiego, złożywszy więc dzięki zgromadzeniu za jego o siebie troskliwość, oświadczył jako stałym jego zamiarem jest popłynąć do Europy.

Trudno bez dokładnej znajomości pobudek, jakie kierowały postępkiem Beniowskiego, postępek ten sądzić, bądź co bądź jednak nie można się dziwić Radzie, że z niechęcią, a nawet słusznym żalem, patrzyła na odjazd dopiero co obranego monarchy, kiedy miał on zapewne jeszcze niemało do czynienia, żeby dokonać wielkiego dzieła zjednoczenia różnorodnych ludów wyspy i utrwalenia nad nimi swego wpływu.

Praca nad ucywilizowaniem szlachetnego szczepu Indyan, była zaledwie rozpoczęta. Samo nawet to zapoczątkowanie wymagało sprężystej, bacznej i umiejętnej ręki dla utrzymania w karbach niechęci i ambicyi rozbudzonych wyborami na najpierwsze urzędy krajowe.

A jednak, zarzucając nawet Beniowskiemu zbyt nagły jego wyjazd z Madagaskaru, uszanować musimy skrupuły, które mu wyjazd ten nakazywały. Chciał dowieść rządowi francuskiemu, jak niesłusznemi były oskarżenia nieprzyjaciół,

a któż szlachetny dziwić się będzie, że oskarżenia te bolały go, że nie znosił plamy na swem nazwisku. Podstępni rządcy wyspy Ile de France, dowodzili uparcie, jakoby hrabia działał w interesie własnego wywyższenia, a nie na korzyść króla, któremu służył. Przyjazd do Francyi, zawarcie z tem mocarstwem układów korzystnych dla interesów obu państw, zarówno francuskiego jak i madagaskarskiego, dla pierwszego zwłaszcza przez ugruntowanie wpływu nad całą wyspą, zada kłam potwarzom i wyświetli prawdę, tem się łudził Beniowski.

Oto dlaczego ubolewać raczej musimy nad złością ludzką, która popchnęła naszego bohatera do fałszywego kroku, niż krok ten jego potępiać. Niezłomny w postanowieniu, mianował Beniowski, na czas swej nieobecności, Sancego miadytompem, czyli najwyższym wodzem. Siła wojenna wyspiarzy składać się miała z 12 kompanii, każda po 150 ludzi, którym zalecił, ażeby jaknajpilniej przestrzegali spokojności i bezpieczeństwa publicznego, stosownie do instrukcyi, które im wyda Rada Najwyższa. Już po zdecydowaniu tego postanowienia, wnieśli wodzowie prośbę o wystawienie dwunastu innych kompanii dla każdej przy-

szłej gubernii jednę, na co Beniowski nietylko zezwolił, ale rozkazem swoim natychmiast upoważnił.

Aby nadać moc prawa wszystkim tym rozporządzeniom, oświadczył hrabia, że choć przysługuje mu, jako Ampansakabie, wolność wydania takowych, chce i nakazuje zwołanie na dzień następny zgromadzenia generalnego, a jednocześnie rozporządza natychmiastowe wygotowanie sztandarów dla tworzyć się mających kompanii. Jakoż uszyto z pięknej tkaniny 24 sztandary; dwanaście z nich przeznaczone dla regularnego wojska były błękitne z białym na nich księżycem, sztandary pułków zaciągniętych przez wodzów, białe z błękitnym księżycem i sześciu dokoła gwiazdami.

Chorągwie te na zebraniu cabare, uroczyście pułkom rozdane zostały.

Nie pozostało więc już naszemu bohaterowi, jak prosić Radę Najwyższą o udzielenie upoważnienia do wyjazdu i władzy potrzebnej dla zawarcia w Europie traktatów w imieniu rządu madagaskarskiego.

Na żądanie to, Rada odpowiedziała, co następuje:

„Wodzowie ludów, wyspę tę zamieszkujących, zgromadzeni na generalne ca-

bare, rozważywszy propozycyę Ampansakaby udania się w podróż do Europy, w celu zawarcia traktatu z królem francuskim, lub innym jakiem mocarstwem, tudzież sprowadzenia osób biegłych w rozmaitych naukach, kunsztach i rzemiosłach, dla osadzenia ich na Madagaskarze, oświadczają, iż zostawiają mu zupełną wolność tej podróży, nadając przytem Ampansakabie, mocą niniejszego aktu, jaknajobszerniejszą władzę w jego zamiarach.

„Przyrzekają mu wszystkie stany państwa, iż przez cały przeciąg jego oddalenia z kraju, nieodstępnie trzymać się będą nowej formy rządu. Poprzysięgają nadto nietylko nieskażoną wierność, lecz, że żadnego cudzoziemca do swoich niedopuszczą brzegów, ani też dozwolą komukolwiek z pomiędzy siebie zawierać oddzielnych z obcymi sojuszów i związków. Oświadczają nareszcie, iż gdyby po upływie 18 miesięcy, bez żadnego zgłoszenia ze swej strony, Ampansakaba nie powrócił do Madagaskaru, wówczas Boga biorą na świadka, że nie ścierpią na brzegach swej wyspy żadnej osady francuskiej.

„Ze swojej strony zaś wymagają wodzowie, aby Ampansakaba uroczyście

im zaręczył, że niezawodnie powróci, bez względu na to, czy zamiary jego udadzą się czy nie. W przypadku zaś dłuższego na 18 miesięcy nieobecności, winien będzie zgłosić się piśmiennie do najwyższej władzy.

Wzajemne te umowy i rezolucye cabare stwierdzone zostały przysięgą krwi, a zjazd zakończył się wśród łkań i obfitych łez, które o mało nie zmieniły postanowień Beniowskiego.

„Niestety! poszedłem za mojem przeznaczeniem—dodaje on z żalem, a uczyniłem tak, bo mój zamiar wydawał mi się podówczas zgodnym z rozsądkiem i prawami honoru“.

Urzędowa sesya była skończona, ale stary Kaffangur raz jeszcze próbował skruszyć upór człowieka, którego sam wyniósł na tron. Przekładał Beniowskiemu w najżywszych kolorach niebezpieczeństwo, na które się naraża. Tłomaczył, że gdy znaną jest chęć i ambicya Fr ncyi opanowania przemocą wyspy, zatem niechybnie nastawać będą na życie i wolność jej obecnego władcy.

Przytaczał nareszcie liczne przykłady srogiego postępowania francuzów, przypominając dawniejsze ich nadużу-

cia na Madagaskarze. Słowem stary wódz mówił, jak przystało rozsądnemu i szczeremu przyjacielowi. Beniowski słuchał cierpliwie napomnień Raffangura, gdyż przyznać musiał, że były słuszne.

„Jeśli nieszczęście mnie spotka — pisze w pamiętnikach — uskarżać się winienem tylko na swój upór, na moją gorliwość w obstawaniu przy interesach Francyi, nie zważając, że przez tę gorliwość narażam na niebezpieczeństwo majątek mój i życie, narażam, co stokroć ważniejsze, sposobność uszczęśliwienia szlachetnego madagaskarskiego narodu.“

Nie zmienił jednak postanowienia, pożegnał wodzów, radząc im aby pod jego nieobecność uznali Raffangura za swego zwierzchnika, gdyby zaś ten, dla wieku, godność odrzucił, oddali ją Sancemu. Lud ze smutkiem przyjął wiadomość o bliskim odjeździe Ampansakaby i zebrał się na pożegnanie go w liczbie 40,000, niepocieszony w żalu mimo uroczystości i biesiad, jakiemi Beniowski chciał przez zbliżenie do się narodu, utrwalić pamięć swoją w jego sercu.

Tymczasem upływały ostatnie dni panowania monarchy na wyspie, dni zapełnione pracą nad załatwieniem tysiącznych interesów, zarówno prywatnych jak publicznych.

Był już grudzień, kończył się więc rok 1776, rok tak pamiętny w życiu naszego bohatera. Czemuż nie został on pierwszym z epoki chwalebnych rządów monarchy europejskiego w państwie madagaskarskiem, w państwie które oddawało lud swój i skarby natury w ręce obcego przybysza!

Przybysz nie dorósł może do tak wielkiego posłannictwa, jak nawracanie i cywilizowanie nowych ludów, a może stał się niegodnym spełnienia tego dzieła, bo splamił duszę kłamstwem, występując wobec łatwowiernego narodu, jako potomek władców indyjskich. Któż zgadnie wolę Bożą i drogi Boże, któż przewidzi co przyszłość kryje przed człowiekiem?

Nie znał swojej Beniowski, uparł się opuścić wyspę, szedł własnowolnie ku nieszczęściu. 14 grudnia, miał wsiąść na stojący w porcie statek i popłynąć nim do przylądku Dobrej Nadziei, skąd inny okręt zawiezie go na brzegi francuskie.

Teraz jednak stał jeszcze na tych gościnnych i pewnych brzegach madagaskarskich, gdzie tysiące serc biło dla niego wdzięcznością i zapałem. Wodzowie i niezliczone gromady wyspiarzy

zebrane nad morzem, błagali głośno wielkiego Zahanhara, aby czuwał nad odjeżdżającym i w jaknajkrótszym czasie wrócił im ukochanego Ampansakabę. W końcu życzenia te przeszły w powszechny jęk i płacz.

„Jeżeli kiedy to w tej chwili — pisze Beniowski — uczułem jak srogą bywa męczarnia opuszczać ludzi szlachetnych, od których jest się szczerze kochanym.

Wyrwał się nareszcie gwałtem z objęć ściskających go wodzów i wsiadł na okręt. Ale nie wytrzymało tej próby jego hartowne serce.

„Zalałem się łzami — pisze — chociaż nie znała ich moja twarz, nawet w najcięższych chwilach tyrańskiego więzienia, wygnania i niewoli."

Płakał opuszczając gościnną wyspę, jakże gorzkiemi stałyby się jego łzy, gdyby danem mu było wiedzieć, że na tym samym wybrzeżu morskiem pożegna niedługo wszystkie nadzieje i powaby życia.

Zakończenie.

Beniowski kończy swe pamiętniki opisem wyjazdu z Madagaskaru do Francyi. Zrywa się więc nić, po której szliśmy dotąd, nietylko za wypadkami życia bohatera, ale i za uczuciem jego niepospolitego serca.

Dalsze losy hrabiego są prawie niewiadome. Wydawca pamiętników czerpał źródło do ostatnich kartek biografii Beniowskiego z jego listów i z listów współczesnych mu osób. Ale źródeł tych było mało i nie znaleziono w nich najmniejszej wzmianki o pobycie Beniowskiego we Francyi, ani gdzie, w jakich warunkach, spędził kilka następnych lat. Wiemy tylko, że 14 kwietnia 1784 r. płynął z Anglii do Ameryki i zawinął do Baltimore 8 lipca tegoż roku, prowadząc z sobą towary dla Madagaskaru wartości 4,000 funtów szterlingów.

Zdaje się iż z dwóch powodów przedsięwziął podróż tę do Ameryki, raz, że było mu trudno, prawie niepodobna,

uzyskać opiekę jakiego europejskiego państwa, powtóre, że mógł słusznie spodziewać się pomocy ze strony świeżo wyzwolonego narodu amerykańskiego. Poniósł on olbrzymie koszta na prowadzenie wojny o niepodległość, a utracił przywileje handlu, z dawną metropolią Anglią, chętnie więc powinien był przyjąć nadzieję nowych dróg zbytu dla swych towarów.

Jakoż nie doznał Beniowski zawodu w swoich rachubach.

Wszedł z nim w umowę pewien bogaty dom handlowy z Baltimoru i dostawił okręt uzbrojony w 24 armaty. Okręt i ładunek jego szacowano na 50,000 funtów, nie licząc towarów, które hrabia przywiózł z Anglii. Tak kosztowna wyprawa jest dowodem jak wielkie zaufanie umiał on wzbudzić u przezornych zazwyczaj kupców.

Okręt zwał się *Nieustraszony*, wypłynął z Baltimore do Madagaskaru 25 października 1784 roku. Przed wyjazdem z Ameryki cała załoga złożyła hrabiemu przysięgę na wierność i poddała się pod jego komendę. Zastrzegli sobie tylko kupcy Baltimorscy, że kapitan okrętu i jego intendent zarządzać będą prywatnymi interesami, zawsze jednak pod

najwyższą Beniowskiego władzą. Zamiarem kupców było założenie handlowej faktoryi na zachodnim brzegu madagaskarskim, liczyli, że hrabia, przez wpływ swój na wyspiarzy i piastowaną u nich najwyższą godność, ułatwi im wykonanie tego projektu.

Podróż nie była szczęśliwą, zachowało się zaś z niej bardzo mało wiadomości, wiemy, że przypłynął do Madagaskaru w lipcu 1785 r. i że skoro tylko doszła na wyspę pogłoska, o zjawieniu się Ampansakaby natychmiast Lambonin wódz północy, o którym Beniowski wspomina w swych pamiętnikach, przybył z licznym orszakiem dla powitania hrabiego.

Stawił się też do jego dyspozycyi i oddział seklawów pod komendą swego wodza, kiedy jednak Beniowski zaproponował tym wyspiarzom odnowienie dawnego przymierza pod przysięgą krwi, wymówili się od aktu posłuszeństwa pod pozorem, że hrabia znużony podróżą potrzebuje spoczynku.

W sprawozdaniu urzędowem intenta Baltimorskiego znajduje się wiadomość, jakoby 1 sierpnia między 10—11 godziną w nocy słyszano, a nawet widziano na lądzie, właśnie w tem miej-

scu, gdzie hrabia obozował, liczne wystrzały z ręcznej broni i że utarczka trwała tam całą noc. Potem między 5-tą a 6-tą w małym lasku, który leży o milę blisko od wybrzeża, dał się słyszeć tu i owdzie huk karabinów, a o świcie żadnego już na lądzie nie widziano europejczyka, wszystkie zaś wyładowane już towary, zostały zapewne zrabowane.

Kapitan okrętu nie odebrawszy żadnej od hrabiego odezwy, nie chcąc statku narażać na niebezpieczeństwo, zwłaszcza przy szczupłej bardzo załodze, rad nie rad musiał opuścić brzegi Madagaskaru.

Gdyby nie było innych o tym wypadku wiadomości, tu kończyłyby się przygody i życie hrabiego. Tymczasem wydawca pamiętników przytacza jeszcze bardzo ciekawy dokument na potwierdzenie, powszechnego zresztą mniemania, że Beniowski zabity został przez mściwych i nienawidzących go francuzów.

Dokument ten, to list pewnego oficera, przyprowadzonego w więzach do wyspy Ile de France po zupełnem w Madagaskarze rozproszeniu stronników hrabiego. Wspomina on w nim, że wbrew

urzędowemu sprawozdaniu intendenta Baltimorskiego, Beniowski najmniejszej nie obawiał się zdrady i spokojnie na wybrzeżu obóz swój rozłożył, kiedy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, statek amerykański, odbił od brzegów i wypłynął na pełne morze z największem zdziwieniem przyjaciół i sług hrabiego. Chcieli oni zatrzymać go wołaniem, gonili nawet łodziami, dostarczonemi przez wyspiarzy, wszystko daremnie, porzucił haniebnie Beniowskiego i uciekł, unosząc większą część jego majątku.

Tenże sam oficer donosi nam dalej, że przywiązanie Madagaskarczyków do Beniowskiego, było tak wielkie, iż rozpoczął on z ich pomocą kroki nieprzyjacielskie przeciw francuzom, którzy poprzysięgli jego zgubę.

Rok prawie zdołał się hrabia utrzymać na wyspie i w niejednej potyczce odnieść zwycięstwo — zdobył nawet wszystkie magazyny rządowe, ale wysłano przeciw niemu z wyspy Ile de France silną dywizyę regularnego wojska.

Ostrzeżony prywatnymi listami, Beniowski wiedział o tym zamachu i żeby go w niwecz obrócić usypał w doskonałej pozycyi redutę, którą dwoma armatami uzbroił i tam czekał na nie-

przyjaciela, mając do pomocy dwóch europejczyków oraz 30 doświadczonych murzynów.

Było to 23 maja 1786 r. Za pierwszem natarciem francuzów uciekli murzyni, a hrabia ugodzony kulą w piersi padł i w kilka minut ducha wyzionął.

„Tak umarł — pisze wydawca pamiętników — Maurycy August hrabia Beniowski, mąż nieustraszonego męstwa, zahartowany na wszystkie przygody i umiejący z bezprzykładną prawdziwie stałością walczyć wśród najsroższych kolei życia. Do tych rzadkich przymiotów łączył on doskonałą znajomość serc ludzkich. Natura i wychowanie obdarzyły go talentem nietylko rządzenia ludźmi, ale nawet poskramiania ich. Dał tego dowód w niejednej okoliczności, tam gdzie tysiące innych znalazłoby zgubę, on potrafił ratować siebie i powierzone mu sprawy.“

Do tych pochwał tak słusznych, dodajmy jeszcze, że Beniowski umiał wspaniałomyślnie wybaczać winy, jak to widzieliśmy w jego postępowaniu ze Stefanowem, kochał on nad wszystko wolność, ten drogi każdemu szlachetnemu człowiekowi przywilej i był dla przyjaciół wiernym oddanym przyjacielem.

To też charakter jego rycerski i nadzwyczajne przygody jakich doznał, rozniosły sławę naszego bohatera po wszystkich krajach Europy. Pisano o nim powieści, wydawano życiorysy w angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim języku, a poeta nasz Juliusz Słowacki unieśmiertelnił Beniowskiego poematem, którego początkowe strofy brzmią jak następuje:

„Maurycy August miał z ochrzczenia
Imiona, rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdą przeznaczenia,
Co go broniła, jako Częstochowski
Szkaplerz; od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich—prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojem namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą,

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną,
Ach taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału nie pękną!...

I jeszcze mówi Słowacki:

„Wysoko potem wyniosła go sława
Szczęścia miał mało w życiu więcej bólu,

Albowiem była to epoka krwawa
I kraj był cały na rumaku, w polu...

W przytoczonych powyżej strofach poematu znajdziecie, młodzi, odpowiedź dla czemu pragnęłam przyswoić wam niezwykłe przygody Beniowskiego.

Oto miał on nerwy, które nie zmiękły choć mało doznał w życiu szczęścia, więcej bólu, miał duszę niby harfę strojną, to też młodość jego była bardzo piękną, choć niespokojną. Pięknej młodości wam życzę i nerwów, które nie pękają, choć przyjdzie cierpieć za to, że bije w nie pieśń zapału.

Uzupełnienie.

Dla wiadomości czytelników, którzy by chcieli poznać szczegółowo całe pamiętniki, streszczone powyżej, przytaczamy tu niektóre dane bibliograficzne.

Pamiętniki bohatera składają się z dziennika podróży, z kilku osobnych rozdziałów, w których autor zapisywał zebrane o danych krajach wiadomości, dalej z memoryałów, listów, odezw, przytaczanych w charakterze dokumentów.

Język oryginału jest francuski. Ale już w roku 1790, t. j. w cztery lata po śmierci bohatera, wyszły te pamiętniki w tłómaczeniu angielskim z podobizną Beniowskiego. Przekład ten opatrzony jest planami bitew pod Gródkiem, Żwańcem, Braką i Żuką, widokami wysp i brzegów Oceanu Spokojnego, do których okręt Beniowskiego przybijał, wreszcie wizerunkami scen ludowych, osad na Madagaskarze i t. p. Plany te i ryciny ułatwiają bardzo zrozumienie opisu zdarzeń.

Nazwisko autora i jego zasługi dla kraju, musiały ściągnąć na to dzieło i uwagę wydawców polskich. Wkrótce też ukazał się przekład polski pamiętnika p. t. „Historya podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta hrabiego Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego". Tomów IV. Warszawa 1806.

W r. 1826 wyszedł przedruk tego przekładu w Krakowie, ale z licznemi opuszczeniami i skróceniami.

Większej jednak przyczynił Beniowskiemu sławy niż jego pamiętnik, Słowacki, biorąc go za bohatera wspaniałego, niestety, niedokończonego poematu. Trzeba wszakże przyznać, że odczytanie pamiętników po poemacie bynajmniej nie zmniejsza wrażenia, jakie wywiera bohater, przedstawiony przez pryzmat genjalnej wyobraźni poety. Owszem, stwierdzają one, że poeta zrozumiał i odczuł doskonale bohatersko-awanturnicze usposobienie tego niezwykłego człowieka.

Dzieło kolonizacyi Madagaskaru zostało na nowo rozpoczęte przez Francyę dopiero przed kilkunastu laty, w sto lat z górą po usiłowaniach Beniowskiego.

15,–